

KLASA ŚREDNIA
Okradani z nadziei
mają już dość

SOŁTYSKI
Biorą wsie
w swoje ręce

BRYTANIA
Początek końca
pandemii

KAPITALIZM
Japonia tworzy
go od nowa

„DZIADY”
Narodowy dramat
i jego wrogowie

NA BOSAKA
Kiedy stopy
idą na całość

Kraków 30 stycznia 2022 nr 5 (3786)

cena 10 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

**DOMINIKA
KOZŁOWSKA**

Bunt w Kościele

W WYDANIU
DODATEK
WOKÓŁ AUSCHWITZ

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



**TYGODNIK
POWSZECHNY**



„Tygodnik Powszechny” – artykuły pierwszej potrzeby z dostawą do domu

Zamów na
TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
i ciesz się prezentem
– notesem kulinarnym „SMAKI”!

Chcesz wiedzieć więcej?
Czytaj na III okładce tego wydania.



KS. ADAM

Boniecki: Wezwani do rozliczenia

TAK SIĘ ZŁOŻYŁO, ŻE ZARAZ PO LEKTURZE NASZEJ okładkowej rozmowy z Dominiką Kozłowską byłem na synodalnym spotkaniu w jednej z warszawskich parafii. Jeszcze miałem w głowie dramatyczne wyznanie szefowej „Znaku”, kiedy mówiąc o swoim stosunku do Kościoła stwierdziła: „ktoś mi coś zabrał”. Właściwie cała ta osobista, szczerza i smutna rozmowa jest właśnie o tym. Nic tak nie boli, jak doznany zawód. Im większe było zaufanie, tym większy jest ból. Kiedy to się odnosi do Kościoła, nie mówmy, że to tylko zawiedli ludzie, bo Kościół jest świętą tajemnicą wiary. Jeśli jest tajemnicą wiary, to widzialna, instytucjonalna jego strona, „personel” itd. jest (ma być!) widzialnym znakiem Tajemnicy. Kiedy znak okazuje się zafałszowany, nie zachęca do zejścia na głębiej. Tak, głos Dominiki Kozłowskiej jest głosem zawiedzionych Kościołem.

W dokumencie przygotowawczym XVI Zwyczajnego Zgromadzenia Ogólnego Synodu Biskupów „Ku Kościołowi Synodalnemu: komunია, uczestnictwo i misja” czytamy: „W Kościele synodalnym cała wspólnota, w wolnej i bogatej różnorodności swoich członków, jest wezwana do wspólnej modlitwy, słuchania, analizowania, dialogu, rozważania i udzielania rad w podejmowaniu decyzji duszpasterskich, które jak najlepiej odpowiadają woli Bożej”. Na owym synodalnym spotkaniu, w którym uczestniczyłem, z pewnością nie była reprezentowana „cała wspólnota, w wolnej i bogatej różnorodności swoich członków” (ciekawość, jak to się udaje w innych parafiach). Byli przedstawiciele parafialnych wspólnot, ale także i kilkoro parafian „niezrzeszonych”. Około 30 osób, w większości panie. Prawie każda osoba zabierała głos. Na takich spotkaniach z wypowiedziami się nie dyskutuje, tylko wysłuchuje, dziękuje i udziela głosu następnemu... Wypowiedzi były ostrożne, żeby nie urazić siedzącego w głębi sali proboszcza i nas, obecnych tam księży.



Moją uwagę zwrócił głos młodej kobiety, która wyznała, iż jest zaniepokojona tym, że dziś Kościół chce się wszystkim przypodobać. Nawet jeśli ktoś – jak wyjaśniła – sam się wykluczył, nie jest przecież przez Kościół wykluczany. W jej słowach usłyszałem tęsknotę za czasami, kiedy podczas „wizyty po kolędzie” ksiądz omijał mieszkania tych bez sakramentalnego ślubu, „pannę z dzieckiem” ukrywało się przed rodziną i sąsiadami, jed-

noznacznie się potępiało związki homoseksualne, a granica dzieląca „prawdziwych katolików” od „nieprawdziwych” była wyrazista. Tego rodzaju głosów na spotkaniu nie było dużo (jeszcze wybrzmiało czyjeś oburzenie, że eksmąż, żyjąc w nowym, niesakramentalnym związku, przystępuje do komunii św.). Lecz, choć były nieliczne, wyrażały niepokój wielu ludzi, dla których Kościół był ważny jako stróż obyczajów. Teraz nie rozumieją i nie lubią papieża Franciszka, który z Kościoła chce zrobić jakiś szpital polowy.

W „dokumencie przygotowawczym” czytamy: „O ile z jednej strony panuje zsekularyzowana mentalność, która dąży do usunięcia religii z przestrzeni publicznej, to z drugiej religijny integralizm, który nie szanuje wolności innych, podsyca formy nietolerancji i przemocy, które znajdują odzwierciedlenie również we wspólnocie chrześcijańskiej i jej stosunkach ze społeczeństwem. Chrześcijanie nierzadko przyjmują takie same postawy, podsycając podziały i konflikty, także w Kościele”. Osoby wychowane w szacunku do wszystkiego, co „kościelne”, nie mogą pojąć synodu, który im mówi, że „cały Kościół jest wezwany do rozliczenia się z ciężarem kultury przesiąkniętej klerykalizmem, którą odziedziczył po swojej historii, oraz z formami sprawowania władzy, w które włączają się różne rodzaje nadużyć (władzy, ekonomiczne, sumienia, seksualne)”. Ale papież do przygotowań Synodu zaprosił nas wszystkich, by „uczono się od siebie nawzajem i budowano pozytywną wyobraźnię, która oświeci umysły, rozpali serca, przywróci ręką siły”. Oby tak się stało. ©

TYGODNIK
POWSZECHNY

PREZENT DLA PRENUMERATORÓW!

Już z następnym numerem „Tygodnika Powszechnego” 6/2022 nasze Prenumeratorki i nasi Prenumeratorzy otrzymają unikalny **PREZENT** – autorski notes kulinarny „Smaki”.

A w nim: przepisy, rozmowy, eseje i oryginalne ilustracje.

Więcej o notesie znajdziesz na powszech.net/smaki

„Tygodnik Powszechny” – artykuły pierwszej potrzeby z dostawą do domu





20 Szczepionkowa samoobrona

KLAUS BACHMANN

Rząd zaniechał działań, które mogłyby ograniczyć piątą falę pandemii. Nie chce nawet wprowadzić obowiązkowych szczepień. Czas, by to obywatele wzięli sprawy w swoje ręce. Sami możemy wiele zmienić.



42 Powolny powrót do normalności

PATRYCJA
BUKALSKA
Z ANGLII I SZKOCJI

Fala zakażeń w Wielkiej Brytanii opada, znoszone są restrykcje. Na czoło problemów wysuwa się stan systemu ochrony zdrowia po dwóch latach pandemii.

30 Światło i życie

ROZMOWA
Z DOMINIKĄ
KOZŁOWSKĄ:

Przyszłe pokolenia zarzucą nam, że nie byliśmy dość radykalni. Potencjał buntu nie jest wystarczająco uruchomiony w naszym społeczeństwie, nie mówiąc już o Kościele.



72 Czynniki ludzkie

ROZMOWA
Z KENEM
FOLLETTEM,
PISARZEM:

Wierzę w sprawczą moc jednostki. Uważam, że olbrzymie znaczenie ma to, na jakich ludzi oddajemy głos w wyborach. I chodzi mi o całokształt ich osobowości.



76 O czym śpiewają zeberki

DANIEL KOZŁOWSKI

Złożone melodie przydają się ptakom w ustalaniu granic i podrywaniu partnerek. Ale nam mogą wiele powiedzieć o umysłach i ewolucji tych zwierząt.

94 Poszli na łańcuszek

MAREK KĘSKRAWIEC

Dzięki dotykowi poznajemy świat i wyrażamy najgłębsze uczucia. Dlaczego używamy do tego wyłącznie dłoni? Stopy też mogą być źródłem niezwykłych doznań. Trzeba tylko mieć odwagę je uwolnić.



6 Rosja straszy
WOJCIECH KONOŃCZUK

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

■ ■ **KRAJ**

20 Szczepionkowa samoobrona
KLAUS BACHMANN

24 Osiem ton na głowę
PIOTR WÓJCIK:
*Podwyżki cen energii to skutek
długoletnich zaniedbań*

26 Nie sołtys. Sołtyska!
JĘDRZEJ DUDKIEWICZ:
*Półową polskich wsi zarządzają
dziś kobiety*

■ ■ **WIARA**

30 Światło i życie
ROZMOWA Z DOMINIKĄ
KOZŁOWSKĄ

36 List do żywych
MAŁGORZATA SOLECKA:
*Kraje wskazywane jako
centrum „cywilizacji śmierci”
bronią życia. My bronimy
wolności do rozsiewania wirusa.
Także w kościołach*

38 Zakładnicy online
MARTA ZDZIEBORSKA
o ataku na synagogę w Teksasie

■ ■ **ŚWIAT**

**42 Powolny powrót
do normalności**
PATRYCJA BUKALSKA Z ANGLII
I SZKOCJI

45 Jak najdalej od tego zła
TADEUSZ IWAŃSKI:
*Półtora miliona ludzi opuściło domy
na wschodniej Ukrainie. Ich ziemią
obietaną stało się Zakarpacie*

TEMAT TYGODNIKA

**12 Co się stanie
z naszą klasą**
MAREK RABIJ
Przywykliśmy
myśleć o sobie jako
o kowalach własnego
losu. W rzeczywistości
coraz częściej czujemy się
jak między
młotem
a kowadłem.
My, czyli polska
klasa średnia.



■ **DODATEK SPECJALNY** ■

57 Wokół Auschwitz.
Historie rodzinne i osobiste

■ **FELIETONY** ■

29 DOROTA MASŁOWSKA **41** ZUZANNA RADZIK
56 TOMASZ STAWISZYŃSKI **93** PAWEŁ BRAVO
98 STANISŁAW MANCIEWICZ
98 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE:
DOMINIKA KOZŁOWSKA, styczeń 2022 r.
FOTOGRAFIA: GRAŻYNA MAKARA

Redaktorka prowadząca: EWELINA BURDA

48 Przerwane dzieciństwo
EWA KLEWAR Z GWATEMALI
*o najgorszym miejscu do bycia
dzieckiem wśród państw obu
Ameryk*

51 Kapitalizm na nowe czasy
PIOTR BERNARDYN Z TOKIO:
*Japończycy już raz okazali się
prekursorami w rozwiniętym
świecie. Może i dziś wskażą nam
kierunek jego dalszego rozwoju?*

■ ■ **ROZMOWA**

72 Czynniki ludzki
ROZMOWA Z KENEM FOLLETTEM,
PISARZEM

■ ■ **NAUKA**

76 O czym śpiewają zeberki
DANIEL KOZŁOWSKI

■ ■ **KULTURA**

80 Konrad i duchy opieszałe
DARIUSZ KOZIŃSKI
*o „Dziadach” – politycznym
i metafizycznym zamachu
na wszystko*

84 Trzecia młodość
DOROTA KOZIŃSKA:
*Jean Rondeau, hipster przy
klawesynie, kuzynie cytry i nieco
dalszym powinowatym gitarze*

87 Pomroczość jasna
SEBASTIAN SMOLIŃSKI:
*Kino noir, del Toro i „Zaułek
koszmarów”*

90 To już nie ja
ANITA PIOTROWSKA o filmie
„Wszystko poszło dobrze”
François Ozona

92 Powrót do Wenecji
LEKTOR o książce
Ewy Bieńkowskiej
„Co mówią kamienie Wenecji”

■ ■ **ZMYŚŁY**

94 Poszli na całłość
MAREK KĘSKRAWIEC

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ **Rosyjska ruletka**

Rok temu Nawalny wrócił do Rosji. A Kreml w tym czasie
wykościł wszystko, co pachnie alternatywą polityczną – pisze
ANNA ŁABUSZEWSKA tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka

➔ **Sztuka Powszechnie Nieznana [Podkast Powszechny]**

Jak Jacob Jordaens, malarz działający w XVII wieku, ukazywał
ludzi, którzy nadużyli alkoholu? – wyjaśnia **MAGDALENA ŁANUSZKA**
powszech.net/podkast



Wojciech Jagielski: STRONA ŚWIATA

Autorski serwis specjalny

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/STRONA ŚWIATA



f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

ROSJA STRASZY

Kreml wciąż zwiększa napięcia w relacjach z Ukrainą i Zachodem, ale zarazem negocjuje, dążąc do osiągnięcia swoich celów bez wojny.

WOJCIECH KONOŃCZUK

JUŻ DO OKOŁO 130 TYS. WZROSŁA W OSTATNICH tygodniach liczba rosyjskich żołnierzy przy granicach z Ukrainą. Sieci społecznościowe pełne są filmów pokazujących eszelony z czołgami i sprzętem wojskowym zmierzające w kierunku zachodnim. Oficjalnie celem są nadzwyczajne manewry zaplanowane na luty z udziałem oddziałów białoruskich.

Towarzyszą temu orwellowskie oskarżenia Moskwy pod adresem Kijowa o rzekome przygotowania do operacji przeciwko mieszkańcom Donbasu, z których ponad 600 tys. posiada rosyjskie paszporty. Zarazem okręty rosyjskiej marynarki przygotowują manewry w wyłącznej strefie ekonomicznej Irlandii, co wzbudza obawy, że celem jest przeciwiczenie

przecinania transatlantyckich podwodnych światłowodów.

Rosyjskie działania, które Zachód odczytuje jako możliwe przygotowania do wojny, pozostają kluczowym tematem polityków i mediów. Percepcję dobrze oddają słowa sekretarza stanu Antony'ego Blinkena, który ostrzegł przed konsekwencjami złamania przez Rosję fundamentalnych zasad międzynarodowych. Jednocześnie stwierdził, że „kryzys ma skutki globalne i wymaga globalnej uwagi i działań”. Większości państw nie trzeba tego tłumaczyć, czego przejawem jest postawienie ich sił zbrojnych w stan podwyższonej gotowości. Niektórzy członkowie NATO, w szczególności Wielka Brytania i USA, w szybkim tempie zaczęli dostarczać Ukrainie uzbrojenie, a na

Żołnierz ukraiński na linii frontu w pobliżu miasta Awdijiwka, południowo-wschodnia Ukraina, 8 stycznia 2022 r.

Morzu Śródziemnym doszło do koncentracji okrętów kilku państw Sojuszu.

Podobnych napięć między Moskwą a Zachodem nie było od zakończenia zimnej wojny. Polityczne intencje Rosji są czytelne – próbuje zmusić państwa zachodnie do zrewidowania współpracy wojskowej z Ukrainą, implementacji przez Kijów niekorzystnych dla niego porozumień mińskich z 2015 r. oraz wycofania przez NATO infrastruktury wojskowej z flanki wschodniej – od państw bałtyckich przez Polskę po Rumunię. Poprzez wojenną retorykę i ruchy wojsk na dużą skalę Moskwa chce uwiarygodnić swoje groźby. Nie bawiąc się w dyplomatyczne konwenanse, wysłała sygnał: przyjmijcie nasze ultimatum albo wywołamy wojnę o trudnych do przewidzenia skutkach.

Kreml straszy, ale zarazem negocjuje. 21 stycznia w Genewie doszło do kolejnych rozmów między Blinkenem a Siergiejem Ławrowem, szefem rosyjskiej dyplomacji. Należy to odczytywać jako odstępstwo Moskwy od wcześniejszych zapowiedzi, że nie będzie nowych spotkań, dopóki Zachód na piśmie nie odniesie się do rosyjskich żądań. Choć spotkanie nie przyniosło przełomu, to już zapowiedziano kontynuację w lutym. Wydaje się, że Kreml zaskoczyła dotychczasowa nieustępliwa postawa Zachodu, w której nie widać większych pęknięć. Niepokoją jednak zachowawcze reakcje Niemiec, obawiających się konfrontacji z Rosją. Berlin zablokował dostawy broni z Estonii na Ukrainę (jest produkcji niemieckiej, a więc wymaga to zgody wytwórcy), dwuznaczne zaś wypowiedzi polityków podważają zaufanie do tego najsilniejszego państwa UE.

Zachód dopuszcza wiele scenariuszy. O ile jest możliwe, że w najbliższych tygodniach Rosja zechce wesprzeć swoje żądania działaniami wojskowymi wobec Ukrainy, to prawdopodobnie odbędzie się to na ograniczoną skalę. Działania zbrojne są wprawdzie w rosyjskim instrumentarium rozwiązywania konfliktów, ale w ideale Moskwa chciałaby przeprowadzić operację tak, aby zmusić przeciwnika do ustępstw bez jednego wystrzału. Skoro na razie nie udało się skutecznie zastraszyć Zachodu, to należy oczekiwać, że Kreml będzie chciał przycisnąć mocniej poprzez eskalowanie napięcia, prowokacje, ataki cybernetyczne i inne działania hybrydowe.

Sposobem na zniweczenie rosyjskich planów jest zdecydowana postawa państw zachodnich i wyraźne pokazanie Rosji wysokiej ceny, jaką zapłaci za wywołanie konfliktu. Ewentualne ustępstwa Moskwa odczyta jako zachętę do dalszych działań. ©

Tekst ukończono 23 stycznia.

Widziane z Moskwy: moment zawieszenia

ANNA ŁABUSZEWSKA



PO CZTERECH TURACH ROZMÓW Z „KOLEKTYWNYM Zachodem” nad propozycjami Kremla w sprawie nowej konstrukcji bezpieczeństwa nastąpił moment zawieszenia. Moskwa, domagająca się z początku natychmiastowej odpowiedzi na swój szantaż (ujęty w formie dyplomatycznej noty) wobec USA, Europy i NATO, zgodziła się poczekać jeszcze tydzień. Rozmowy w Genewie i Wiedniu najwidoczniej nie przyniosły Kremlowi zadowalających rezultatów. Zachód generalnie odpowiedział na moskiewskie ultimatum: „nie”. Ale jednocześnie zgodził się na dalsze rozmowy.

Jeszcze niedawno strasząca Ukrainę agresją rosyjska propagandowa hydra teraz z ekranu telewizyjnego zapewnia, że Rosja nie ma i nigdy nie miała zamiaru wkraczać na Ukrainę. Jednocześnie rosyjskie wojska są ściągane w tych dniach na Białoruś na wspólne ćwiczenia Państwa Związkowego. Oznacza to, że Rosja nie zrezygnowała z wykorzystania w grze z Zachodem komponentu militarnego. Obsługujące Kreml media suflują kłam-

liwe opowieści mające przekonać Kijów i sojuszników, że wszelki opór jest bezsensowny, bo rosyjskie hufce zmiotą wszystko, co napotkają na swej drodze. Wypowiadający się w rosyjskich mediach najemni eksperci wzywają do zniszczenia infrastruktury NATO powstałej w Europie po 1997 r., z lekceważeniem mówią o Ukraińcach, którzy deklarują wolę obrony ojczyzny. Wyszydzane są dostawy uzbrojenia dla Ukrainy oraz zapowiedzi ewentualnych sankcji USA. To kolejne „zakłęcie” – zarówno obowiązujące sankcje, jak i te zapowiadane są obciążeniem dla niewydolnej rosyjskiej gospodarki.

Na marginesie głównej rozgrywki z Zachodem rozgrywane są wątki „zapasowe”, które w każdej chwili mogą zostać rozdmuchane – np. komunistyczni deputowani złożyli w Dumie Państwowej projekt ustawy w sprawie uznania przez Rosję niepodległości separatystycznych „republik ludowych” w Donbasie; grę zastrzył ujawniony przez Wielką Brytanię plan zamontowania przez Moskwę marionetkowego rządu w Kijowie. ©P

Na północy wojna nerwów

„NIE CHCĘ UMIERAĆ”. „Rosja zbombarduje Szwecję”. „Idzie wojna. Przygotuj jedzenie i ciepłe ubrania”. Wiadomości tej treści, dołączane do filmów publikowanych w serwisie społecznościowym TikTok, masowo docierają w tych dniach do szwedzkich dzieci i nastolatków. Wzbudziło to już podejrzenia Agencji Obrony Psychologicznej (MPF), działającej od 1 stycznia rządowej instytucji mającej walczyć z dezinformacją. Specjaliści obawiają się, że algorytm TikToka może być wykorzystywany przez siły z zewnątrz; podejrzenia padają na Rosję. Trwa dyskusja o tym, jak ochronić najmłodszych przed wojennym lękiem. „Dzieci często martwią się bardzo wcześniej tym, co może dotyczyć ich i dorosłych, których kochają”, powiedziała dziennikowi „Aftonbladet” Marie Angsell z organizacji praw dziecka BRIS.

Rosyjska armia zwiększyła ostatnio aktywność w rejonie Morza Bałtyckiego. Nienależąca do NATO, lecz uważnie obserwująca sytuację wokół Ukrainy i ściśle współpracująca z Sojuszem Szwecja wysłała dodatkowe siły na Gotlandię. Niepokój wzmagają też incydenty z niezidentyfikowanymi dronami, które w minionym tygodniu dostrzeżono m.in. nad pałacem królewskim w Sztokholmie i trzema elektrowniami jądrowymi.

Ewentualnej eskalacji konfliktu rosyjsko-ukraińskiego obawiają się również inne państwa nordyckie. Norwegia szykuje się do międzynarodowych manewrów obronnych z udziałem 35 tys. żołnierzy. W fińskiej armii trwają ćwiczenia poborowych, którzy w razie konieczności jako pierwsi zasililiby szeregi armii zawodowej. Kopenhaga wysłała na Bałtyk fregatę rakietową, a cztery duńskie myśliwce F-16 wzmocnią natowską misję obrony przestrzeni powietrznej Litwy, Łotwy i Estonii. Siły zbrojne trzech państw bałtyckich są w stanie podwyższonej gotowości już od kilku miesięcy.

©P MARCIN ŻYŁA

Przeklęty wiadukt

MAREK KĘSKRAWIEC



TYLKO JEDEN DZIEŃ WYTRWAŁA DOMINIKA DŁUGOSZ NA stanowisku małopolskiego konserwatora zabytków. Oficjalnie zrezygnowała z powodów osobistych, ale wiele wskazuje na to, że prawdziwą przyczyną były jej wpisy w internecie, niechęć do rządu, oraz doktorat na temat adaptacji zabytkowych kościołów do nowych celów. Nie wiadomo, czy bardziej oburzać się na to, że konserwator musi mieć jedynie słuszne przekonania, czy też obśmiewać władzę za brak rozeznania w środowisku.

Powyższe to jednak tylko anegdota, której by nie było, gdyby wcześniej z tego samego stanowiska nie usunięto (również powołanej za czasów PiS) Moniki Bogdanowskiej, która przez 2,5 roku pracy zyskała szacunek mieszkańców Krakowa za upór w walce z inwestorami dewastującymi zabytki w mieście. Odwołana została nagle, a o dymisji dowiedziała się od dziennikarzy.

Nie jest tajemnicą, że Bogdanowska zadarła z szefostwem PKP PLK, realizującym w centrum Krakowa ogromny projekt wymagający odrestaurowania zabytkowego wiaduktu. Niestety, inwestycja od początku się wlecze, a dziś grozi jej utrata części dotacji. Uznano więc, że szybciej i taniej będzie wiadukt rozebrać, zbudować konstrukcję na nowo oraz wykończyć uratowaną ceramiką. Tyle że do tego potrzebna była decyzja Bogdanowskiej o wykreśleniu obiektu z rejestru zabytków, a na to nie chciała się zgodzić, obawiając się bezpowrotnych zniszczeń. W końcu okazało się, że dbałość o historię to w ustach władzy frazes, a liczy się kasa. Bogdanowską odwołano, wiadukt rozebrano. ©P

Podatniku, wybierz ordynację

DO CHAOSU, JAKI OD NOWEGO ROKU zapanował w podatkach, kolejną cegłę dołożył Mateusz Morawiecki. Premier zapowiedział, że „jeśli ktokolwiek zarabiający do 12,8 tys. zł brutto miesięcznie straci w 2022 r. na Polskim Ładzie, będzie mógł rozliczyć się na zasadach z 2021 r.”. Jak czytać te słowa – zakładając, że rząd nie zapomni przekuć ich w przepisy? Czy to zapowiedź końca reformy, czego otwarcie domagają się m.in. przedsiębiorcy i prawnicy? A może istnieją dziś w kraju dwie ordynacje podatkowe do wyboru?

Każdy dzień uporczywego trwania rządu przy Polskim Ładzie potwierdza opinie ekspertów, że mamy do czynienia z przepisami, których nie da się naprawić. Kolejne lata potęgują podatkowy chaos, który niemal na pewno poskutkuje licznymi pozwami przeciwko Skarbowi Państwa. Fiskus przypomina dziś sędziego, który biega po boisku strasząc żółtymi kartkami, ale nie powiedział zawodnikowi, jaka to gra. ©P MAREK RABIJ

KRAJ W SKRÓCIE

NIEDOBRE

Działania rządu Mateusza Morawieckiego dobrze ocenia 34 proc. badanych przez CBOS. To najniższy wynik od lipca 2015 r., czyli od czasów, gdy rządziła Ewa Kopacz. 61 proc. badanych uważa, że sytuacja w kraju zmierza w złym kierunku.

LEPIEJ

Oryginalny pomysł na jej poprawę przedstawił Marek Suski. Składając w Sejmie projekt nowelizacji ustawy o radiofonii i telewizji, zaproponował wprowadzenie w godzinach 5-24 obowiązku grania przez stacje radiowe 80 proc. polskiej muzyki. Pośet liczy na ogólnonarodową zgodę. „Zdziwiłbym się, jeśli byliby przeciwnicy polskiej muzyki, a zwolennicy zagranicznej” – mówi.

BAJECZNIE

TVP wyemitowała film, którego twórcy usiłują przypisać opozycji i innym mediom zorganizowanie nagonki na zamordowanego przed trzema laty prezydenta Gdańska, próbując najwyraźniej unieważnić nieprzyjemną prawdę, że (jak przypomnieli w Onecie Andrzej Stankiewicz) „na Pawła Adamowicza szczuła głównie TVP”.



ANDRZEJ IWĄŃCZUK / REPORTER

NAJGORZEJ

Sensacyjne wręcz doniesienia docierają z Warszawy. Oto na spotkaniu prezydenckiego Biura Bezpieczeństwa Narodowego poświęconego planom rosyjskiej agresji na Ukrainę nie został zaproszony wicepremier ds. bezpieczeństwa Jarosław Kaczyński (choć uczestniczyli w nim szefowie MSZ, MON i MSWiA).

Pegasusa można zastąpić

TEGO, CO POLITYCY PIS MÓWIĄ o Pegasusie, warto uważnie słuchać. Między próbami bagatelizowania sprawy i mętным lawirowaniem wokół faktów zdarza im się powiedzieć coś ważnego.

Sensacją ubiegłego tygodnia były słowa Marka Suskiego, który podczas konferencji prasowej w Sejmie stwierdził, iż „mówienie o jakiejś masowej inwigilacji to jest w ogóle jakiś wymysł z Księżyca, bo to były niewielkie ilości, nieprzekraczające kilkuset osób w ciągu roku”. Warto jednak zwrócić uwagę na ciąg dalszy tej wypowiedzi: „Niektóre służby mówiły, że miały dosłownie poniżej 10 nawet w trakcie roku tych działań operacyjnych na wniosek prokuratorów, za zgodą sądu”.

Dotąd wiadomo było o wykorzystywaniu Pegasusa jedynie przez CBA. Oczywiście, mogło być to tylko przejęzyczenie posła Suskiego i – jak wyjaśniał później – chodziło mu o wszystkie kontrole operacyjne, nie tylko te prowadzone za pomocą Pegasusa. Inna interpretacja jest taka, że nie tylko CBA kupiło program, lub że z Pegasusa CBA korzystała inna służba.

Warto pamiętać, że Pegasus to nie jedyny program dający potężne możliwości śledzenia. Z maili, które wyciekły do WikiLeaks, wynika, że w 2015 r. CBŚP i ABW zainteresowane były pozyskaniem podobnej technologii od włoskiej firmy Hacking Team, a negocjacje prowadziła firma Matic. Z ustaleń „Gazety Wyborczej” wynika, że ta sama firma w 2017 r. pośredniczyła w zakupie Pegasusa dla CBA.

Odebranie Polsce licencji na Pegasus nie rozwiązuje zatem żadnego problemu. – Znaleźnienie programu, który zastąpiłby Pegasusa, jest łatwe, na rynku są dziesiątki produkujących je firm – mówi nam Claudio Guarnieri, szef Amnesty International Security Lab.

Co więcej, należy pamiętać, że takie programy mogą pomagać w walce z bardzo poważnymi zagrożeniami i polskie służby powinny mieć możliwość korzystania z nich. Pod warunkiem, że będą stosowane zgodnie z prawem. Pegasus to nie jest problem z programem, tylko z systemem naszego państwa. © AGATA KAŹMIERSKA

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

DR DOMINIK ZAJĄC,
KATEDRA PRAWA KARNEGO UJ:

Władza i granica



PIOTR MALEC / KIPK

JACEK TARAN: Sąd Najwyższy uznał, że rozporządzenie rządu dotyczące zakazu przebywania na terenie stanu wyjątkowego „przekracza zakres delegacji ustawowej”

– jak to rozumieć?

DOMINIK ZAJĄC: Ustawodawca uprawnia władzę wykonawczą do tego, by rozporządzeniami dookreślała treść ustawy. Ale nie może ona wprowadzać nowych ograniczeń. Jeśli ustawa mówi: „każdy może wybudować dom”, to rząd może regulować wysokość lub kolor, ale nie może ograniczyć prawa do budowania jakiegokolwiek grupie społecznej. To samo dotyczy stanu wyjątkowego – ustawa nie zezwala na wprowadzenie zakazu udzielania pomocy humanitarnej bądź poruszania się po danym terenie. A to się właśnie stało mocą rozporządzenia.

Czy ten wyrok oznacza, że dziennikarze i aktywiści mogą wrócić nad granicę?

Wyrok nie uchyla rozporządzenia ani obowiązującej obecnie ustawy o ochronie granicy. Jest natomiast jednoznacznym sygnałem dla władz, żeby wprowadziły regulacje, które nie będą wykraczać poza ramy ustawy oraz konstytucji.

Jeśli na dziennikarzy nałożone zostaną kary, to czy mogą liczyć, że sądy rozpatrzą odwołania w myśl orzeczenia SN?

Ten wyrok wskazuje argumenty, które najprawdopodobniej zostaną przyjęte przez sądy. Na tym polega jego doniosłość, że dostajemy standard określający, co jest zgodne z prawem. Ustawodawca musi bowiem pozostawać w zgodzie z konstytucją. Przykładowo: może wyłączyć dostęp do informacji objętych tajemnicą, niejawnych. Nie może natomiast wprowadzić generalnego zakazu raportowania zdarzeń czy też zakazać ratowania życia. Ochrona życia stanowi zresztą obowiązek państwa. Nawet jeśli państwo nie wywiązuje się z niego, to nie może nikomu zakazać niesienia pomocy.

A jeśli ustawodawca nie zastosuje się do orzeczenia?

Powstanie problem funkcjonowania w systemie reguł, które są sprzeczne z konstytucją. Jesteśmy tego świadkami już od dawna. Nie spodziewałbym się większych konsekwencji politycznych. Nadzieja jest w działaniu sądów, bo tylko one mogą postawić tamę podobnym praktykom. ©P



OLYMPIA DE MAISMONT / AFP / EAST NEWS

BUNT W BURKINA FASO. Gniew przeciwko władzom stoi za zamieszkami w Wagadugu, stolicy 21-milionowej Burkiny Faso, które rozpoczęły się w minioną niedzielę od zajęcia kilku koszar przez zbuntowanych wojskowych. Prezydent Roch Kaboré – którego jedyną aktywnością było w tym czasie pogratulowanie na Twitterze burkińskim piłkarzowi awansu do kolejnej rundy Pucharu Narodów Afryki – jest tu krytykowany za brak postępów w walce z dżihadystami. W ubiegłym roku w ich atakach zginęło ok. 2 tys. mieszkańców; odległych od stolicy miejscowości bronią niewielkie, źle uzbrojone garnizony, często bezsilne wobec szybkich oddziałów dżihadystów docierających m.in. z sąsiedniego Mali. Na zdjęciu: popierający bunt mieszkańcy Wagadugu, 23 stycznia 2022 r. ©P ZYM

Jak Białoruś uprowadziła samolot



MARCIN ŻYŁA

WIEAMY JUŻ WIĘCEJ NA TEMAT incydentu z samolotem linii Ryanair, który w czerwcu 2021 r. przymusowo lądował w Mińsku, a dwoje pasażerów – dysydent Raman Prata-siewicz i jego partnerka – zostało zatrzymanych przez Białoruś. Lektura raportu Organizacji Międzynarodowego Lotnictwa Cywilnego (IATA) nie pozostawia wątpliwości, że była to operacja reżimu Alaksandra Łukaszenki, a rzekome pogroźki o bombie na pokładzie stanowiły tylko pretekst służący skierowaniu maszyny do Mińska.

Tuż przed tym, gdy samolot znalazł się nad Białorusią, z anonimowego konta w Szwajcarii wysłano sześć maili z informacją o bombie do lotnisk położonych w pobliżu trasy przelotu. W czasie rozmowy z pilotami białoruski kontroler powiedział o „mailach”, choć nie mógł wiedzieć, że było ich więcej niż jeden; pomimo ponawianych przez załogę oraz centra operacyjne Ryanair i jej polskiej spółki córki Ryanair Sun (operatora maszyny)

prośb o umożliwienie im wzajemnego kontaktu, niemal do chwili lądowania linia nie wiedziała o przyczynie przekierowania do Mińska. Samolot nie był też eskortowany przez białoruskie migi. Według raportu załoga postępowała zgodnie z procedurami, a podczas samego lotu pasażerom nie zagrażało niebezpieczeństwo.

Szczegółowe ustalenia IATA – których celem jest m.in. lepsza koordynacja działań i uniknięcie podobnych zdarzeń w przyszłości – nie są zaskakujące. Będą jednak skutkowały dalszą izolacją Białorusi w międzynarodowym ruchu lotniczym (od czasu incydentu kraj ten omijają maszyny niektórych zachodnich linii). To tylko z pozoru konsekwencje „branżowe” – swoboda żeglugi powietrznej, podobnie jak kiedyś morskiej, jest dziś jednym z pierzoch wiarygodności państwa. Z autorytarną władzą, która nie waha się uprowadzić cywilny samolot, Białoruś liczy się w świecie coraz mniej, choć dla swoich sąsiadów jest coraz groźniejsza. ©P

Co ukrywa Watykan

AKTA KOŚCIELNYCH PROCESÓW dotyczących spraw o seksualne wykorzystywanie nieletnich nie mogą być udostępniane organom państwa – zarządziła Stolica Apostolska. Wysłana biskupom instrukcja odbiera im prawo samodzielnego podejmowania decyzji – od tej pory o każdy dokument trzeba będzie się zwracać do Watykanu na drodze dyplomatycznej.

Chodzą o dokumenty procesowe (na wszystkich innych etapach postępowania instrukcja nakazuje biskupom współpracę z państwem), a więc w praktyce zakaz dotyczy przestępstw, którymi zajmowały się tylko władze kościelne, bez powiadamiania prokuratury (do czego prawo polskie zobowiązało je dopiero w 2017 r.). Jak również spraw, których organy państwa nie podjęły (np. ze względu na przedawnienie lub kwalifikację czynu), w przeciwnieństwie do sądów biskupich.

Trudno przyjąć, by powodem zakazu była ochrona danych wrażliwych i dobrego imienia stron. Dokumenty miałyby być przecież udostępnione nie opinii publicznej, ale instytucjom, które taką ochronę też zapewniają poprzez tajemnicę śledztwa czy wyłączenie jawności rozprawy. Wygląda na to, że – jak zwykle – chodzi o ukrycie spraw, które mogłyby zaszkodzić Kościołowi.

Przestępcy, zwłaszcza ci w sutannach, nie pojawiają się nagle ani znikąd. Ktoś jest odpowiedzialny za ich tzw. formację i późniejszą działalność. Ktoś nie zauważył, bagatelizował lub ukrywał ich podejrzaną zachowania. Ktoś bronił, usprawiedliwiał i traktował pobłażliwie. Akta procesów pokazałyby skalę zaniedbań i niewydolność kościelnych instytucji, w tym także biskupich sądów, które miewają problemy z bezstronnością i kompetentnym procedowaniem.

Troska o dobre imię instytucji nadal zwycięża.

©© EDWARD AUGUSTYN

Więcej na:

powszech.net/watykan-akta

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

PRZEŚLADOWANIA

Według szacunków Międzynarodowego Dzieła Chrześcijańskiego „Open Doors” od 20 mln do 360 mln wzrosła w ubiegłym roku liczba prześladowanych na świecie chrześcijan. Na liście państw najbardziej dla chrześcijan niebezpiecznych Afganistan wyprowadził Koreę Północną.

TYTUŁ

Żyjący w II wieku św. Ireneusz z Lyonu otrzymał tytuł doktora Kościoła. Papież napisał w dekrecie, że będzie mu przysługiwał tytuł doktora jedności. „Pochodzący ze Wschodu, sprawował swoją posługę biskupią na Zachodzie: był duchowym i teologicznym pomostem między chrześcijanami Wschodu i Zachodu” – wyjaśnił.



VATICAN MEDIA

OBRZĘD

W Niedzielę Słowa Bożego papież po raz pierwszy w specjalnym obrzędzie ustanowił lektorów i katechistów. Wśród tych ostatnich znalazł się Polak ze Zgierza – Jacek Kralkowski (na zdjęciu). W ogłoszonym w ubiegłym roku dokumencie Franciszek umożliwił udzielanie posług lektora także kobietom i rozszerzył zadania duszpasterskie katechistów.

POMOC

Franciszek przekazał 100 tys. euro na rzecz grup migrantów, którzy utknęli między Polską a Białorusią oraz na pomoc dla Caritas Polska w związku z kryzysem migracyjnym na granicy obu krajów – poinformowała Dykasteria ds. Integralnego Rozwoju Człowieka.

Papież emeryt ma kłopoty

ARTUR SPORNIAK



W NIEMCZECH OGŁOSZONO RAPORT PRZEDSTAWIAJĄCY przypadki pedofilii w archidiecezji monachijskiej w latach 1945-2019. Prawnicy z wynajętej przez archidiecezję kancelarii zidentyfikowali 235 sprawców i 497 ofiar. Raport pokazuje, że przynajmniej do roku 2010 zasadą było, iż sprawcy nie ponosili konsekwencji za swoje czyny, a jeśli byli karani, po odbyciu kary powracali do pracy duszpasterskiej, co często kończyło się wykorzystaniem następnych ofiar. Ignorowano także ofiary, traktując je przede wszystkim „jako zagrożenie dla instytucji”.

Zarzut uchybień raport stawia wszystkim sześciu monachijskim arcybiskupom – w tym trzem żyjącym: Josephowi Ratzingerowi (który kierował archidiecezją w latach 1977-1982) oraz kardynałom Friedrichowi Wetterowi i Reinhardowi Markowski. Emerytowany papież odpowiada za cztery rozpatrywane przypadki. W 82-stronicowej odpowiedzi na pytania prawników Ratzinger stanowczo odrzucił zarzuty, zaslaniając się niewiedzą albo pomniejszając skalę krzywdy. Prawnicy określili jego wyjaśnienia jako „mało wiarygodne”. Po wstępnym zapoznaniu się z raportem papież emeryt przyznał jednak, że jego wiedza była większa, a raport „napawa go wstydem i bólem z powodu cierpień zadawanych ofiarom”.

Raport pokazuje, że Ratzinger na przełomie lat 70. i 80. nie wyróżniał się wśród innych hierarchów w podejściu do pedofilii – uczestniczył w systemowym ignorowaniu krzywdy ofiar i bagatelizowaniu przestępstw duchownych. Mimo oznak skruchy to poważnie nadwyreża autorytet Benedykta XVI. Traci wiarygodność także proponowany przez papieża emeryta konserwatywny pomysł na reformę Kościoła – sprzeciwia się on głębszym systemowym zmianom, wzywając jedynie do rzeczywistego nawrócenia ludzi Kościoła. Temu kościelnemu nawróceniu ewidentnie trzeba jednak strukturalnie pomóc. ©©

Synod i święcenia kobiet

CZY W KOŚCIELE będzie można swobodnie i jawnie rozmawiać o udzielaniu święceń prezbiteratu kobietom? Wygląda na to, że tak. Na oficjalnej watykańskiej internetowej witrynie, na której zamieszczone są linki do stron rozmaitych grup i organizacji zaangażowanych w proces synodalny, znalazła się też organizacja Women's Ordination Conference.

Jest to znacząca zmiana postawy Watykanu. Dotychczas bowiem Konferencja na rzecz Święceń Kobiet nie była traktowana w Rzymie jako partner do rozmów. Widać, że organizatorzy Synodu starają się brać na poważnie własny postulat, by wybrzmiały i zostały wysłuchane głosy wszystkich katolickich i katolików, także te dotąd marginalizowane, a nawet tłumione.

Przedstawiciele Watykanu podkreślają co prawda, że decyzja o umieszczeniu linku do strony Women's Ordination Conference nie oznacza zgody na jej postulaty. Ważne jednak, że osoby, które te postulaty zgłaszają, są już przez Rzym traktowane jako pełnoprawna część kościelnej wspólnoty. ©© PIOTR SIKORA

KULTURA W SKRÓCIE

GŁOSY NA STRZĘPKĘ

Reżyserka Monika Strzępka została wybrana nową dyrektorką stołecznego Teatru Dramatycznego – jej kadencja rozpocznie się z najbliższym sezonem artystycznym, we wrześniu. O stanowisko Strzępka rywalizowała z Michałem Zadarą, Ryszardem Adamskim i obecnym dyrektorem teatru, Tadeuszem Słobodzińskim.

GŁOSA DO SIENKIEWICZA

Opracowania krytycznego dzieł Henryka Sienkiewicza – z komentarzami, przypisami, historią tekstu – podejmą się literaturoznawcy z Uniwersytetu w Białymstoku. Edycji poddane zostaną nowelistyka, powieści, publicystyka społeczna i literacka, pisma polityczne, podróżnicze, wywiady i inne utwory – poza korespondencją prywatną pisarza, która została już opracowana. Projekt potrwa kilkanaście lat, zespół będzie liczył kilkanaście osób, opublikowanych zostanie blisko 40 tomów dzieł.

GŁOS ŚLĄSKA

W Bazylice Mniejszej pw. św. Elżbiety we Wrocławiu po raz pierwszy od 46 lat zabrzmiał Głos Śląska. Organy Englera od XVIII wieku były najokazalszym instrumentem regionu – złożone, z setką rzeźbionych detali. Niestety, spłonęły doszczętnie w czerwcu 1976 r. 27 stycznia na odbudowanym przez miasto instrumencie, w towarzystwie chóru Narodowego Forum Muzyki, zagra włoski organista Lorenzo Ghielmi. Transmisję z uroczystości będzie można oglądać na stronie www.wroclaw.pl.



PATRYCJA BUKALSKA

opowie Agnieszce Lichnerowicz o początku końca pandemii na Wyspach Brytyjskich w „Światopodglądzie” Radia TOK FM, w środę 26 stycznia, o godz. 15.20 87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin 94,9 FM Kielce www.tokfm.pl



ANNA MARIA BINIECKA

BARBARA KRAFFTÓWNA zmarła

23 stycznia w wieku 93 lat. Dla miłośników seriali pozostała Honoratką z „Czterech pancernych”, dla teatrologów – pierwszą na scenie Iwoną, księżniczką Burgunda według Gombrowicza, a dla fanów twórczości Jeremiego Przybory – niezapomnianym głosem, który każdej wiosny i jesieni przypominał sfrustrowanym rodzicom, że „trzeba by zalecić w czasie deszczu nie mieć dzieci”. Grała u Kazimierza Kutza, Andrzeja Wajdy, Stanisława Barei. Za rolę Felicji w ekranizacji opowiadania Kazimierza Brandysa „Jak być kochaną” w reż. Wojciecha Hasa została doceniona przez jury Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w San Sebastian. Nie sposób jednak wymienić wszystkich nagród i wyróżnień, które odebrała za swoją pracę od 1949 r. Jej biografia jest historią polskiego kina, teatru i telewizji.

© P MOCH

Skracanie izolacji to zły pomysł

PIERWSZE DONIESIENIA o Omikronie i analizy obecnej sytuacji pandemicznej dowodzą, że wariant ten zakaźnością znacząco przewyższa Deltę. Początkowo sądzono, że odpowiada za to zwiększona ilość wirusa w górnych drogach oddechowych. Jednak naukowcy z Genewy i Bostonu niezależnie od siebie sugerują, że miano obu tych wariantów wirusa w badaniu PCR jest podobne. Konkluzje obu artykułów podważają proste przełożenie ilości wirusa w drogach oddechowych na zakaźność. Większe znaczenie może mieć unikanie przez wariant Omikron odporności nabytej po szczepieniu lub przechorowaniu.

W badaniu bostońskim Hay i współpracownicy zauważyli również, że w przypadku Omikrona po 5 dniach od pierwszego dodatniego wyniku u połowy pacjentów ilość wirusa wciąż pozwała na zakażenie innych. To ważne, bo m.in. w USA i Polsce czas izolacji właśnie został skrócony. Autorzy postulują, by czas izolacji dobierać indywidualnie na podstawie kolejnych testów.

© BARTOSZ KABAŁA

Ślina zbliża ludzi

DOROŚLI NA OGÓŁ POTRAFIĄ ocenić na podstawie obserwacji zachowania nieznanych im dwojga ludzi, jak bliskie relacje ich łączą. Ashley J. Thomas z Uniwersytetu Harvarda i współpracownicy postanowili sprawdzić, czy ta umiejętność obecna jest także u małych dzieci.

W jednym z kilku przeprowadzonych przez badaczy eksperymentów pokazywano dzieciom sceny, w których postacie z kreskówek lub maskotki dzieliły się jedzeniem. Mogło to być jedzenie łatwe do podziału (np. talerzyk ciasteczek) oraz takie, w przypadku którego poczęstowanie drugiej osoby wymaga narażenia się na kontakt z jej śliną (np. lizak albo lody). Następnie badacze przedstawiali kolejne sceny, w których te same postacie siedziały obok siebie, a ta, która wcześniej dzieliła się jedzeniem, płakała. Zespół Thomas interesowało to, na której z pozostałych postaci dzieci w takiej sytuacji skupią wzrok. Okazało się, że już 8-10-miesięczne niemowlęta częściej zerknęły na tę postać, która wcześniej otrzymała poślinione jedzenie – tak jakby oczekiwały specjalnej reakcji z jej strony.

Oczywiście, dzieci nie rodzą się z wrodzoną wiedzą, że tolerancja dla śliny drugiej osoby świadczy o tym, że tworzymy z nią bliskie relacje i chętniej takiej osobie pomagamy. Ale bardzo szybko się tego uczą, obserwując pocałunki, dzielenie się żywnością i pocieszanie się w rodzinie.

© P ŁK

CO SIĘ STANIE Z NASZĄ KLASĄ

Przywykliśmy myśleć o sobie jako o kowalach własnego losu. W rzeczywistości coraz częściej czujemy się jak między młotem a kowadłem. My, czyli polska klasa średnia.

TEKST **MAREK RABIJ** | ILUSTRACJA **KASIA KOZAKIEWICZ**

PROBLEM MOŻNA OCZYWIŚCIE WYKPIĆ, sprowadzając do myślenia życzeniowego, rozbuchanych ambicji lub życia ponad stan. Jednak bez względu na to, przez jakie okulary ogląda się dziś klasę średnią, widać grupę społeczną, w której narasta niepokój i frustracja. Co robimy źle, że pomimo ciężkiej pracy i wyrzeczeń wciąż daleko nam do osiągnięcia życiowej stabilizacji? Biegniemy zbyt wolno? W złym kierunku? A może to rzeczywistość przyspieszyła tak, że nie jesteśmy w stanie dotrzymać jej tempa? Tylko dlaczego innym ten sam zegar odmierza czas jakoś bardziej łitościwie?

Nasze skargi z rzadka goszczą na pierwszych stronach gazet i serwisów informacyjnych. Głównymi bohaterami są dziś – zresztą słusznie – wykluczeni i najubożsi. Rzecz w tym, że reszta społeczeństwa chyba uwierzyła, że stąpamy wyłącznie po płatkach róż, i nie chce przyjąć do wiadomości, iż przedsiębiorców jest wśród nas mniej niż urzędników i pracowników fizycznych, a w co czwartym domu klasy średniej dochody na osobę nie przekraczają 1,5 tys. zł.

Po części sami jesteśmy temu winni, bo niechętnie obnosimy się ze swoimi problemami. W końcu na etos klasy średniej składają się przezorność, odpowiedzialność, samodzielność i samorozwój, a gdy jest się kapitanem własnego okrętu,

sygnał SOS, oprócz wołania o pomoc, oznacza też przyznanie się do błędu. Zwłaszcza gdy w najbliższym otoczeniu – sąsiadów, znajomych z pracy czy rodziców widywanych na wywiadówkach – przeważają podobnie myślący, milczący na temat swego losu średniacy.



Szklany sufit, cienki lód

Sytuacja ulega zmianie w gabinecie psychoterapeuty albo podczas szczerej rozmowy z socjologiem – w każdym razie w obliczu kogoś wyposażonego w jakże cenione przez nas przygotowanie merytoryczne. Dopiero tam wyłazła z nas wszystkie lęki. Co drugi z nas (45 proc.) nie ma żadnych oszczędności. Niemal siedmiu na dziesięciu poziom zaspokojenia potrzeb własnej rodziny określa jako wystarczający, ale tylko w odniesieniu do ludzi najgorzej zarabiających – w ten sposób chyba daje o sobie znać wyniesione z domu przyzwyczajenie, by nie narzekać, bo zawsze może być gorzej. Na pytanie o ocenę własnego położenia w stosunku do osób o zbliżonej pozycji społecznej już tylko 14 proc. z nas odpowiada, że radzi sobie lepiej. Aż 40 proc. żywi natomiast przekonanie, że nie dorównuje reszcie zarobkami i standardem życia (badania Tomasza Kukołowicza z 2019 r.).

Słowem, zbudowani jesteśmy raczej z obaw przed porażką niż z wiary w dogonienie lepszych od siebie. Stąpamy po cienkim lodzie. Jeśli – jak 16 proc. z nas – spłacamy kredyt mieszkaniowy, to zdążyliśmy już sprawdzić, że od eksmisji dzieli nas raptem trzy niespłacone raty, czyli scenariusz aż nazbyt realny po utracie pracy czy dłuższej chorobie. Co do tego, że nie jesteśmy ulubieńcami obecnej władzy i nie możemy liczyć na jej pomoc, nie musimy się nawet upewniać: Polski Ład wprost wskazuje nas jako tych, którzy powinni wziąć na siebie ciężar budowy „sprawiedliwszej” rzeczywistości podatkowej. Rządzący przekonują wprawdzie, że dzięki dopisanej *ad hoc* uldze dla klasy średniej większość z nas dołączy do mitycznej rzeszy 18 mln beneficjentów tej zmiany, ale zamiast wierzyć na słowo, my wolimy policzyć – i za nic nie chcemy wyjść, że nie stracimy. W najlepszym razie wyjdziemy na zero.

Kilkuset z nas, mających za sobą doświadczenie bezrobocia, wzięło niedawno udział w badaniu przeprowadzonym przez naukowców z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika i Szkoły Głównej Handlowej, pod kierunkiem prof. Tomasa Szlendaka i prof. Arkadiusza Karwac-

kiego. Uczestnicy mieli opisać w formie pamiętnika perypetie z poszukiwaniem nowej pracy i okolicznościami utraty poprzedniej. W tych historiach jak refren powracał wątek niestabilności, stresu przed utratą pracy i związanego z nią statusu, a także traktowania kompetencji jak towaru, który można znacznie przeceniać w trudnej sytuacji rynkowej. A my naiwnie wierzyliśmy, że wykształcenie i erudycja to ten rodzaj waluty, którego na rynku nie ma się inflacja.

W efekcie są wśród nas i tacy, którzy po utracie posady w dużej korporacji usuwają z CV adnotacje o międzynarodowych stażach i opanowanych językach obcych – w nadziei, iż życiorys w okrojonej wersji nie przeszkodzi w ubieganiu się o etat w instytucji kulturalnej. Mamy też w swoim gronie świetnie wykształconych prawników, którzy od lat skaczą po kolejnych nisko płatnych stażach w kancelariach adwokackich. Utalentowanych twórców kultury grubo po trzydziestce, którzy po kolejnym zleceniu w stolicy wracają do rodzinnej

domu gdzieś pod Łomżą, bo nieregularne dochody nie wystarczają nawet na wynajem mieszkania.

I choć sami coraz częściej bijemy głową w szklany sufit, to wciąż uparcie wierzymy, że uda się go skruszyć naszym dzieciom. Dlatego posyłamy je do dobrych szkół, na korepetycje, naukę języków. Inwestujemy w ich przyszłość nawet kosztem własnej teraźniejszości.

Projekt dobrego życia

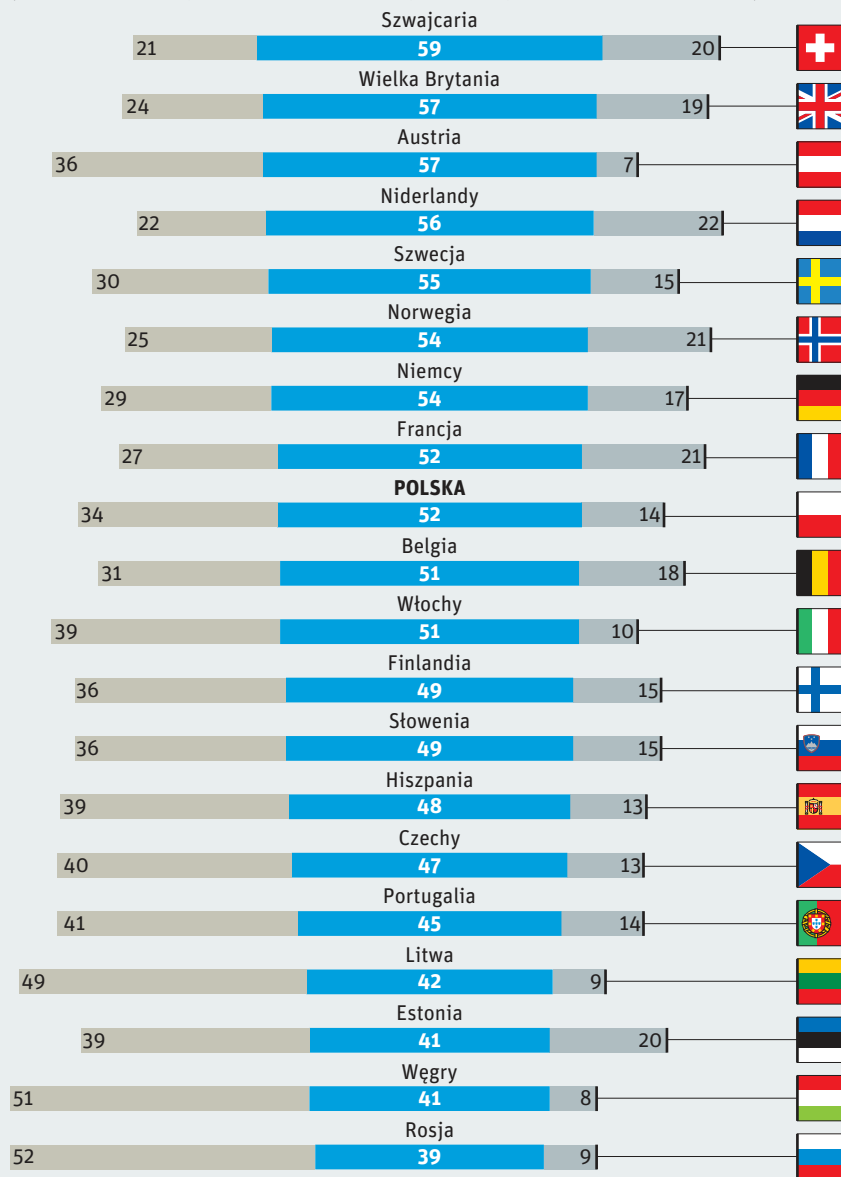
– Przyjaciółka – opowiada Dorota – spytała mnie kiedyś, czy umiałabym opisać swój los jednym słowem. Najpierw odpowiedziałam „ucieczka”, ale szybko zaczęłam się wahać, czy trafniejszy nie będzie jednak „pościg”. W każdym razie przez



KLASA ŚREDNIA W EUROPIE

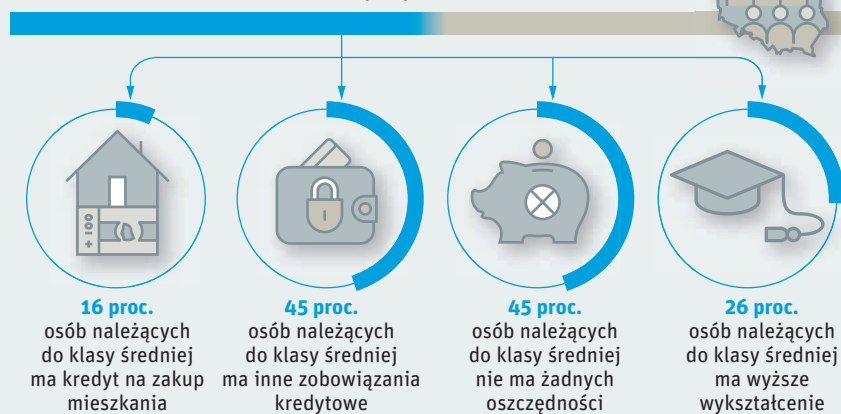
(KLASY SPOŁECZNE JAKO ODSETEK DOROSŁEJ POPULACJI, KRYTERIUM ZAWODOWE)

klasa niższa klasa średnia klasa wyższa



KLASA ŚREDNIA W POLSCE

11-12 milionów osób w wieku 24-64 lata



ŹRÓDŁO: POLSKI INSTYTUT EKONOMICZNY „KLASA ŚREDNIA W POLSCE. CZY ISTNIEJE POLSKI SELF-MADE MAN?”, 2020 R.

LECH MAZURZYK

→ całe dorosłe życie od czegoś uciekam. Albo za czymś gonię.

Dorota ma 16 lat, kiedy pewnego popołudnia, wróciwszy ze szkoły, znajduje w kuchni martwą matkę. Zostaje z ojcem, drobnym przedsiębiorcą, który handluje na Stadionie Dziesięciolecia. Jest końcówka lat 90., można z tego całkiem dobrze żyć. Tata nie radzi sobie jednak ze stratą żony i zaczyna zaglądać do kieliszka. W domu coraz częściej brakuje jedzenia.

Dorota szykuje się do matury, kiedy ojciec po pijanemu potracą człowieka ze skutkiem śmiertelnym. Dostaje pięć lat więzienia. Wychodzi po trzech, ale jako wrak. Coraz więcej alkoholu, kolejne, coraz większe długi. Mieszkanie rodziny trafia na licytację komorniczą. Ojciec zapija się na śmierć. Córka dowie się o tym dopiero miesiąc po pogrzebie urządzonym na koszt gminy.

– Na romanistyce zakuwałam jak durna, bo wiedziałam, że studia będą moim jedynym kapitałem – Dorota mimo wszystko wspomina studencki czas z sentymentem. – A potem poznałam faceta, takiego ze zwykłą, wspierającą rodziną. I pomyślałam, że chyba nadszedł moment, w którym mogę przestać na chwilę ścigać się z rzeczywistością. Zrezygnowałam z doktoratu. Wzięliśmy ślub, zaszłam w ciążę.

Tydzień po porodzie mąż wychodzi wieczorem po papierosy i pieluchy. Odezwie się po miesiącu z Londynu. Przerosło go, jak wyjaśni, bycie ojcem.

Dorota: – Teściowie zaproponowali mi wynajem mieszkania, które kupili ponoć dla nas. Nie chcą – tłumaczyli – stawać po czyjejs stronie, ale nie miałam złudzeń, że winą za całą sytuację obarczyli mnie. Stawka, jakiej żądali, była zresztą dla mnie nie do przyjęcia, wyniosłam się więc z synkiem do pokoju na peryferiach Warszawy. Wtedy postanowiłam, że już nigdy nikt nie wyrzuci mojego dziecka z domu, bo kupię mu mieszkanie.

Pierwsze podejście Dorota robi na początku 2008 r. Pracuje wtedy w jednym z centrów usług dla biznesu, ale wychodzi jej, że wraz z alimentami na syna, które ojciec płaci na szczęście regularnie, może sobie pozwolić na kawalerkę. Wtedy do akcji wkracza jednak Komisja Nadzoru Finansowego, zaostrożając reguły wyliczania zdolno-

ści kredytowej. W nowym reżimie Doroty nie stać już na mieszkanie.

– A potem skończyły się kredyty we frankach. Zaczęłam zbierać wkład własny do kredytu w złotych – i ciułam tak już 12 lat, bo życie czasami zmusza, żeby wydać część tych oszczędności. Dwa razy podchodziłam do zakupu i za każdym razem okazywało się, że mam minimalnie za mały wkład – bo mieszkania drożały. Teraz, dla odmiany, w górę poszły jeszcze stopy procentowe i okazuje się, że choć pracuję w dwóch miejscach, a wkładu wystarczyłoby mi na 50 metrów w bloku z lat 70., to po prostu nie mogę zaryzykować kredytu z ratą równą 40 proc. moich dochodów – Dorota strzela z pamięci wielokrotnie przeciwczonymi szacunkami.

Kilka dni po rozmowie firma HRE Investment publikuje wyliczenie, z którego wynika, że po ostatniej podwyżce stóp procentowych trzyosobowa rodzina złożona z dwójki dorosłych zarabiających średnią krajową (ok. 4,4 tys. zł na rękę) może liczyć na ok. 650 tys. zł kredytu hipotecznego. Rok temu ta sama rodzina z dochodem niższym łącznie o jakieś 200 zł – bo o tyle urosły w tym czasie dwie średnie pensje – dostałaby w banku o 100 tys. zł więcej.

Gdyby jednak przed rokiem wspomniana rodzina zdecydowała się na 750 tys. zł kredytu zaciągniętego na 25 lat, dziś miałaby ratę kredytu na poziomie ok. 4,5 tys. – czyli wyższą od początkowej o jakieś 1,2 tys. zł. Jeśli zaś spełnią się zapowiedzi ekonomistów, którzy główną stopę procentową widzą na koniec roku na poziomie 4,5 proc., wówczas ze wspomnianych 4,5 tys. zrobi się 5 tys. zł! Posiadanie własnego mieszkania – jeden z wyróżników klasy średniej – staje się więc coraz kosztowniejsze.

Socjolog Mikołaj Lewicki w „Społecznym życiu hipoteki” przytacza opowieści posiadaczy kredytów hipotecznych rekrutujących się głównie z dolnych warstw klasy średniej. Wspólnym mianownikiem niemal wszystkich historii jest mieszkanie traktowane nie jako inwestycja, ale bezpieczne miejsce będące osią ich projektu dobrego życia. Cytowani kredytobiorcy podejmują decyzje podług ich oceny optymalne („koszt kredytu był wtedy niewiele wyższy od kosztów najmu”) i dobrze skalkulowane („damy radę spłacać, nawet jeśli rata wzrośnie o jedną trzecią”), kierując się również przeświadczeniem, że to oni sami, a nie

W latach 90. klasę
średnią nazywano filarem
i gwarantem zdrowej
demokracji. Dziś politycy
zachowują się tak, jakby
dłużej nie była im potrzebna.

np. państwo, są odpowiedzialni za zapewnienie rodzinie bezpiecznej przystani.

Paradoks sytuacji polega jednak na tym, że w ten sposób ich „projekt dobrego życia” staje się kolejną inwestycją banku, dewelopera i funduszy hedgingowych grających na osłabienie polskiej waluty. Kiedy dochodzi do załamania kursu złotego wobec franka lub w górę wystrzelują stopy procentowe, ciągnąc za sobą raty, posiadacze kredytu zaciskają zęby i ratują swoje „miejsce do życia” – nie tylko kosztem coraz większych wyrzeczeń, ale również poczucia osobistej porażki.

„Z naszych badań wyłania się obraz ludzi, którzy podłączyli się – niemal bezpośrednio – pod globalny rynek finan-

sowy, aby podjąć próbę historycznej nie-raz autonomizacji” – puentuje Lewicki w rozmowie dla „Krytyki Politycznej”.

W tym miejscu można zapytać: a w czym jesteście lepsi chociażby od kasjerek w hipermarketach, niewykwalifikowanych robotników budowlanych czy pracowników dusznych magazynów Amazona, którzy też każdego ranka ruszają do pracy z zaciśniętymi zębami? Można by, za socjologami, odpowiedzieć, że w odróżnieniu od przedstawicieli takich zawodów mamy dojmujące poczucie życiowej porażki, bo dekady spędzone na nauce i samodoskonaleniu nie zaowocowały tym, na co liczyliśmy. I że boleśnie zdajemy sobie sprawę, iż z dobrego ślusarza na przyzwoitego kierowcę ciężarówki można przekwalifikować się najwyżej w dwa lata, podczas gdy doktor antropologii nigdy nie zostanie doktorem nauk medycznych.

Bylibyśmy jednak hipokrytami, gdybyśmy nie przyznali, że długo czuliśmy się faktycznie – może nie lepsi, ale ważniejsi.

Dzieci Karwowskiego

Pamiętacie „Czterdziestolatka”, serial Jerzego Gruzdy? Stefan Karwowski. Mieszkanie na nowym osiedlu ówczesnej Warszawy. Telewizor, meble, mały fiat. Epoka Gierka w pełnym rozkwicie. Inżynier pracuje na wielkiej budowie jako kierownik odcinka, zarządzając zespołem niezbyt rozgarniętych i leniwych robotników, którzy bez jego opieki w najlepszym razie ugrzęźliby w błocie. Po godzinach pracy Karwowski staje się zwykłym mężczyzną w średnim wieku, walczącym z łysieniem i nadwagą, przeżywającym problemy małżeńskie i dylematy wychowawcze, z których zwierza się przyjacielowi-lekarzowi.

Rzecz jasna scenarzyści zdecydowali się na tę dychotomię nieprzypadkowo. Inżynier Karwowski miał bowiem egzemplifikować ważną społeczną zmianę, którą przynosi koniec lat 60. i dekada lat 70. Polska ma już wtedy za sobą industrializację i elektryfikację. Pokolenie urodzone tuż po wojnie zakłada rodziny i otwarcie kontestuje stary porządek społeczeństwa socjalistycznego, w którym wszyscy mieli być równi. W realiach sojuszu robotniczo-chłopskiego równość klas coraz częściej oznacza przeciwieństwo: hołubieni przez partię robotnicy zarabiają lepiej od nauczycieli i urzędników. ➔



→ Tymczasem gierkowska modernizacja kraju za zagraniczne kredyty potrzebuje nie tyle robotników, ile inżynierów, architektów i księgowych. Partia postanawia więc wyjść ze ślepej uliczki klasowego egalitaryzmu i pokazać, jak ważni są dla niej właśnie Karwowscy: socjalistyczna klasa średnia z typowymi dla niej rozrywkami, jak wizyty w operetce (tymczasowo zmobilizowany inżynier zabierze tam poborowych) czy polowanie, na które Stefan wyrusza z pryncypałami w nadziei na awans.

Telewizyjny „Czterdziestolatek” oczywiście nie leci w politycznej próżni. W latach 70. i 80. zatrudnienie w przemyśle rośnie w Polsce już tylko o 17 proc. W tym samym czasie liczba etatów w sektorach pozamaterialnych, jak usługi, edukacja i ochrona zdrowia, skacze aż o 50 proc., a dla podtrzymania tego trendu władze ograniczają liczbę miejsc w szkołach zawodowych na rzecz liceów ogólnokształcących i techników. Przewaga wynagrodzeń robotników nad dochodami inteligencji najpierw maleje, a pod koniec rządów Gierka zanika. W 1986 r. średnie wynagrodzenie robotników w przemyśle stanowi już 92 proc. przeciętnego wynagrodzenia w sektorze niematerialnym. Do końca kolejnej dekady stopnieje do niespełna 61 proc.

My, klasa średnia, wszyscy jesteśmy dziećmi inżyniera Karwowskiego. Wyrosliśmy w świecie, w którym praca fizyczna z definicji jest mniej ważna od naszych edytorów tekstów, arkuszy kalkulacyjnych czy programów do projektowania. Dopóki rytm cywilizacji wyceniał te umiejętności zgodnie z naszym systemem wartości, czyli wyżej od pracy robotnika, czuliśmy się na swoim miejscu. Ważni i potrzebni. Niestety, gdy rynek zorientował się, że cierpi na nadmiar magistrów socjologii przy jednoczesnym deficycie kierowców, zaczął płacić tym drugim za uważalnie lepiej niż pierwszym – a na to nie byliśmy gotowi.

Na domiar złego w podobnym kierunku skrzyła polityka. W latach 90. nazywano nas filarem i gwarantem zdrowej

Kiedy dochodzi do załamania kursu złotego lub podwyżki stóp procentowych, posiadacze kredytu zaciskają zęby, tłumiąc poczucie osobistej porażki.

demokracji. Dziś politycy zachowują się tak, jakbyśmy dłużej nie byli im potrzebni.

Nieistniejące państwo środka

Najświeższy przykład? Znow trzeba wrócić do Polskiego Ładu, który miał sprawić, że najbiedniejsi, wydający niemal wszystko na żywność, przestaną być grupą obciążoną realnie najwyższymi podatkami. A że wywodzi się często z rodzin robotniczych i chłopskich, to zapewne dlatego aż 80 proc. z nas popiera ideę solidarności społecznej, również w formie większej niż dotąd progresji podatkowej.

Poparcie dla pomysłu większego obciążania podatkami bogatszych nie oznacza jednak bezwarunkowej akceptacji wybranej metody. Tymczasem – jak wynika z wyliczeń dr. Pawła Doligalskiego z Uniwersytetu w Bristolu i dr. Wojciecha Paczosa z Uniwersytetu w Cardiff – Polski Ład wyjątkowo łagodnie traktuje prawdziwe finansowe elity: grupę podatników, którzy zarabiają powyżej 200 tys. zł rocznie, zwłaszcza na jednoosobowej działalności gospodarczej. W tym ostatnim przypadku realne obciążenia rosną z 13 do zaledwie 14,21 proc. Z wyliczeń obu ekonomistów wynika też, że zarabiający ponad ćwierć miliona złotych rocznie mogliby zostać obciążeni podatkiem na poziomie nawet 45 proc. – i to bez du-

żego ryzyka, że taka podwyżka podziła na nich demobilizująco lub skłoni do ucieczki w szarą strefę, bo ich zysk i tak utrzymywałby się na poziomie zapewniającym wysoką stopę życiową.

Grupą najbardziej poszkodowaną przez Polski Ład są natomiast samozatrudnieni, którzy co miesiąc wystawiają faktury na kwotę ok. 6-11 tys. zł brutto. Skąd ta dysproporcja? Odpowiedź mogą zawierać statystyki resortu finansów, z których wynika, że liczba podatników, którzy mogą pochwalić się dochodami powyżej 200 tys. zł rocznie, nie przekracza dziś w Polsce nawet 400 tysięcy. Tych, którzy mieszczą się we wspomnianym progu 6-11 tys. zł miesięcznie, jest za to ponad sześć milionów. W pewnym sensie padamy więc, jako klasa średnia, ofiarą własnej liczebności.

Dla pełnego obrazu trzeba jednak przyznać, że zbyt łatwo pozwoliliśmy politykom o nas zapomnieć. A był czas, kiedy wydawało się, że po fali strajków w likwi-



dowanych zakładach przemysłowych z połowy lat 90. i późniejszym o kilka lat fenomenie rolniczej Samoobrony – to właśnie klasa średnia zajmie centralne miejsce na arenie protestów społecznych. Białe Miasteczka pod budynkami rządowymi, strajk nauczycieli, protesty frankowiczów – to właśnie my w ostatnich latach najgłośniej wykrzykiwaliśmy niezgodę na inercję, w jaką popada państwo polskie. Więcej: w odróżnieniu od górników czy rolników, walczących raczej o zachowanie zawodowych przywilejów, udało nam się też przekonać część opinii publicznej, że protestujemy w imieniu całego społeczeństwa.

Niestety, po wszystkim rozeszliśmy się do domów. Tworzymy bowiem wielki *patchwork* drobnych przedsiębiorców i profesorów, wielkomiejskich hipsterów i mieszkańców wsi o wybitnie konserwatywnych światopoglądach, młodych i emerytów. W rezultacie, jak mówi o nas prof. Jarosław Flis, politolog z Uniwersytetu Jagiellońskiego, tworzymy też grupę społeczną politycznie „nieoperatywną”, czyli niezdolną do walki o swoje za pomocą narzędzi klasycznej polityki.

Prof. Antoni Dudek, politolog, patrzy na to nieco inaczej: – Nie powiedziałbym, że klasa średnia nie ma dziś żadnego reprezentanta w świecie polityki, bo zarówno Platforma Obywatelska, jak i Polska 2050 Hołowni próbują ten elektorat zagospodarować. Natomiast w sferze programowej przedstawiciele klasy średniej faktycznie przestali być aktorami

pierwszoplanowymi. Politycy wołać trafiać do nich za pomocą projektów czy idei odpowiadających na potrzeby konkretnych grup zawodowych, choćby lekarzy, urzędników czy nauczycieli.

Jak żyć?

Może więc czas pogodzić się z tym, że klasa średnia stała się bytem anachronicznym? Niektórzy socjologowie twierdzą, że jako grupa społeczna kurczymy się, odkąd powstałimy, bo jak każdy byt ze środka, podlegamy presji z dwóch stron. Nasze elity, jak opisał to klasyk badań tematu Pierre Bourdieu, z lubością kopiują klasę wyższą i część z nich w końcu doświadcza awansu. Na dole zaś trwa zażarta walka o *status quo*. Pamiętacie furie, jaką u części społeczeństwa wywołało wprowadzenie 500 plus albo tzw. polskie strefy na greckiej czy tureckiej riwierze? Nie chodziło przecież o styl uprawiania turystyki. Bardziej o to, że do wakacyjnych ogrodów klasy średniej za pieniądze od państwa niespodziewanie wtargnęli rzekomi barbarzyńcy.

Nasze imperium faktycznie przemija. W USA i w Europie Zachodniej narodziła się klasa średnia wiązała się z gospodarczym bohemem, połączonym z powiewem egalitaryzmu, który wprost z okopów II wojny światowej trafił na salony tamtejszych elit. Ten cud trwał jednak niespełna jedno pokolenie. Z danych OECD wynika, że w latach 1986-2016 udział klasy średniej w społeczeństwach najbardziej rozwiniętych krajów świata

zmniejszył się z 64 do 61 proc. Słabnąca dynamika dochodów sprawiła, że średniakom coraz trudniej było w tym czasie awansować do naprawdę bogatych, za to coraz częściej zmagali się z ryzykiem społecznej i majątkowej degradacji. Pomiędzy latami 2007 a 2016 mediana realnych dochodów klasy średniej wzrastała w krajach OECD o zaledwie 0,3 proc. rocznie. To znacznie wolniej niż w okresie od połowy lat 90. XX wieku, gdy dochody rosły im realnie w tempie 1 proc. rocznie. Pod tym względem najlepsza była dekada od połowy lat 80., kiedy w krajach należących do OECD klasa średnia bogaciła się w średnim tempie aż 1,9 proc. rocznie. Tymczasem tylko od połowy lat 90. do 2016 r. koszty ochrony zdrowia wzrosły tam o 94,3 proc. Koszty edukacji poszły w górę o 132,1 proc., a ceny mieszkań – aż o 137,6 proc.

W latach 1990-2005 wzrost gospodarczy i globalne zmiany w dystrybucji majątku pozwoliły dodatkowemu miliardowi ludzi dołączyć do klasy średniej. W Polsce w tym czasie doświadczyliśmy stagnacji. W latach 1992-2016 nasza licebność właściwie nie uległa zmianie. W tym samym czasie odsetek dorosłych Polaków identyfikujących się jako klasa wyższa wzrósł z 8 do 15 proc., a klasa niższa stopniała z 41 do 34 proc.

Wygląda na to, że przystanek o nazwie „klasa średnia” przestał być na tyle atrakcyjny, żeby komuś chciało się na nim wysiadać.

© P MAREK RABIJ

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyta
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc,
Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata
Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij,
Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyta,
Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Białejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,
Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyta (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
(kierownik), Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Marta Bogucka, Agnieszka Cynarska-Taran,
Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin,
Sylvia Frolow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska,
Maja Kuczmiska (kierownik), Mateusz Gawron,
Marta Filipuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna
Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Jan Kłata,
Zuzanna Radzik, Stanisław Manciewicz, Dorota Masłowska,
Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik,
Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszynski

Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracujący: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz,
Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska,
s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch,
ks. Andrzej Dragula, Jakub Dymek, Jarosław Flis,
Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller,
Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski,
Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński,
Dorota Kozłowska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka,
Magdalena Łanuszka, Stanisław Lubieński, Szymon Łucyk,
Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski,
Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena
Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech,
Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło,
Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski,
Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak,
Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Mariusz Sepiolo,
Tadeusz Stawek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk,
Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczmiska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
tel. 668 477 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących!

Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: Zatwardziałe serce



WOLNA WOLA ZOSTAŁA DANA WSZYSTKIM ludziom – pisze w „Prawach skruchy” żydowski filozof wszech czasów, Mojżesz Majmonides. Człowiek sam decyduje, jaką drogą podąży. Stanowi to fundament Tory i przykazań: „Patrz, składam przed tobą dzisiaj życie i dobro, śmierć i zło” (Pwt 30, 15; Cylkow). Gdyby Bóg decydował, że ktoś będzie sprawiedliwym bądź złoczyńcą, według jakiego osądu bądź poczucia sprawiedliwości byłaby wymierzana kara dla niegodziwych lub nagroda dla cnotliwych?

Tę doktrynę zinternalizowaliśmy do tego stopnia, że trudno nam pojąć, jak Najwyższy mógł pozbawić wolnej woli faraona. Posyłając Mojżesza z powrotem do Egiptu, Przedwieczny rzekł doń: „Skoro pójdziesz, by wrócić do Micraim, uważaj: wszystkie cuda, które podałem w rękę twoją, spełnij je, w obliczu Faraona. A ja ukrnąbrnię serce jego i nie uwolnię ludu” (Wj 4, 21). Przy pierwszych pięciu plagach serce faraona krnąbrnieje samo (zob. 7, 13. 22; 8, 11. 15. 28; 9, 7), lecz przy szóstej czytamy już: „Ale ukrnąbrnił Wiekuisty serce Faraona, i nie usłuchał ich, jako powiedział Wiekuisty Mojżeszowi” (9, 12). Przy siódmej zatwardza swe serce sam faraon (9, 34-35), ale upornym czyni je też Bóg (10, 1). Przy ósmej (10, 20) i dziewiątej (10, 27) działa już tylko Najwyższy. Motyw krnąbrnego serca faraona powtarza się 20 razy – połowa wiąże się z Wiekuistym. Aż się chce zakrzyknąć za Abrahamem: „Czyżby sędzia całej ziemi nie pełnił sprawiedliwości?” (Rdz 18, 25).

Majmonides dopuszcza możliwość, że ktoś popełnił tak wielki grzech lub tak wiele grzechów, że zapłaci za te popełnione świadomie i dobrowolnie grzechy będzie to, iż nie dostanie on szansy, by się nawrócić. Wówczas umrze i zostanie wymazany z powodu popełnionego grzechu. Zupełnie jak u proroka Izajasza, któremu mówi Wiekuisty: „Znieczul serce narodu tego, a uszy jego obciąż, a oczy jego odwróć, aby nie widział oczyma swemi, i uszy nie słyszał, i sercem nie zrozumiał, a nie nawrócił się, by był uzdrowion” (Iz 6, 10).

Nie oznacza to, że Najwyższy odebrał faraonowi wolność. Raczej sprawy zaszły za daleko i nie było już drogi powrotu. By posłużyć się przykładem Arystotelesa – Majmonides był wszak arystotelikiem: można z własnej woli nie słuchać lekarzy i wpędzić się w chorobę. Człowiek w tej sytuacji miał wybór, by pozostać zdrowym, ale – zachorowawszy – z własnej woli nie wyzdrowieje. Uporczywie powtarzane niewłaściwe postępowanie z czasem staje się nawykiem albo – nie daj Boże – nałogiem. Czasem już nie sposób go zmienić lub z niego wyjść. Ostrzega nas rabin Icchak: „początkowo grzech jest jak mijający przechodzień, potem jak zatrzymujący się na dłużej gość, aż wreszcie zmienia się w pana domu”. Opamiętajmy się, nim będzie za późno. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Święta świeckość



JEZUS WRACAJĄC „DO NAZARETU, GDZIE SIĘ wychował”, naucza w synagogach, za co „był wychwalany przez wszystkich”, pisze Łukasz Ewangelista. W szabat poszedł do synagogi. Chcąc Go uhonorować, jako sławnego rodaka, poproszono Go o odczytanie fragmentu ze zwoju proroka Izajasza. Gdy go rozwinął, znalazł miejsce, gdzie było napisane: „Duch Pana nade mną, bo mnie namaścił, abym ubogim głosił dobrą nowinę. Posłał mnie, abym ogłosił więźniom wyzwolenie, a niewidomym przejrzenie, abym zniewolonych uczynił wolnymi, abym ogłosił rok łaski od Pana”. Oczekiwano, że jak każdy rabin, da komentarz do odczytanego tekstu. A tymczasem Jezus ogłosił, że oto teraz proroctwo wygłoszone wieki temu spełnia się na ich oczach: „Dziś wypełniło się Pismo, które słyszeliście”.

Na razie „wszyscy przytakiwali Mu i dziwili się słowom łaski, które wypowiadał”. Jednak jakaś część uczestników nabożeństwa tę deklarację odebrała jako bezpodstawne roszczenie, przejaw bezbożnej pychy. „Czy to nie jest syn Józefa?”, wykrzykiwali. Czyli: czy taki pospolity człowiek może być kimś więcej, niż jest?

Jezus jednak nie ustępuje. Nie dziwi się też, że jego ziomkowie tak łatwo przechodzą od uwielbienia do potępienia. Przypomina im, że w przeszłości działało się podobnie: „Zapewniał was: żaden prorok nie jest mile widziany w swojej ojczyźnie”. Co więcej, tacy prorocy jak Eliasz czy Elizeusz przed tym znajdowali posłuch u pogan niżli u współwyznawców. Tego było już za wiele: „Wszyscy w synagodze, słysząc to, zawrżeli gniewem. Zerwali się, wyrzucili Go z miasta i, chcąc Go strącić w przepaść, wyprowadzili na szczyt góry, na której ich miasto było zbudowane”. W ten sposób chcieli pozbyć się tego, który ich rozczarował. Z człowieka podziwianego, sławnego rodaka, stał się godnym nienawiści wrogiem.

„Zawrżeli gniewem”, mówi Łukasz, sprawiedliwym, świętym oburzeniem, gdyż Jezus, w ich mniemaniu, zakwestionował to, co sam powinien był cenić najwyżej, kochać, a nie burzyć. A ponieważ nie znajdowali dostatecznej racji, dla której mogliby Mu przyznać słusność, uciekają się do przemocy. Tym razem jeszcze bezskutecznie. Przyjdzie czas, kiedy inni, podobnie podchodzący do rzeczywistości, w której żyli, dopną swego i Jezus zawiśnie na krzyżu. Gdzie więc w tym nieszczęsnym wydarzeniu szukać Dobrej Nowiny?

W soborowej Konstytucji o liturgii świętej czytamy: „Liturgia (...) jest szczytem, do którego zmierza działalność Kościoła, i zarazem jest źródłem, z którego wypływa cała jego moc”, jednak „Liturgia nie wyczerpuje całej działalności Kościoła”. Słowem, prawda o religijności ujawnia się w świeckości. Jeśli już dzielić rzeczywistość na sacrum i profanum, to profanum jest sprawdzianem prawdziwości sacrum. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:

Namaszczenia Dawida

*Aby pokora ogarnęła
duszę, trzeba uwolnić się
od zmartwień
i niepokojów, które
wynikają z usiłowania
ukrycia przed samym
sobą własnych
ograniczeń.*

THOMAS MERTON



*Jeśli masz
w sercu światło,
znajdziesz drogę
do domu.*

RUMI



LITURGIA CZYNI NAS w ostatnim czasie towarzyszymi Dawida. To piękne doświadczenie – widzieć tego młodego człowieka, jak dojrzewa do wielkich planów Bożych. Biblia wprowadza go na scenę historii zbawienia fragmentem Pierwszej Księgi Samuela (16, 1-13). Samuel – prorok i sędzia Izraela – przybywa do Betlejem, do domu Jessego, aby namaścić jednego z jego synów. Jesse przedstawia Samuelowi siedmiu synów, ale prorok w żadnym z nich nie rozpoznaje Bożego wybrańca. Wtedy ojciec przywołuje „najmniejszego” syna, Dawida – jedynego, którego nie zaprosił na ucztę, lecz pozostawił w polach, by paść owce. Kiedy wchodzi, Samuel słyszy głos od Pana: „Wstań i namaść go, to ten”. „Wziął więc Samuel róg z oliwą i namaścił go pośrodku jego braci”. Pewnie we wszystkich wydaniach Biblii (w lekcjonarzu zresztą też) ten fragment jest zatytułowany: „Namaszczenie Dawida na króla”. Tymczasem...

Rzeczywiste namaszczenie Dawida na króla miało miejsce wiele lat później; jego opis znajduje się w drugiej Księdze Samuela (zob. 2, 1-4): „radził się Dawid Pana, pytając Go: (...) Dokąd mam iść? Odpowiedział: Do Hebronu. Dawid wyruszył tam razem ze swymi dwiema żonami (...). Przybyli ludzie z Judy i namaścili Dawida na króla nad domem Judy”.

Tak więc na króla został Dawid namaszczony przez starszych z Judy w Hebronie. Jaki więc sens miało namaszczenie Dawida

przez Samuela wiele lat wcześniej w Betlejem, „pośrodku jego braci”? Dawid nie otrzymał tam korony, a jego bracia (jeśli tylko zajrzeć do kolejnych rozdziałów Pierwszej Księgi Samuela) nie zaczęli go wcale obdawać jakimś większym niż do tej pory szcunkiem. W Betlejem Samuel nie przekazał w namaszczeniu Dawidowi korony; przekazał mu... Ducha Świętego: „namaścił go pośród jego braci. Od tego dnia duch Pański opanował Dawida”.

Nie otrzymał korony; otrzymał Ducha. Co jest ważniejsze?

To Duch poprowadził go przez całą długą drogę do korony. Duch przeprowadził go przez momenty zwycięstw i chwały, a potem przez trudne lata zazdrości i prześladowań ze strony Saula, aż po wygnanie i życie na obczyźnie. To Duch go uchronił od nienawiści, od chęci zemsty. To Duch nie pozwolił mu nigdy zapomnieć, że Saul jest Boskim pomazańcem, i to Duch będzie w nim szczerze płakał na wieść o jego śmierci.

To Duch w ciągu tych wszystkich lat wyposażył go we wszystkie dary i charyzmaty, mądrość i dojrzałość potrzebne, by być władcą. I Duch wzbudził w nim wielką wiarę w Boga – wiarę wierną, to znaczy nawracającą się ku Panu po każdym grzechu. To Duch będzie w nim głosem sumienia, i uległością wobec niego.

Czy również z nami Duch nie postępuje tak, jak postąpił z Dawidem? Zapewne. Byłoby tylko nie zabrakło nam przekonania, że to właśnie Duch jest cenniejszy niż korona. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (30 I – 6 II)

4. niedziela zwykła: Jr 1, 4-5. 17-19;
Ps 71; 1 Kor 12, 31 – 13, 13; Łk 4, 21-30;
Poniedziałek: 2 Sm 15, 13-14. 30; 16, 5-13a;
Ps 3; Mk 5, 1-20;
Wtorek: 2 Sm 18, 9-10. 14b. 24-25a. 31 – 19, 3;
Ps 86; Mk 5, 21-43;
Środa, święto Ofiarowania Pańskiego:
Mt 3, 1-4; Ps 24; Hbr 2, 14-18; Łk 2, 22-40;

Czwartek: 1 Krl 2, 1-4. 10-12;
Ps: 1 Krn 29, 10b-12; Mk 6, 7-13;
Piątek: Syr 47, 2-11;
Ps 18; Mk 6, 14-29;
Sobota: 1 Krl 3, 4-13;
Ps 119; Mk 6, 30-34;
5. niedziela zwykła: Iz 6, 1-2a. 3-8;
Ps 138; 1 Kor 15, 1-11; Łk 5, 1-11.

Wybrał PIOTR SIKORA



SZCZEPIONKOWA SAMOOBRONA

Rząd zaniechał działań, które mogłyby ograniczyć piątą falę pandemii.

Nie chce nawet wprowadzić obowiązkowych szczepień.

Czas, by to obywatele wzięli sprawy w swoje ręce.

Sami możemy wiele zmienić.

KLAUS BACHMANN



W parku na Zdrowiu strażacy montują namiot, w którym powstanie punkt szczepień. Łódź, 30 kwietnia 2021 r.

osobiste. Pracodawcy mają obowiązek sprawdzania certyfikatów swoich podwładnych, a pracownicy służb medycznych do połowy marca muszą przedstawić dowody zaszczepienia.

Rozbieżność z Polską nie mogłaby być większa. Pisząc ten artykuł, siedzę w pociągu z Gdyni do Gliwic, gdzie co drugi podróżny nie nosi maski, a potem trafi do miejsca pracy, gdzie nie będzie wiedział, kto jest zaszczepiony i w świetle RODO nawet nie powinien o to pytać. Wszystko to w kraju, gdzie liczba infekcji gwałtownie wzrasta (w Niemczech i Austrii spada), a liczby zgonów biją rekordy. Nasz rząd ugina się przed małą grupą posłów, bo panicznie boi się utraty większości i gotowy jest za to płacić zdrowiem i życiem nas wszystkich.

Państwo wypowiada umowę społeczną

Od zarania dziejów najbardziej podstawowe uzasadnienie dla istnienia państwa polega na niepisanej kontrakcie społecznym, zgodnie z którym obywatele płacą podatki, a państwo zapewnia im zewnętrzne i wewnętrzne bezpieczeństwo oraz rozwiązuje tzw. dylematy działań zbiorowych. To ostatnie pojęcie opisuje sytuację, w której duża grupa ludzi pozostaje bierna w obliczu jakiegoś wyzwania, ponieważ nie jest ona w stanie zawrzeć kompromisu lub skoordynować swych działań. Rozwiązaniem może być podporządkowanie się przywódcy albo stworzenie instytucji uznanej przez wszystkich (albo wystarczająco wielu) obywateli, którzy powierzą jej rozwikłanie problemu. Jeśli jednak państwo się z tych zadań nie wywiązuje, jego istnienie traci sens. Wtedy płacimy daniny tylko dlatego, że państwo może nas do tego zmusić. Stają się one haraczem bez moralnego uzasadnienia.

Pandemia spełnia każdy z powyższych kryteriów: zagraża naszemu bezpieczeństwu i wymaga koordynacji działań. Tymczasem w ostatnich dwóch latach państwo, które w niektórych obszarach pragnie kontrolować życie obywateli od poczęcia i wymagać od nich nacechowanych ideologicznie postaw, akurat w kwestii pandemii stopniowo wyzyło się swoich obowiązków i zapew-

nienie bezpieczeństwa przerzuciło na samych obywateli. Efektem jest gwałtowny i wyróżniający się nawet w skali świata wzrost liczby zachorowań i zablokowanie części usług medycznych. Ludzie bogatsi masowo uciekają z przeciążonych państwowych placówek do prywatnych przychodni, co pogłębia nierówności społeczne. Zasobniejsi obywatele w dużych miastach nie mają bowiem problemów z dostępem do specjalistów i zazwyczaj nie korzystają ze zbiorowej komunikacji. Tymczasem mniej zasobni rodacy zakażają się, stojąc w kolejkach do lekarza i tłocząc się w pełnych autobusach, bo niegdyś hojne transfery społeczne są właśnie konsumowane przez inflację. Co ciekawe, to właśnie biedniejsza część narodu uchodzi za tę, o którą rzekomo władza dba najbardziej.

PiS stoi obecnie przed wyborem. Może ratować dużą część swoich zwolenników przed ciężką chorobą, wprowadzając wbrew ich woli obowiązek szczepień i noszenia masek FFP2 lub utrudniając życie tym, którzy nie dysponują paszportami covidowymi (zakaz wstępu do restauracji, kin etc.). Może również sporą grupę swoich zwolenników poświęcić, pozwalając im zakażać się nawzajem i zarazem wpędzając służbę zdrowia w zapaść.

Rząd wybrał drugą opcję: przekazania ludziom pełnej wolności, z gruntu fałszywą, bo motywowaną sondażami i niechęcią do konfliktowania się z częścią własnego elektoratu, wierzącego w spiski i nastawionego negatywnie do szczepień. Widzimy więc, jak na naszych oczach państwo wycofuje się ze swojego kontraktu ze społeczeństwem i przestaje nas chronić – ale nadal ściągą podatki. I nawet jeśli pod wpływem wstrząsających statystyk covidowych w najbliższych dniach wprowadzi wreszcie mocne obostrzenia, to nie cofną one zmarnowanego czasu.

Wodzowska partia bez przywódcy

Trzeba bardzo wyraźnie podkreślić: to nie „ideologia LGBT”, nie kilka tysięcy przerażonych i głodnych migrantów na granicy z Białorusią, nie „nadzwyczajna kasta sędziów” i nie „totalna opozycja” zagrażają bezpieczeństwu, zdrowiu i życiu Polaków, lecz COVID-19, a przede wszystkim wielomiesięczne zaniechania ze strony rządu Zjednoczonej Prawicy.

W obliczu pandemii władze innych państw w Europie (i w wielu miejscach →

DO SCHRONISKA GÓRSKIEGO DOCHODZI się po półtoragodzinnym marszu, pokonując znaczną różnicę wzniesień. Mają tam krótki jadalospis, piwo i napoje bezalkoholowe. Ale kto tu dociera bez certyfikatu szczepień, wyzdrowienia albo wyniku testu, może równie dobrze zawrócić. Nic nie zamówi, nie przenocuje. Tak w Austrii było już latem 2021 r., teraz jeszcze doszedł do tego „lockdown dla niezaszczepionych”. Podobnie jest w Berlinie: można tam bez certyfikatu wejść do supermarketu i do apteki, ale na tym koniec. Wiele restauracji nie akceptuje nawet testów, a przed sklepem stoją specjalnie wynajęci ludzie, którzy sprawdzają zarówno zaświadczenia, jak i dowody

MARCIN STEPIEN / AGENCIA WYBORCZA.PL

→ poza Europą) zarządzały szereg działań niepopularnych, znacznie ograniczających swobody obywatelskie, nie kalkulując, czy opłaci im się to przy kolejnych wyborach. W Polsce natomiast, z brudną maską wiszącą pod brodą, możemy wchodzić niemal wszędzie – nawet do zatłoczonego pociągu podmiejskiego.

To fakt, na lotnisku Straż Graniczna sprawdza certyfikaty, ale tak długo, jak nie jest w stanie skanować kodów QR i sprawdzać ich autentyczności, kontrola ta jest do pewnego stopnia iluzoryczna. Podobnie jest z wychwytywaniem osób mogących stanowić zagrożenie: nigdy nie było więcej Polaków na kwarantannie i w samoizolacji, ale cóż z tego, skoro ich kontrola przez sanepid i policję stała się czystą fikcją. System testowania również jest fatalny. Nawet gdyby polskie państwo wprowadziło system szerokich i darmowych testów (jak w Niemczech), ośrodki prowadzące takie badania padłyby pod naporem chętnych. Jest ich wciąż o wiele za mało, choć od początku zarazy mijają już dwa lata.

To nie jest jednak sytuacja bez wyjścia. Nawet bez własnej większości parlamentarnej PiS może w najważniejszych sprawach dotyczących pandemii liczyć na poparcie dużej części opozycji, którą propaganda rządowa tak często określa mianem „totalnej”. Posłowie niezwiązani z rządem w ostatnich miesiącach poparli przecież wprowadzenie stanu wyjątkowego na granicy z Białorusią, budowanie tam bariery, a wcześniej Krajowy Plan Odbudowy i nawet ustawę o IPN-ie. PiS może więc zawrzeć krótki rozejm z opozycją i wprowadzić obowiązek szczepień, nie mówiąc już o tym, że jest w stanie po prostu wydać dekret (choć byłoby to jawne złamanie prawa, do czego nie wolno nigdy nikogo namawiać). Inna sprawa, że podporządkowując sobie sądy i ignorując konstytucję, PiS sam siebie pozbawił argumentu o rzekomym „imposybilizmie”. Po 1989 roku żaden rząd nie miał tak potężnej i nieskrępowanej władzy. PiS regularnie z niej korzysta, ale w kwestii ochrony zdrowia obywateli okazuje się zupełnie pasywny.

Jest to o tyle bulwersujące, że z różnych badań wynika, iż niski poziom wyszczerzenia to w dużej mierze problem elektoratu partii władzy: ludzi w wieku 50+, z gorszym wykształceniem, mieszkających na wsi i w małych miastach, na wschodzie i południowym wschodzie

Jeśli państwo nie wywiązuje się ze swych zadań, jego istnienie traci sens.

Podatki stają się wtedy haraczem.

kraju. Gdzie są kampanie reklamowe na tych terenach? Gdzie są posłowie PiS agitujący swoich przeciw wyborców, aby dali się zaszczepić, gdzie są objazdy powiatów przez prezydenta Andrzeja Dudę i premiera Mateusza Morawieckiego? Gdzie festiwal loterii, transmitowany w TVP dla gmin o najwyższym odsetku zaszczepień? Gdzie mobilne punkty w każdej wiosce?

Elektorat PiS jest bardziej niż zwolennicy innych partii przywiązany do autorytetu – rozwiązanie dylematu zbiorowego na tych terenach mogłoby więc polegać na większym zaangażowaniu ze strony proboszcza, wójta, burmistrza, posła z okręgu. Ale jeśli oni nic nie mówią albo wysyłają sprzeczne sygnały, to nie ma się co dziwić, że mieszkańcy są zagubieni. Nie wiedzą, czego ich przywódcy od nich oczekują, albo podejrzewają, że skoro nikt ich z góry nie namawia do szczepień, to znaczy, że naprawdę z tymi preparatami jest coś nie tak.

W przypadku obecnej władzy naprawdę nie trzeba wprowadzać „przymusu szczepień” (który faktycznie w warunkach niewydolności państwa doprowadziłby jedynie do rozkwitu handlu fałszywymi certyfikatami). To samo można by osiągnąć wykazując się przywództwem. Szkopuł w tym, że w sprawach pandemii PiS jest partią wodzowską, tyle że bez przywódcy. Prezydent, premier, lider PiS – nikt z nich nie chce ponieść odpowiedzialności i zaryzykować trudnych decyzji, nawet jeśli w dłuższej perspektywie miałyby to ratować życie i zdrowie ich własnych zwolenników. Wygląda więc na to, że ktoś musi zrobić to za nich. To będzie proces żmudny i trudny, ale może być skuteczny.

Obywatele biorą sprawy w swoje ręce

Polacy nie mogą zastąpić państwa i jego monopolu na stosowanie „przemocy”. Mogą jednak tworzyć atmosferę, która sprzyja, a wręcz wymusza racjonalne

i bezpieczne zachowania. Aby to osiągnąć, nie jest nawet potrzebne, by ci rozsądni byli większością.

Ludzie mają naturalną skłonność przyłączania się do takich opinii i zachowań, jakie sami uznają za większościowe. Do zmiany przekonania innych nie jest więc konieczne, aby zdobyć większość, wygrać wybory i potem uchwalić odpowiednie prawo. Skuteczniejsze może się okazać wywołanie wrażenia u swoich przeciwników, że dany pogląd jest większościowy, nawet jeśli wcale tak nie jest. Socjologowie i psycholodzy społeczni znają to zjawisko pod nazwą *pluralistic ignorance*: w społeczeństwie powstaje nowa większość dlatego, że coraz więcej obywateli uważa jakiś pogląd (mylnie) za większościowy i przyłącza się do niego. W latach 70. XX w. w RFN w ten sposób powstała nowa większość za uznaniem granicy z Polską na Odrze i Nysie, ponieważ przychylna wobec ówczesnego rządu Willy'ego Brandta prasa tworzyła wrażenie, jakoby większość obywateli niemieckich popierała jego politykę, co, jak wiemy z sondaży, wcale nie było prawdą. W podobny sposób w Stanach Zjednoczonych wprowadzono ustawowe przywileje dla mniejszości etnicznych – większość ich nie chciała, ale głośna i dobrze zorganizowana grupa obywateli wywołała u większości wrażenie, że społeczeństwo jest za zmianami. Z kolei od nestorki niemieckich badań sondażowych, Elisabeth Noelle-Neumann wiemy, że ludzie, którzy sami postrzegają siebie jako mniejszość w danej grupie, powoli wycofują się z debaty i milkną – niezależnie od tego, czy faktycznie są w mniejszości, czy nie.

Dzięki badaniom społecznym z lat 80. wiemy też, że wystarczy mobilizacja ok. 20 proc. obywateli, aby u pozostałych wywołać wrażenie, że stanowią oni ponad połowę. Tyle przed Okrągłym Stołem wynosił bowiem odsetek zwolenników Solidarności, ale ponieważ byli oni bardzo aktywni, zdeterminowani i głośni, a władza pasywna – bez trudu zdołała przekonać większość niezaangażowanych, że ich pogląd jest większościowy. Ok. 5 proc. społeczeństwa grupującego zwolenników PZPR zamilkło, zgodnie z teorią Elisabeth Noelle-Neumann.

Mechanizmy te pokazują, dlaczego w warunkach pluralistycznych tak ważne jest, aby być głośnym, dobrze zorganizowanym i mieć strategię. Dlatego

m.in. grupy nacisku w debacie publicznej unikają przyznawania się do swoich partykularnych interesów i wołają „brońć dobra ogólnego”: rolnicy nie domagają się ceł zaporowych dla konkurencyjnego importu, lecz „bezpieczeństwa żywnościowego”; przemysł tytoniowy broni „miejsc pracy” i unika tematów zdrowotnych, a górnicy i kopalnie są za „bezpieczeństwem energetycznym”, kiedy domagają się większych dotacji od rządu. I dlatego też antyszczepionkowcy są tak hałaśliwi i agresywni – mają nadzieję, że uda im się stworzyć wrażenie, jakoby byli większością. Ale dzięki popularności sondaży i statystyk dotyczących szczepień wiemy, gdzie większość jest naprawdę. 57 proc. dorosłych w Polsce jest zaszczepionych, a większość w sondażach jest za szczepieniami. Problem w tym, że jest to większość rozsądna, a więc niehałaśliwa. Tymczasem gdyby stała się widoczna, to co najmniej dla ludzi bez zdecydowanej opinii na temat szczepień – mogłaby stać się autorytetem.

Jak wysłać pierwszy sygnał

Noelle-Neumann już 50 lat temu twierdziła, że mamy „podskórna” zdolność do rozpoznawania cudzych poglądów, nawet bez rozmowy o nich. I faktycznie, w spolaryzowanej atmosferze politycznej w Polsce rozmówcom wystarczy kilka pozornie apolitycznych haseł albo jasny symbol, aby zaznaczyć, po której stronie stoją. Wystarczy tęczowy szalik, czerwony piorun albo spinka w kolorach UE i wszystko jest jasne. Jeśli więc nagle w polskich autobusach, tramwajach, pociągach, na ulicy, na tylnych szybach samochodów pojawi się łatwo rozpoznawalny znak pokazujący, że jego pasażer jest zaszczepiony, to duża część wahających się, nieideologicznych przeciwników szczepień odbierze to jako znak, że ich zwolennicy są w zdecydowanej większości w Polsce. Ktoś może powiedzieć, że to naiwne, ale prawda jest taka, że opisywana postawa działa. Nie ma potrzeby, aby argumentować, przekonywać, przedstawiać wyniki badań naukowych. Wszystko, co jest do tego konieczne, mieści się w symbolu przynależności. Trzeba jednak wyraźnie zaznaczyć: znak taki służy wyłącznie jako demonstracja, gdzie jest większość, on nie ma i mieć nie może żadnego znaczenia prawnego.

Taki zabieg jest tym skuteczniejszy, im większy istnieje w danej spo-

Rząd może ratować swoich zwolenników, nakazując obowiązkowe szczepienia.

Postanowił jednak ich poświęcić.

leczności odsetek jego zwolenników. W południowo-wschodniej Polsce, gdzie miejscami antyszczepionkowcy mogą stanowić większość, wymaga on więcej odwagi i mobilizacji ze strony zwolenników szczepień. Muszą oni wywołać wrażenie, że to ich zachowanie jest normą w danym środowisku. Tu właśnie pomaga świadomość zjawiska *pluralistic ignorance*. Jest ono tym skuteczniejsze, że zwolennikom szczepień sprzyja fakt, iż antyszczepionkowcy tak naprawdę doskonale wiedzą, że w ogólnej liczbie Polaków są mniejszością. Widać to po tym, że większość ludzi decydujących się na przyjęcie preparatu nie musi się z tego tłumaczyć (a więc wie, że robi coś dobrego), natomiast antyszczepionkowcy nieustannie są na froncie ideologicznym, toczą emocjonalny bój lub się usprawiedliwiają. Albo wymyślają coraz to nowe i bardziej rozbudowane teorie spiskowe.

Aby zmienić mentalność ludzi przekonanych, że szczepionki to niebezpieczny eksperyment, nie można popełniać prostych błędów. Zwłaszcza wśród ludzi wykształconych bardzo popularne jest przekonanie, że poglądy antyszczepionkowców można zmienić racjonalnymi, naukowymi argumentami. Nic bardziej błędnego, i to z dwóch powodów. Po pierwsze, teorii spiskowych nie da się obalić. One są tak zbudowane, że w ogóle nie poddają się naukowej weryfikacji. Przykładowo: nie ma żadnego dowodu na to, że starzejący się Bill Gates chce dokonać depopulacji ludności lub panować nad światem za pomocą chipów ukrytych w szczepionkach. W oczach zwolennika tej teorii brak przekonujących dowodów nie obala wcale jej prawdziwości, on dowodzi tylko, jak finezyjny jest ten spisek. Skoro Gates nie zostawia nawet cienia śladu, wszystko staje się jeszcze bardziej ekscytujące. Po drugie, samo zachowanie radykalnych antyszczepionkowców pokazuje, że to nie racjonalne argumenty ich motywują do działania,

lecz lęk – a więc emocja. Ci ludzie w dużej mierze walczą o prawo i zrozumienie dla swoich obaw oraz możliwość ich wyrażania. Dlatego ostre konfrontowanie się z nimi za pomocą danych i badań nie ma większego sensu. Lepiej i bezpieczniej jest stopniowo pozbawiać ich tego lęku, okazywać im szacunek i pośrednio wykazać, że ich pogląd jest problematyczny. Jeśli wsiadamy do windy, w której trzy osoby noszą maski, a jedna nie ma jej na twarzy, możemy krytykować tę jedną osobę. Wtedy ona poczuje się izolowana i atakowana, więc odpłaci nam niechęcią lub agresją. Możemy też głośno podziękować tym, którzy noszą maskę. To nikogo nie stawia do kąta, nikt przed naszymi podziękowaniami nie musi się bronić – ale i tak sygnał dotrze do właściwego adresata. Jeśli już przychodzi nam dyskutować z antyszczepionkowcami, to nie zaprzeczajmy im, nie twierdźmy, że mówią nieprawdę. Zadawajmy spokojne pytania. Pozwólmy, by sami zaplątali się w sprzeczności teorii spiskowych. Zostawmy ich raczej z wątpliwościami, ale nie zmuszajmy do emocjonalnej obrony.

Lepszego wyjścia nie mamy

Taki raczej perswazyjny niż przymusowy zabieg ma jeszcze jedną zaletę: mniej radykalizuje antyszczepionkowców, którym trudniej przychodzi wtedy strojenie się w szaty ofiar. Widać to obecnie w Niemczech, gdzie antyszczepionkowcy, przyparci do muru przez powszechne stosowanie i kontrolowanie paszportów covidowych, radykalizują się coraz bardziej i sprzymierzają z radykalną prawicą, uciekając się do przemocy.

Demonstracyjne obnoszenie się przez większość proszczepionkową ze swoimi preferencjami nie spowoduje, że na końcu zaszczepi się 100 proc. Polaków i Polek. Ale z punktu widzenia epidemiologicznego niewielka mniejszość niezaszczepionych nie jest specjalnie groźnym zjawiskiem. Dopóki rząd nie weźmie spraw w swoje ręce, i tak nic innego nam nie pozostaje, jak mozolnie działać u podstaw. Alternatywą jest bierne przyglądanie się kolejnym falom covidu, dziesiątkom tysięcy niepotrzebnych ofiar śmiertelnych i kompletnej zapaści ochrony zdrowia. Na taką postawę świadomy obywatel nie może się zgodzić, nawet jeśli jego własna władza ma na ten temat inne zdanie.

© KLAUS BACHMANN

Osiem ton na głowę

PIOTR WÓJCIK

Unia Europejska jest winna podwyżkom cen energii – taki przekaz włączają Polakom władze. W rzeczywistości to skutek długoletnich zaniedbań, za które teraz przyjdzie nam słono zapłacić.

PO ZATWIERDZENIU NOWYCH TARYF przez Urząd Regulacji Energetyki przeciętne gospodarstwo domowe zapłaci co miesiąc o 21 zł więcej za prąd. Według rządzących to efekt polityki klimatycznej UE, która ma być szczególnie nieprzyjazna Polsce. Widać tę narrację wyraźnie w państwowych mediach oraz w mailach, jakie Tauron, jedna z trzech największych polskich spółek energetycznych, rozsyła klientom. Przekonuje w nich, że za podwyżkami stoją rosnące ceny unijnych uprawnień do emisji CO₂. W uśrednionym koszcie wytwarzania energii dla gospodarstw domowych aż 59 proc. mają stanowić właśnie koszty nabycia tych uprawnień.

To prawda, one faktycznie w zeszłym roku drastycznie zdrożały – z ponad 40 euro w marcu do ponad 80 euro za tonę w grudniu. Tyle że ten wzrost w większości nastąpił dopiero w drugiej połowie roku, tymczasem w Polsce już w pierwszych miesiącach 2020 r. zanotowaliśmy najwyższy wzrost cen energii dla odbiorców prywatnych w UE – wyniósł on 15 proc. (dane Eurostatu).

– Ale ceny uprawnień do emisji CO₂ to tylko jeden z czynników kształtujących koszty energii w Polsce. Mamy również do czynienia z szybko rosnącym popytem „na wszystko”, wynikającym z odrodzenia gospodarki po największych restrykcjach pandemicznych – twierdzi Wojciech Jakóbik, analityk sektora energetycznego.

Bardzo mocno wzrosły zwłaszcza ceny surowców, w tym węgla, który w zeszłym roku bił cenowe rekordy. Odczuła to cała Europa, ale my najbardziej. Na koniec 2020 r. Polska wciąż była uzależniona w 70 proc. od wytwarzania prądu z węgla, a w pierwszych tygodniach stycznia jego udział sięgnął wręcz trzech czwartych. I to jest główna przyczyna, dla której (według Eurostatu) w pierwszej połowie 2021 r. płaciliśmy o prawie jedną czwartą więcej za prąd niż średnio w Unii i aż

dwukrotnie więcej niż w drogiej Szwecji, której energetyka jest praktycznie niezależna od paliw kopalnych, gdyż opiera się na atomie, wietrze i wodzie.

Tegoroczne podwyżki cen mogą też częściowo wynikać ze wzrostu marż producentów energii. Jak pokazują wstępne analizy z rynku, wytwórcy z nadwyżką odbijają sobie koszty kupowanych uprawnień do emisji CO₂ właśnie dzięki zawyżonej cenie prądu. – Taka sytuacja miała miejsce już w 2018 r. i wtedy Urząd Regulacji Energetyki wszczął postępowanie dotyczące ewentualnych manipulacji – przekonuje Michał Hetmański, prezes Fundacji Infracore. Spółki zapewne chcą sobie odbić chude lata 2019-20, gdy koszt wytworzenia był minimalnie wyższy niż wysokość taryfy dla gospodarstw domowych. Zdaniem Hetmańskiego mogą o tym świadczyć wyniki Polskiej Grupy Energetycznej za pierwsze trzy kwartały 2021 r. – w segmencie wytwarzania energii marża wzrosła o połowę, z ok. 8 do blisko 13 proc.

Dwutlenkiem węgla Polska stoi

W tym roku ceny uprawnień faktycznie będą wyraźnie wpływać na koszty prądu nad Wisłą. To jednak nie jest efekt złej woli „eurokratów”, tylko przyjętego w Polsce modelu energetyki. – Jesteśmy wyjątkowo wrażliwi na zmiany cen uprawnień do emisji CO₂, ponieważ emitujemy dużo dwutlenku węgla w energetyce – wskazuje Jakóbik. Przy czym „dużo” to jest mało powiedziane. Wytwarzamy najwięcej dwutlenku węgla nie tylko w Unii, ale w całej Europie.

Dla przykładu, 20 stycznia wyemitowaliśmy 548 gramów CO₂ na każdą kilowatogodzinę. To najwięcej na naszym kontynencie. Znacznie więcej niż Serbia, Mołdawia, Turcja czy Bułgaria, nie mówiąc już o zachodniej Europie. A to i tak był niezły wynik, gdyż dzięki bardzo wietrznej pogodzie aż jedna czwarta energii pochodziła tego dnia z wiatraków. Na początku roku,

gdy udział węgla sięgał 75 proc., emitowaliśmy prawie 700 gramów na kWh. Z kolei według Our World in Data w 2020 r. na każdą kWh wytworzoną w Polsce przypadały aż 724 g CO₂. To ponad trzy razy więcej niż średnia unijna (226 g CO₂).

Zasada jest prosta i sprawiedliwa: odpowiadamy za ogromne ilości CO₂, więc dużo płacimy za jego emitowanie. – Na wzrost opłat mogliśmy się przygotować, tak jak zrobiło to wiele innych państw UE, zwiększając udział odnawialnych źródeł w produkcji energii – zaznacza Hetmański. Tymczasem nam w ostatnich latach transformacja energetyki w kierunku neutralności klimatycznej idzie jak po grudzie. Forum Energii podaje, że w latach 2017-2020 zainstalowana moc odnawialnych źródeł energii w Polsce wzrosła z 8 do 12 GW. Dzięki temu w tzw. miksie energetycznym udział OZE podniósł się z 14 do 18 proc., natomiast udział węgla spadł z 78 do 70 proc. Można więc powiedzieć, że zaszły zmiany na lepsze, jednak na tle naszych zapóźnień były one zdecydowanie niewystarczające. Tym bardziej że w tym czasie rosła nasza gospodarka, a więc także ilość wytwarzanej energii.

Unijny system handlu emisjami zainaugurowany został w 2005 r., czyli zaledwie rok po naszej akcesji do UE. W tym





Farma wiatrowa Żuławy w Gdańsku.
Czerwiec 2021 r.

czasie ilość wytwarzanego CO₂ w Polsce była niemal identyczna jak średnia unijna. Według danych Banku Światowego emitowaliśmy wtedy 7,9 tony CO₂ na głowę, a państwa UE równe 8 ton. Mielśmy więc całkiem niezły punkt wyjścia i wiele czasu na transformację, zwłaszcza że w pierwszych latach funkcjonowania systemu cena jednego uprawnienia sięgała ledwie kilku euro, co niestety uspiło kolejne nasze rządy.

Do 2014 r. zarówno Polska, jak i pozostałe kraje Unii Europejskiej zmniejszały ilość generowanego CO₂, jednak inni robili to znacznie szybciej, co było po części efektem silniejszego poza Polską kryzysu gospodarczego. Od 2015 r. emisje CO₂ nad Wisłą zaczęły szybko rosnąć, wraz z powrotem ożywienia gospodarczego. W 2018 r. emitowaliśmy już 8,2 tony CO₂ na głowę, tymczasem w całej UE było to średnio 6,4 tony, czyli ponad jedna piąta mniej.

Czy mogliśmy zrobić cokolwiek więcej i szybciej? Ekspertcy są zgodni, że zapóźnienia to efekt zaniedbań i pójścia na łatwiznę, a nie obiektywnych czynników. – Rząd od sześciu lat robi tylko absolutne minimum. Średni wiek elektrowni w Polsce wynosi prawie 50 lat, czyli prawie 20 lat więcej niż średnia dla całej Unii – przypomina Hetmański.

Zamiast dynamicznie odchodzić od węgla, w ostatnich dwóch latach oddaliśmy w Polsce do użytku dwa nowiutkie, duże bloki węglowe. Ten oddany w Jaworznie kosztował aż 6 mld złotych i po ledwie kilku miesiącach doznał awarii. Ponownie uruchomiony zostanie dopiero wiosną. W nowym bloku węglowym w Turowie też już doszło do usterek, jednak mniej poważnych.

Co więcej, kurczowego trzymania się węgla nie można wytłumaczyć również polityką społeczną i chęcią ochrony miejsc pracy górników. Im bowiem nic nie grozi. Od 2016 r. nasze zapotrzebowanie na węgiel znacznie przekracza krajową produkcję. Według danych Forum Energii w 2019 r. różnica ta wyniosła aż 10 mln ton. I tyle właśnie kupiliśmy z zagranicy.

Czas na gaz, słońce i wiatr

W ostatnich latach rząd uruchomił pewne mechanizmy, które mogą pomóc nam osiągnąć neutralność klimatyczną. Mowa chociażby o programie „Mój Prąd”, który dofinansowuje instalację paneli fotowoltaicznych. Zdaniem Michała Hetmańskiego programy te powinny być bardziej dostępne, by mogły spełnić swoją funkcję.

Poza tym w Polsce trwają lub są planowane intensywne inwestycje w nieco

bardziej przyjazne środowisku instalacje gazowe. Pod koniec przyszłego roku ruszą prawdopodobnie dwa duże bloki gazowe w elektrowni Dolna Odra, warte 5 mld zł. Gaz co prawda również emituje CO₂, jednak dwukrotnie mniej niż węgiel, więc może być traktowany jako paliwo przejściowe oraz uzupełniające na wypadek, gdyby nie wiał wiatr i nie świeciło słońce, które generują prąd w OZE. Problem w tym, że ceny gazu są niestabilne i zależne od sytuacji geopolitycznej. Poza tym musimy go importować, więc w przeciwieństwie do OZE czy też energii jądrowej nie zapewni nam niezależności. – Polski rząd zamiast odblokować inwestycje w energetykę wiatrową, ładuje nas w kolejną pułapkę po węglu, czyli importowany gaz – zauważa Hetmański.

Polska na forum UE postuluje reformę obecnego systemu handlu uprawnieniami do emisji CO₂. Zdaniem naszych rządzących ceny uprawnień poszybowały w górę i dobiły dziś do 90 euro głównie z powodu aktywności spekulantów. Według grudniowego „Raportu z rynku CO₂” Krajowego Ośrodka Bilansowania i Zarządzania Emisjami faktycznie wpływ działań funduszy inwestycyjnych mógł być istotny. Autorzy raportu zwracają jednak uwagę na wiele innych czynników napędzających ceny uprawnień: ożywienie gospodarcze po pandemii, większe zużycie węgla z powodu rekordowych cen gazu oraz planowane zmniejszenie liczby uprawnień dostępnych na aukcjach. Wojciech Jakóbkiewicz uważa, że UE powinna rozpatrzyć wprowadzenie czasowych taryf ulgowych na okres kryzysu energetycznego, które zapewnią większą przestrzeń do zmian w państwach silnie uzależnionych od węgla. Rozwiązania te nie powinny podważać istoty transformacji energetycznej, a jedynie dać oddech takim krajom jak Polska i wybić część argumentów z rąk populistów, chcących wysadzić całą politykę klimatyczną w Europie.

Samej transformacji nikt za nas jednak nie zrobi. Dalsze zwleknięcie z dekarbonizacją i modernizacją polskiej energetyki będzie nas kosztowało znacznie więcej niż utrzymywanie *status quo*. Im dłużej będziemy czekać z reformą, tym więcej za nią zapłacimy. © PIOTR WÓJCİK

Nie sołtys. Sołtyska!

JĘDRZEJ DUDKIEWICZ

Polska wieś zmienia się i staje się coraz bardziej nowoczesna. Zapewne proces ten byłby wolniejszy, gdyby nie kobiety, które po latach męskich porządków wzięły sprawy w swoje ręce.

SŁOWO „SOŁTYS” WCIAŁ KOJARZY SIĘ WIE-
lu Polakom z mężczyzną w sile wie-
ku, który sterany codzienną robotą musi
jeszcze załatwiać po godzinach sprawy
sąsiadów. To fałszywy obraz. Wśród soł-
tysów jest coraz więcej młodych, pręż-
nych aktywistów, a przede wszystkim
używanie rodzaju męskiego staje się już
problematyczne. Jak mówi Marta Szym-
czyk z Fundacji Wspomagania Wsi, co-
raz więcej kobiet, zwłaszcza poniżej
czterdziestego roku życia, bierze sprawy
w swoje ręce. Są lepiej wykształcone niż
panowie i chcą coś zrobić.

– Kobiety chcą brać odpowiedzialność
za to, co dzieje się na wsi. Widzą, że wiele
spraw jest załatwianych bezrefleksyj-
nie, a same mają głowy pełne pomysłów.
Zwłaszcza w kwestii dbania o ludzi star-
szych oraz dzieci – tłumaczy.

Pod koniec lat 60. XX w. zaledwie
3 proc. sołtysów stanowiły kobiety.
W 2009 r. urząd ten sprawowało ich już
30,2 proc., a po wyborach w 2019 – aż
połowa! Choć w wielu miejscach funk-
cja ta nadal polega na przekazywaniu in-
formacji między wsią a urzędem gminy,
ludzie coraz częściej chcą, żeby „coś się
działo”, żeby ktoś naprawdę dbał o ich
interesy. Kobiety, które wygrywają wy-
bory, zwykle angażują się w działalność
kół gospodyń wiejskich, a niektóre na-
wiązują współpracę z NGO-sami. Bez ich
udziału niewiele może się wydarzyć – są
liderkami, cieszą się zaufaniem. Tym bar-
dziej ze mocniej niż mężczyźni stawiają
na współpracę.

Wystarczyła iskra

Trzy sołtyski, trzy opowieści. Alicja Rym-
szewicz z Trygortu (woj. warmińsko-
mazurskie), Anna Tyszka z Janoch (ma-
zowieckie) oraz Agnieszka Wieczorek
z Kochanowa (łódzkie). Wszystkie pełnią
tę funkcję już drugą kadencję. Pierwsza
długo działała społecznie, organizowała

wydarzenia, pracowała w domu kultury.
Kiedy dotychczasowy sołtys uznał, że jest
zmęczony, Rymszewicz postanowiła, że
skoro dzieci są już starsze i ma trochę
czasu, to zaważczy o funkcję, choć w zasa-
dzie jest ona społeczna (sołtysi otrzymują
w Polsce średnio 300 zł diety miesięcznie).

– Początkowo byłam przestraszona,
ale ludzie znali mnie lepiej niż ja sama,
wiedzieli, że dam radę. Mieli wobec mnie
spore oczekiwania i spodziewali się, że
będę góry przenosić. Z miesiąca na mie-
siąc było jednak lepiej, otworzyła się
przede mną wspaniała droga do samoro-
zwoju. Pokochałam tę pracę – wspomina
Alicja Rymszewicz.

U Anny Tyszki wszystko odbyło się
w sposób naturalny. Wcześniej sołtysiem
w Janochach był jej tata, więc długo przy-
glądała się, co robi. Gdy przyszedł czas
na zmianę, bez trudu wygrała wybory.
– Z perspektywy czasu widzę, że w spo-
łecznościach zawsze pojawiają się nowe
potrzeby. Wystarczy iskra, ktoś, kto za-
cznie działać, a później już mamy efekt
kuli śniegowej – mówi z przekonaniem.

Historia Agnieszki Wieczorek jest zu-
pełnie inna. Poprzedni sołtys nagle zacho-
rował, trzeba było szybko zorganizować
wybory. I choć Agnieszka nie jest rodo-
witą mieszkanką Kochanowa, ludzie po-
stanowili obdarzyć ją zaufaniem, otrzy-
mała też dużo wsparcia od poprzednika.
– Wieś się zmieniła, potrzebuje czegoś no-
wego. Także od sołtysa, który powinien
być kimś jednoczącym, dającym ciepło
i wsparcie. Może dlatego coraz więcej ko-
biet zostaje sołtyskami? – zastanawia się.

Wszystkie trzy sołtyski postanowiły
rozruszać lokalne społeczności. Wedle
zasady: tyle sołtys może, ile wieś pomoże.
W Kochanowie zaczęło się od założenia
koła gospodyń. Nazwa staroświecka, ale
tak naprawdę chodziło o miejsce, w któ-
rym można by się spotykać. Agnieszka
szybko zebrała podpisy, a potem wy-



trwale starała się w urzędzie gminy
o przydział niewielkiej działki. Nie tylko
dla koła, ale dla wszystkich osób mieszka-
jących w Kochanowie.

– Nie dawaliśmy o sobie zapomnieć,
więc dość szybko osiągnęliśmy cel. Od
razu zaczęliśmy też działać: z funduszu
sołeckiego kupiliśmy drewno i własnymi
siłami postawiliśmy niewielki domek let-
niskowy – mówi Wieczorek.

Już rok później mieszkańcy Kocha-
nowa uznali, że chcieliby mieć przy
domku miejsce do posiedzenia w ciepłe
dni oraz grilla. Niekoniecznie dla samej
przyjemności, bo zaczęło się od pikniku,
połączonego ze zbiórką dla niepełno-
sprawnej dziewczynki mieszkającej we
wsi. Kolejny piknik też był charytatywny,
ciężko zachorowała członkini koła gospo-
dyń wiejskich.

Domek i jego okolica z roku na rok się
rozwijały. Działka się zazieleniła, budy-
nek ocieplono i ułożono w nim panele
podłogowe, a na zewnątrz pojawiła się
altana tworząca niewielką scenę. W po-
bliżu, dzięki programowi Otwarte Strefy
Aktywności, powstał plac zabaw. Cała
inicjatywa została zgłoszona do kon-
kursu urzędu marszałkowskiego. Udało
się zająć trzecie miejsce, a to nie jedyny



sukces. Koło gospodyń cztery lata temu wygrało powiatowy turniej.

Ale największe osiągnięcie to postawa młodzieży, która wróciła do tradycji plecenia wienca dożynkowego i garnie się do wspólnego gotowania, warsztatów czy wycieczek do atrakcyjnych miejsc w Wielkopolsce. Wyjazdy najlepiej integrują ludzi żyjących w Kochanowie, więc w końcu pojechali nawet do Paryża na Święto Europy.

– Jesteśmy coraz bardziej zgrani i coraz trudniej nam usiedzieć na miejscu. Kochanów zmienił się nie do poznania – cieszy się Wieczorek.

Pomysłów mają na całą dekadę

Czasem mieszkańców udaje się zaktywizować tak mocno, że potrzebne jest stworzenie ram, by nie utonąć w chaosie. Tak powstało Stowarzyszenie Trygort nad Mamrami. W tej mazurskiej wsi odbywa się cała masa działań kulturalnych, dzieci mogą wziąć udział w zajęciach plastycznych, cyrkowych, teatralnych, sportowych, kulinarnych. Koło gospodyń dysponuje dobrze wyposażoną kuchnią, możliwe jest nie tylko wspólne gotowanie, ale i zdobywanie wiedzy o zdrowym odżywianiu, dbaniu o środowisko. W po-

blizu jest też ogródek zielony, z którego każdy może skorzystać.

Stowarzyszenie dało zastrzyk energii nie tylko młodym. Bal seniora, który organizowano raz w roku, trzeba było zamienić na cykliczną imprezę. Co tydzień odbywa się więc „kawiarenka seniora” – gdzie można dowiedzieć się wartościowych rzeczy. Był już prawnik, który opowiadał, jak nie dać się oszukać metodą „na wnuczka”, innym razem rzeczniczka praw pacjenta przybliżyła e-recepty.

– Wszystko to otworzyło grupę seniorów i seniorów. Wcześniej byli wycofani, uważali, że działania są tylko dla młodych. Ale gdy zrobiliśmy nabór na jogę dla osób starszych, chętni szybko się pojawili – uśmiecha się Rymszewicz.

W Trygortcie zapachniało też sztuką i modą. Zaczęło się od projektu, w którym panie poznawały pasującą do nich stylizację, potem szyły swoje ubrania, dobierały biżuterię, odbyła się też sesja fotograficzna nad jeziorem Mamry. Potem pojawiły się i koncerty, których organizację ułatwia wyremontowana świetlica. Pomysłów zrodziło się tyle, że w końcu mieszkańcy wspólnie opracowali plan rozwoju wsi na lata 2020-30 i zaczęli składać do różnych instytucji wnioski o dofi-

nansowanie działań. Te obejmują nowe instalacje, połączone z dbałością o naturę. Przykładem linostatek, czyli wpisujące się w wiejski krajobraz rekreacyjne urządzenie z drewna i lin. Między drzewami pojawiają się hamaki, naturalne huśtawki, tablice informacyjne. W planach jest zadbanie o cmentarz poniemiecki – odnowienie grobów, wytyczenie ścieżek. Działania mają też wymiar solidarnościowy. Przykładem choćby szycie maseczek w pandemii, które wynikało z potrzeby zadbania o osoby starsze mieszkające we wsi.

– Zaangażowało się mnóstwo ludzi, także z okolicznych wsi, więc wyprodukowaliśmy 36 tysięcy maseczek. Zakupiliśmy też pralkę i suszarkę dla ratowników medycznych z Węgorzewa oraz sprzęt do sprzątania dla zakładu opiekuńczo-leczniczego. Pacjentów →

Od lewej:

ALICJA RYMSZEWICZ,
sołtyśka wsi Trygort,
woj. warmińsko-mazurskie

ANNA TYSZA,
sołtyśka wsi Janochy,
woj. mazowieckie

AGNIESZKA WIECZOREK,
sołtyśka wsi Kochanów,
woj. łódzkie

→ szpitala psychiatrycznego nikt nie mógł odwiedzać, więc przygotowaliśmy dla nich paczki spożywcze i drobne upominki. To jest nasz sposób na radzenie sobie w tych trudnych czasach – mówi Rymszewicz.

Siła jest w nas

W Janochach zaczęło się od nieformalnej grupy, a pierwszym celem było ulepszenie zaniedbanego placu przy świetlicy. Sołtysce Annie Tyszce udało się zachęcić do działania kilka kobiet, a także pozyskać środki z programu Funduszu Inicjatyw Obywatelskich Mazowsze Lokalnie, za które kupili materiały. Całą pracę trzeba było jednak wykonać samodzielnie – przeorać ziemię, wywieźć śmieci, zasiać trawę, zbudować altanę. W ciągu roku plac zmienił się nie do poznania.

Kolejnym projektem była wypożyczalnia zabawek – znów dzięki programowi Mazowsze Lokalnie zakupiono zabawki i gry planszowe. W końcu jednak przyszedł czas na sformalizowanie działań: powstało stowarzyszenie Siła. Zapisali się do niego pięcioro najbardziej zaangażowanych osób, ale gdy trzeba coś zrobić, pojawia się więcej chętnych. Szybko powstał też projekt „Z czym kojarzy ci się słowo Siła?” – przyszło około trzydziestu prac, a wspólną nagrodą były nowe bramki na boisku do piłki nożnej.

Tyszka zaznacza, że działania w społeczności nie mogą być wymuszane, bo niczego się nie osiągnie. Ona sama nie ma ambicji, by wszyscy włączali się w takim samym stopniu. Jak ktoś chce skosić trawę, to nie będzie pretensji, jeśli zrobi za mało. Każda cegiełka jest ważna. – Zamiast licytować się, kto robi więcej, warto wzajemnie się doceniać – tłumaczy Tyszka.

Rymszewicz z kolei lubi analizować, czemu coś się nie udało. Ważne jest dla niej krytyczne spojrzenie na własne działania, bo świetny pomysł realizowany w niewłaściwy sposób to marnowanie energii. – Sołtys to nie osoba, która czymś zarządza. Z ludźmi trzeba rozmawiać i wspólnie wszystko ustalać, a nie wyskakiwać z gotową całością. To nie jest proste, ale kiedy znajdzie się przyczynę, dlaczego coś nie zadziałało, łatwiej o rozwiązanie. Dzięki takim refleksjom nie pojawia się zniechęcenie – mówi Rymszewicz.

I dlatego sołtyski od początku wszyscy starają się robić z lokalną społecznością. Każdy pomysł musi być skonsultowany. Dzięki temu nie tylko łatwiej o zaangażo-

W czasach komunizmu sołtysami zostawali niemal wyłącznie mężczyźni.

Dziś połową polskich wsi zarządzają kobiety.

Mocniej stawiają na współpracę i cieszą się większym zaufaniem.

wanie i zadowolenie, ale przede wszystkim buduje się w ludziach poczucie sprawczości i odpowiedzialności. Kiedy ktoś publicznie zadeklaruje, że coś robi, to stara się, by efekt był jak najlepszy. A jak wydarzenie okazuje się sukcesem, to rośnie satysfakcja i poczucie sensu.

– Tak budujemy społeczeństwo obywatelskie. Ludzie coraz chętniej biorą sprawy we własne ręce i cieszą się, że mają wpływ na otaczającą ich rzeczywistość. Zaczyna się od czegoś małego, a gdy to się uda, człowiek nabiera sił do działania na większą skalę – mówi Alicja Rymszewicz.

– Gdy robimy coś razem, to rośnie też poczucie wspólnoty. Znika podejście „coś jest moje albo niczyje” – mówi z kolei Anna Tyszka. Agnieszka Wieczorek zaś dodaje kolejną wartość: – Dbanie o dobro wspólne zwiększa zaufanie między ludźmi. Tego Polakom zazwyczaj brakuje.

Bliskie relacje międzyludzkie to kolejny efekt działań sołtyszek Trygortu, Kochanowa i Janoch. Jak przyznaje Tyszka, nie spodziewała się tak dużej potrzeby rozmowy i spędzania razem czasu. Obecnie nawet starsze osoby chętnie instalują Messengera, żeby być na bieżąco z tym, co dzieje się we wsi, i niczego nie przegapić. O wiele łatwiej jest też rozwiązywać konflikty. Wieczorek przypomina, że w niektórych gminach są stare, ciągnące się latami spory. Odkąd jednak ludzie zaczęli wspólnie działać i otwarli się na siebie, zaszłości powoli się zacierają.

Życie rozlewa się po okolicy

To, co zapoczątkowały trzy sołtyski, przemienia się na kolejne wsie. Mieszkańcy i mieszkanki okolicznych miejscowości zaczynają myśleć, co zrobić, by i u nich

tętniło życie. I dostają wsparcie. Rymszewicz promuje współpracę między sołectwami, pomaga zakładać koła gospodyń wiejskich i pisać projekty, była też jedną z inicjatorek Forum Sołtysów „Gromada” gminy Węgorzewo. Jest to gmina miejsko-wiejska, dziesięciu radnych reprezentuje miasto, a pięciu wsie. W efekcie problemy tych drugich często były pomijane.

– Udało się zebrać ponad trzydzieści sołectw, przez co zaczęto nas brać na poważnie. Mogliśmy więc domagać się większych środków, np. na remonty dróg. Pracujemy też nad nowymi statutami sołectw, by wszyscy wiedzieli, jakie zadania ma sołtyska lub sołtys, czego można wymagać, jak ich odwołać, gdy nie wypełniają dobrze swojej funkcji – tłumaczy Rymszewicz. – Jako Forum dostaliśmy nagrodę Super Samorząd w 2018 i 2019 roku, jesteśmy jedyną grupą w Polsce, która została dwukrotnie uhonorowana – dodaje z dumą.

Współpracują także na co dzień. Świetlica w Trygortu stała się centrum szkoleniowym dla okolicznych sołtysów i kół gospodyń wiejskich, a także miejscem wymiany doświadczeń. Gdy ktoś potrzebuje namiotu, by zorganizować imprezę, od razu wiadomo, od kogo można go pożyczyć. – Zamiast oczekiwać braw, wyciągnęliśmy rękę do innych. Dzięki temu zaangażowanie ludzi w sprawy lokalne rośnie lawinowo. Jest to dla mnie źródłem dużej satysfakcji – przyznaje Rymszewicz.

Agnieszka Wieczorek i Anna Tyszka też zarażają energią kolejne sołectwa. – Chcemy, by dookoła nas działało się jak najwięcej, chcemy działać razem – mówi Wieczorek. – Cieszę się, że nasza wieś, w której mieszka ledwie koło setki osób, jest zauważana. Ważniejsze jest jednak to, że inni chcą się od nas uczyć, że możemy ich wesprzeć choćby w napisaniu wniosku o dotację. Na polskiej wsi jest naprawdę ogromny potencjał, warto go w końcu wykorzystać – podsumowuje Tyszka.

Co dalej? Jak mówi Marta Szymczyk z Fundacji Wspomagania Wsi, bycie sołtyską może być dobrą drogą do kariery politycznej. Funkcja ta pozwala budować rozpoznawalność i wiarygodność. Niewykluczone, że większa liczba kobiet w sołectwach niedługo przełoży się na wyraźniejszą ich obecność w radach gmin, potem w radach powiatu, a w końcu w polityce na najwyższym szczeblu.

© JĘDRZEJ DUDKIEWICZ

DOROTA

Masłowska: Kolekcja



PATRZĄC NA INFORMACJĘ Z DYSPOZYTORNI od razu pyta, czy Masłowski to jakiś mój krewny. Gdy mówię, że może tak (choć przecież wiem, że nie), a może nie (bo też właściwie – kto to wykluczy?), mówi: ten taki malarz. Bo ma teraz jego jeden obraz.

W ogóle to ma ich więcej. Kolekcjonuje różną sztukę. Wytężam pamięć, przywołuję uroczystości rodzinne, widzę suto zastawione stoły, półmiski wędlin, rojne pokoje, jednak nie sposób namierzyć w kłębowiskach wujów – artysty. Ale to niepotrzebne. To pytanie konstrukcyjne, niewymagające jakiegś szczególnej odpowiedzi, a jedynie osadzające mnie w roli „wysłuchującej opowieści”. Opowieści o kolekcji. Składające się na nią dzieła taksówkarz opisuje w dość zdroworozsądkowych, pozbawionych złudzeń kategoriach („40x50 cm, ale i bywają nawet 80x130”). Poza tym zdaje się, że niekiedy nie ma o tym wszystkim dobrego mniemania. Mówi o swych obrazach jak o niesfornych dzieciach, kochanych, ale nieco tępych i ostatecznie rozczarowujących pokładane w nich oczekiwania i ambicje: „Ten jeden jest taki brzydki, że jakbym się napił i nawciągał, to bym też taki namalował”. „Żona to mi światło gasi w sypialni, tyle tam tych obrazów już wisi” (tu wyobrażam sobie piekielny pokój o ścianach aż po sufit wypełnionych niegenialną sztuką. W nim – biedną żonę, dryfującą na łóżku niby na łupince orzecha przez wizualny chaos, pożar, poród, wrzask). „Domek taki zbudowałem i część tam wywiozłem. Tam je sobie trzymam, bo to by się w mieszkaniu nie pomieściło”. „Podobno starych ludzi teraz nie chcą kupować. Dziecka portret na pniu kupią, a starego nie”.

Nie powiem, że mnie to wszystko nie ciekawi, nie wciąga. Niby jadę do pracy i też mam swoje problemy, całe ich kolekcje, ale myślami przechadzam się już po galerii, pokazie tego nieoczywistego, zabałaganionego, szczerze bizarnego zbioru. Po wystawie jedynej w swoim rodzaju kolekcji, której kuratorem powoduje pragmatyzm, obrotowość, ślepy traf, ale też, być może, coś dużo bardziej delikatnego, egzotycznego, nieodgad-

nionego. Marzenie o pięknie. Pożądanie czegoś głębszego, czegoś więcej, chęć wywikłania własnego życia z nieuchronnej, wszystkożernej szarości. Pada śnieg. Belkoczą światła centrum. „Bo ja też trochę komponuję – podbija stawkę taksówkarz, by opowieść nie zagasła. – Nie ma takiej radości, która równałaby się z tym, aby coś skomponować, np. piosenkę”. Kochający sztukę kierowca albo raczej: wiozący mnie artysta rozmarza się przez chwilę nad wspomnieniem twórczego *flow*, które nanizało na struny jego gitary nieznaną wcześniej ludzkości melodię. I gdy ja wciąż wyrażam (nieco przez niego – przynajmniej – zaaranżowane) zadziwienie tą wszechstronnością i superpłodnością, on z bezbłędną intuicją kompozycji trzyaktowej ogłasza, że nie ma ostatnio dużo czasu na tworzenie muzyki. Ponieważ pisze książkę. Choć łatwo to nie idzie. Mimo że ściągnął teraz aplikację do pisania powieści. Oczywiście ożywiłam się, bo też od razu ściągnęłabym taką aplikację. Wyobrażam sobie, jak pipczy, przyzywając mnie do napisania kolejnego dialogu, jak podkreśla na czerwono niekonsekwentne metafory, wyznacza zwroty akcji, liczy tempo i objętość urobku. Jednak on jej wcale nie poleca. Wcale to z tą aplikacją szybciej nie idzie. Trochę też stara się czytać. Ale podczas pracy ciężko się skupić.

Gdy się rozstajemy, myślę o nim ciepło. Nie wiem, czy jest wielkim kolekcjonerem, wybitnym pisarzem, muzykalnym muzykiem. Nie wiem, czy za jego staraniami stoją sprawy wzniosłe – jak miłość do sztuki, łaknienie piękna, głód egzystencjalnej głębi – czy też zupełnie potoczne – niezgoda na własną zwykłość, fantazja o sobie-twórcy. Jednak ta przypadkowa wielkomiejska konfesja, mimo że najwyraźniej wielokrotnie wcześniej już poczyniona, zdała mi się prostolinijna, człowiecza, bliska. Bardzo dawno nie rozmawiałam już z taksówkarzem. Tylko te ubery z przesłoną, za którą siedzą mężczyźni milczący z wyboru albo z niepolskojęzyczności. Mają baśniowe imiona drwali, rozbójników, książąt. Słuchają eski, przerobionych na eurodance coverów Milesa Davisa, Nirvany i Mozarta. Skrzypią ich duże czarne skórzane kurtki. Z syntetyczną surowością mówią do nich po rosyjsku GPS-y. Nawigują ich przez nieskończoności nieznanymi ulic. Bimbają na lusterkach zapachowe choineczki. Gdy w drodze powrotnej biorę ubera, nikt mnie o nic nie zagaдуje, nie pyta. W milczeniu wsiałam do wehikułu samotności. Oddzieleni pleksi, suniemy w milczeniu, nie wspominając sobie ani słowem o swoich kolekcjach. ©

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim Wydział I Cywilny w sprawie o sygn. akt I Ns 622/21 toczy się postępowanie w sprawie nabycia spadku po małżonkach: Agacie Przybyszewskiej z d. Bolenais zmarłej 14 września 1962 r. oraz po Jerzym Przybyszewskim zmarłym 31 lipca 1965 r., obydwoje zmarli w Mińsku Mazowieckim i tu stale mieszkali przed śmiercią.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy, w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Stalowej Woli I Wydziale Cywilnym toczy się postępowanie w sprawie I Ns 602/21 z wniosku Elżbiety Józefy Pabin z udziałem Renaty Elżbiety Pabin-Patro i Tomasza Stefana Pabina o uznanie za zmarłego Zbigniewa Tomasza Pabina, s. Stefana i Marii, z d. Chmiel, ur. 29 kwietnia 1954 r. w Łodzi, ostatnio zamieszkałego w Stalowej Woli.

Sąd wzywa zaginionego Tomasz Stefana Pabina, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosił się w Sądzie, w przeciwnym bowiem razie po upływie tego terminu może on zostać uznany za zmarłego. Sąd wzywa wszystkie osoby, które mogą udzielić wiadomości o zaginionym Tomaszu Stefanie Pabinie, aby w powyższym terminie przekazały je Sądowi.



ŚWIATŁO I ŻYCIE

DOMINIKA KOZŁOWSKA:

Przyszłe pokolenia zarzucają nam, że nie byliśmy dość radykalni. Potencjał buntu nie jest wystarczająco uruchomiony w naszym społeczeństwie, nie mówiąc już o Kościele.

ARTUR SPORNIAK, MARCIN ŻYŁA:
Czujesz się bardziej chrześcijanką niż katoliczką?
DOMINIKA KOZŁOWSKA: Tak.

Dlaczego?

Od zawsze była to dla mnie najważniejsza autoidentyfikacja. W porządku egzystencjalnym to, w jaki sposób realizujesz swoje chrześcijaństwo i czy w ogóle przyjmuje ono zinstytucjonalizowaną formę, jest konsekwencją czegoś ważniejszego: wartości i tradycji, które budują twoją duchowość. A to często sprowadza się do konkretnych osób, które starasz się naśladować. Jako chrześcijanka – na pierwszym miejscu Chrystusa.

Miałam to szczęście, że dość wcześnie trafiłam do kręgu ludzi Znak i „Tygodnika”. Dzięki temu katolicyzm, o który pytaacie, miał dla mnie twarz ks. Jana Zieja, Jerzego Turowicza, Tadeusza Mazowieckiego, ks. Józefa Tischnera czy Józefa Czapskiego. Ale również – Leszka Kołakowskiego, któremu bliskie było chrześcijaństwo bezwyznaniowe. Uczylałam się od nich dialogu z tradycją żydowską – np. myślą Emmanuela Lévinasa i Martina Bubera – czy prote-

stancką, np. niezwykłego świadectwa Dietricha Bonhoeffera.

Ale porządek biograficzny jest wcześniejszy. Na konkretną ścieżkę wyznaniową jesteśmy kierowani zwykle z wyboru rodziców lub bliskich. W efekcie nieraz całe życie patrzymy na chrześcijaństwo wyłącznie przez pryzmat katolicyzmu. A ja staram się patrzeć na katolicyzm przez pryzmat chrześcijaństwa.

Chrzest?

Jestem ochrzczona w Kościele rzymskokatolickim, ale moje córki są ewangeliczkami. Ich tata też jest ochrzczony w Kościele ewangelickim. Przez to mój związek z Kościołem ewangelickim również jest silny. Uczestniczę w jego życiu. Znam ten Kościół, szczególnie krakowski zbór, właściwie tak, jak Kościół rzymskokatolicki. Ale studiowałam na uczelni katolickiej, gdzie zrobiłam też doktorat. Poznałam więc również Kościół instytucjonalny w jego rozmaitych przejawach.

Co wpłynęło na decyzję, żeby dzieci ochrzcić w Kościele ewangelickim?

Przeważało coś, co chyba ma związek z moją osobowością. Kościół ewangelicko-augsburski jest w Polsce Kościołem mniejszościowym, a dla mnie doświadczenie takich wspólnot jest po prostu bardzo cenne.

Dlaczego?

W 1989 r. Kościół rzymskokatolicki otrzymał przywileje, na które zapracował wspieraniem opozycji, demokratycznych przemian, ruchów społecznych walczących o praworządność itd. Ale potem, im bliżej punktu, w którym jesteśmy, tym bardziej stawało się widoczne, że te przywileje rozchodzą się z duchem Ewangelii. Kościół ewangelicki z konieczności musi posługiwać się środkami ubogimi. Być bliżej ludzi, słuchać ich uważnie. Nie wykluczać. Nie dzielić.

Oczywiście, w krajach, w których Kościół rzymski musi walczyć o przetrwanie, również staje się Kościołem środków ubogich, wspólnotą otwartą.

Co na to Twoje dzieci?

Nie mamy wpływu na wiarę dzieci. Mammy jednak jakiś wpływ na ich sposób myślenia o życiu, o tym, co jest ważne. Po wiem pragmatycznie: widzę dużą wartość w praktykowaniu chrześcijaństwa we wspólnocie mniejszej, która z przywilejów nie korzysta, w której nie uczysz się, że opłaca się być katolikiem, bo coś z tego masz – społecznie, politycznie. Albo chociaż lepszą średnią na świadectwie.

W Kościele ewangelickim znaleźli się wśród rodzin z dziećmi w podobnym wieku – dzieci uczęszczały do

*Dominika Kozłowska z Astrid w siedzibie Znak.
Kraków, styczeń 2022 r.*

→ szkółki niedzielnej, w wakacje jeździliśmy na wspólne rekolekcje. Chrześcijaństwo istnieje w ludziach, nie w instytucjach.

Stąd Twoja przyjaźń ze wspólnotą chrześcijan LGBT+ Wiara i Tęcza?

Mam świadomość własnej, uprzywilejowanej pozycji. Spotkałam wyjątkowych, mądrych ludzi, którzy wpłynęli na mój rozwój, od lat pracuję w Znaku, gdzie wydaję miesięcznik i obecnie po Henryku Woźniakowskim pełnię funkcję prezesa spółki... Różne rzeczy udało mi się w życiu połączyć. Na uczelni katolickiej obserwowałam ludzi, którzy uczyli się, jak należy postępować, żeby móc zrobić karierę w strukturach kościelnych. Ale spotykałam też wielu takich, którzy nie odnajdywali się w głównym nurcie Kościoła. I oni okazali się często najciekawszy i najbardziej autentyczni. Zresztą środowiska „Tygodnika” i Znaku również są dość – ilościowo – cienką warstwą polskiego katolicyzmu.

A dlaczego zaprzyjaźniłam się ze wspólnotą Wiara i Tęcza? Fakt, że spotykałam w niej wiele osób o innej niż moja tożsamości psychoseksualnej, które chcą walczyć o swoje chrześcijaństwo, budzi mój podziw. Tym bardziej że te osoby doświadczały dużego niezrozumienia także ze strony ludzi spoza Kościoła, pytających: dlaczego chcecie mieć cokolwiek wspólnego z tą opresyjną tradycją religijną, która przecież was poniża?

Spotkania z przyjaciółmi z Wiary i Tęczy budują moją chrześcijańską tożsamość.

Instytucja też ją buduje?

W chrześcijaństwie zawsze najciekawsze było to, co się działo na jego obrzeżach. Kościół wymaga wiary podporządkowanej nauczaniu instytucjonalnemu. Wiary, która zawiera w sobie aprobatę dla zinstytucjonalizowanego sposobu dostępu do sakramentów, kontaktu z Bogiem. Z wiary subiektywnej Kościół nie odnosi żadnej korzyści.

Historię chrześcijaństwa można również czytać jako historię przemocy – wymuszania na ludziach posłuszeństwa, poddania instytucji. Henryk Woźniakowski opowiadał mi o swoim spotkaniu ze słynnym teologiem wyzwolenia Leonardem Boffem, który powiedział, że „Kościół instytucjonalny zawłaszczający środki produkcji *sacrum*”. Za pomocą marksistowskiego sloganu Boff chciał

Najważniejsza jest osobista relacja z Chrystusem

i innymi ludźmi,
a nie instytucja.

Zresztą w chrześcijaństwie
zawsze najciekawsze
było to, co się działo
na obrzeżach.

zapewne powiedzieć, że skoro wszyscy uczestniczymy w kapłaństwie powszechnym, na równi jesteśmy współwłaścicielami eucharystycznego charyzmatu.

W wierze najważniejsza jest osobista relacja z Chrystusem i innymi ludźmi. Instytucja ma znaczenie drugorzędne.

Tradycja?

Chrześcijaństwo jest dla mnie tradycją najbardziej wymagającą w swoim świadectwie miłości bliźniego. Ale najpierw – powtórzę – próbą rozumienia Chrystusa. I podążania za nim. Uczestnicząc właśnie w pewnej tradycji: duchowej, filozoficznej, teologicznej.

Nie uważam, żeby w wymiarze praktycznym wiara prowadziła do czegoś innego niż to, do czego dochodzą ludzie, którzy odwołują się do tradycji humanistycznych i na ich podstawie kształtują swoją wrażliwość na drugiego, na biedę, krzywdę, poniżenie, wykluczenie, rasizm.

Czy Twój dom był religijny?

Największy wpływ miała na mnie prababcia, która miała dużą nieufność do Kościoła.

Nie chodziłaś na religię?

Chodziłam do punktu katechetycznego, o czym zdecydowały raczej względy społeczne niż religijne. Jednak w tym niereligijnym domu zostałam ochrzczona, potem przystąpiłam do pierwszej komunii. Ale do kościoła nie chodziliśmy. Pamiętam jedną sytuację, gdy ze względu na przygotowania do komunii poszłam z babcią do kościoła. W czasie mszy było kazanie na temat „mordowania nienarodzonych dzieci”. Język tego kazania tak babcię oburzył,

że wyszliśmy. A moja prababcia pochodziła ze Lwowa, gdzie była świadkiem strasznego antysemityzmu. Widziała ciemną stronę katolicyzmu. Bliskie jej były tradycje niekomunistycznej lewicy.

To skąd pomysł, by studiować na katolickiej uczelni?

Mimo że wychowywałam się w dystansie do instytucji kościelnych, dość wcześnie zaczęłam czytać książki z obszaru filozofii i teologii. Pamiętam też z dzieciństwa, jak bardzo fascynowała mnie metafizyka znajdująca wyraz w architekturze, w przestrzeni *sacrum*. Czułam, że wstępując w nią, wkraczam w świat innych doświadczeń. A potem zetknęłam się z filozofią Tischnera – na bardzo dobrych zajęciach z filozofii w krakowskim II LO, ale też za sprawą mojej koleżanki z ruchu Światło-Życie. Ona mnie wciągnęła w ten ruch, a to było środowisko, które znało i czytało Tischnera.

Potem ci ludzie zaczęli studiować filozofię. Ja też poszłam na studia – na psychologię na UJ i właśnie na filozofię na ówczesnej Papieskiej Akademii Teologicznej, gdzie dziekanem był Tischner.

Czym Cię Tischner tak bardzo zainteresował?

Swoją filozofią: dialogu i człowieka, łąčeniem tradycji myśli żydowskiej, filozofii egzystencji Heideggera i fenomenologii – prowadzącą do pytania o człowieka jako istotę, której tożsamość kształtuje się w relacji z drugim. W ten sposób poznałam chrześcijaństwo.

Mój kontakt z Kościołem instytucjonalnym też był ciekawy, bo wspólnota Światło-Życie nie jest tak bardzo hierarchiczna.

Jednak ruch oazowy jest bardzo ortodoksyjny, z dość ostrą formacją.

Jakoś tego nie doświadczyłam. Zresztą w tym samym czasie przeszłam przez jeszcze ostrzejszą formację – w harcerstwie, gdzie od drużynowej doszłam do stopnia podharcemistrzyni.

Czy Kościół katolicki w Polsce traci kontakt z chrześcijaństwem?

Traci przede wszystkim kontakt z człowiekiem. Boli mnie jego stosunek do bliźnich czy wciąż nieprzepracowany antysemityzm. Nie radzę sobie z tym, że w wielu podstawowych sprawach jego

katolicyzm rozchodzi się z rzeczywistością. Chociażby kwestia orientacji seksualnej. Wiedza na temat psychoseksualnego rozwoju człowieka wciąż się rozwija – identyfikowane są coraz bardziej złożone orientacje i tożsamości psychoseksualne – dlatego ten katalog literki LGBTQ+ coraz bardziej się rozszerza. Nauczanie Kościoła za tym nie nadąża.

Sprawy kobiet?

Niezrozumienie feminizmu i teorii *gender*. Brak wrażliwości na dyskryminację. Stosunek do innych religii i do niewierzących. Mimo wszystkich deklaracji soborowych, posoborowych, prób budowania dialogu ekumenicznego, spotkań w Asyżu... Stosunek do środowiska naturalnego i do innych istot żywych. Najsilniejsze nurty w polskim katolicyzmie są dokładnie odwrotne.

Przecież chrześcijaństwo pomaga przezwyciężyć antropocentryczną perspektywę. Pozwala widzieć człowieka jako istotę zanurzoną w łańcuch istnień, w którym każda forma życia zasługuje na ochronę. Owo „czyńcie sobie ziemię poddaną” doprowadziło w różnych miejscach na świecie do pochwały takiej formy kapitalizmu, która opiera się na bezwzględnej, drapieżnej eksploatacji zasobów, a to przekłada się na równie bezwzględny stosunek do ludzi. Dobrze, że Franciszek umieścił temat pracy niewolniczej, wyzysku, rabunkowej gospodarki w głównym nurcie teologii. Dobrze, że mówi o skutkach ocieplenia klimatu

Bunt wyzwala energię społeczną,

k która przełamuje milczenie, wydobywa na powierzchnię ukryte problemy, nadużycia.

I daję nadzieję na nową solidarność, rodzącą się z niezgody na zło.

i ich konsekwencjach dla ludzi, zwierząt i środowiska.

Trudno Cię nie zapytać o Gdańsk. To jedno z ważniejszych miejsc dla Ciebie.

Paweł Adamowicz był dla mnie osobą szalenie ważną, przykładem postawy, która była marzeniem wielu konserwatystów po 1989 r. – budowania mądrego, otwartego obywatelstwa, które łączy religijność z otwartością. Wspierał Marsz Równości, doprowadził do powstania Rady Migrantów i Migrantek, zapoczątkował tworzenie polityki na rzecz równego traktowania. Łączył światy i angażował obywatelki i obywateli w wypracowywanie kluczowych kierunków rozwoju miasta – na każdym poziomie: od mikrograntów na rewitalizację wiat

śmietnikowych po duże projekty społeczne. Wspólne cele prowadzą do wspólnego działania.

Jego śmierć mogła przyczynić się do powstania nowej „religii smoleńskiej”. Jednak obecna prezydent wraz z najbliższą rodziną sprawili, że żałoba i smutek mobilizują tylko do jeszcze większej pracy na rzecz budowania pokojowej kultury.

Czasami konflikty są potrzebne.

Tak, są siłą napędzającą nasze życie wewnętrzne. Nie ma rozwoju osobowości bez umiejętności rozpoznawania i rozwiązywania wewnętrznych konfliktów. Podobnie jest ze społeczeństwem. Tylko że zarządzanie konfliktem poprzez autorytet, który mówił, jak ma być, już nie działa. W żadnym konflikcie nie chodzi o sprawy czysto racjonalne. I dlatego czysto racjonalistyczny dyskurs nie łagodzi napięć.

Jak z tym jest w polskim Kościele?

Do niedawna nie można było mówić o tematach, o których rozmawiać zabraniali biskupi. Kiedyś po tym, gdy wydał numer „Znaku” o kapłaństwie kobiet, zadzwonił do mnie pewien ksiądz profesor i powiedział: „Jak to, pani redaktor taki numer robi, skoro Jan Paweł II zabronił o tym pisać?”. Ale przedstawiciele drugiej strony też byli stygmatyzowani, myślę np. o przedstawicielach tzw. Kościoła toruńskiego, radiomaryjnego – ich doświadczenia i religijność były tak marginalizowane i ponizanie, że obecna

→

Wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego” dostępne na Legimi.pl

Pobierz aplikację Legimi na smartfon, e-czytnik, tablet lub komputer i czytaj wygodnie wydania specjalne „Tygodnika Powszechnego”.

TYGODNIK
POWSZECHNY

Legimi

weź, czytaj!



→ próba odreagowania tego jest dla mnie psychologicznie zrozumiała. Problemem nie jest taka forma religijności, ale to, że jest ona szczególnie podatna na manipulację. I w efekcie wykorzystywana do celów, które są sprzeczne z chrześcijaństwem.

A te niesprzeczne?

Przełomowym momentem było powstanie inicjatywy „Zranieni w Kościele”. Po prostu: robimy to, co nakazuje nam sumienie, bez oglądania się na biskupów. Nie robimy tego przeciwko nim. Robimy to dlatego, że widzimy potworne nadużycia. Kongres Katolicki i Katolików zorganizowano w odpowiedzi na zachęty ze strony Franciszka. Czy coś z tego wyjdzie, czy nie, to osobna sprawa, ale to doświadczenie formacyjne jest kluczowe. Przyszedł czas działania, „robienia rzeczy”.

Na granicy białorusko-polskiej są młodzi ludzie motywowani często chrześcijańskim obowiązkiem. Działalność m.in. warszawskiego KIK-u, ludzi działających w Klubach „Tygodnika Powszechnego”, wspólnot takich jak Sant’Egidio czy inicjatyw jak „Zupa na Plantach” – to właśnie społecznie zaangażowane chrześcijaństwo.

Ale jakoś nie widzisz nadziei, żeby przełożyło się ono na reformę wewnętrznej instytucji Kościoła.
Polskiego Kościoła?

Tak.

Instytucjonalnego? Samego przez się – nie. Ale jeśli zmienią się warunki społeczne i polityczne, może to wywołać zmianę również w Kościele instytucjonalnym.

Jeszcze dwa lata temu wzywałaś do pozytywnego buntu.

Nadal uważam, że przyszłe pokolenia zarzucą nam, że byliśmy nie dość radykalni. Potencjał buntu społecznego jest cały czas nie dość uruchomiony w naszym społeczeństwie, a na pewno nie dość uruchomiony w Kościele. Ważne, aby zrozumieć, po co nam bunt. On wyzwala energię społeczną, która przełamuje milczenie, wydobywa na powierzchnię ukryte problemy, nadużycia, przemoc. I jest w tym jakaś nadzieja, że doświadczenia zranionych, wykluczonych i dyskryminowanych staną się początkiem nowej społecznej solidarności.

Chrześcijaństwo
jest tradycją najbardziej
wymagającą
**w swoim świadectwie
miłości bliźniego.**

Ale najpierw jest próbą
rozumienia Chrystusa
i podążania za nim.

Solidarności, która rodzi się z niezgody na zło – z troski o los bliźniego.

Choćby o los kobiet.

To ważne, że w protesty w 2020 r. zaangażowało się wiele osób, które odwoływały się do swojej religijności. Prawo aborcyjne, prawa kobiet to dziś najwyraźniejszy obszar, gdzie u wielu ludzi dokonuje się po prostu meblowanie głów w zupełnie inny sposób i wbrew kierunkowi, w którym idzie polski episkopat. Ludzie – również katolicy – mają już śmiałość publicznego manifestowania poglądów, ze świadomością, że są inne od tego, co chcieliby biskupi.

Wśród Polaków utrzymuje się wciąż zaskakująco wysokie poparcie dla religii w szkole, które prawdopodobnie wynika z przekonania o wyższości etyczno-moralnej tego, co stoi za tą instytucją.

Bo dopiero od niedawna pracujemy nad tym, żeby być społeczeństwem trochę mniej hierarchicznym. Pamiętam, że jeszcze do niedawna, gdy mówiłam publicznie o prymacie sumienia, było to kontrowersyjne. Jak to, prymat sumienia? A gdzie posłuszeństwo Kościołowi?

Religia jest bardzo ważnym źródłem moralności, ale dla życia publicznego jest ważne, żeby kształtować też świeckie rozumienie moralności i postaw obywatelskich. Niedawno wraz z Adamem Michnikiem brałam udział w debacie zorganizowanej przez Klub „Tygodnika”. Ja krytykowałam instytucję Kościoła, a redaktor Michnik jej bronił. W pewnym momencie powiedział, że Jacek Woźniakowski czy Tadeusz Mazowiecki

nawet w rozmowach prywatnych nie byli tak radykalni w krytyce instytucji. Ale przecież oni działali w innych warunkach, w innym czasie. Jeszcze w latach 90. XX w. wierzyli, że Kościół wnieśli pozytywny wkład w życie publiczne. Nie wiemy, jaką postawę zajęliby dziś.

Twój najtrudniejszy moment w Kościele?

Opowiem wam o doświadczeniu, z którym wciąż nie wiem, co zrobić. Przez wiele lat prawie codziennie chodziłam na mszę świętą do tego samego kościoła zakonnego. Nagle coś zaczęło się tam zmieniać. W dniu, w którym przez Kraków miał przejść Marsz Równości, msza odbywała się w intencji jego uczestników – „ludzi bezbożnych, pogubionych, owładniętych ideologią”. W czasie nabożeństw majowych czytano i komentowano teksty Ludwika de Montforta. Mówiono o dualizmie, o tym, że jest cywilizacja życia i cywilizacja śmierci, że trzeba wybrać, walczyć z siłami zła, które przybierają nowe postacie.

W końcu poszłam do jednego z ojców, by porozmawiać o tym wszystkim, co słyszę w kościele. Zdenerwował się na mnie, a na koniec powiedział: „Ja siostrę rozumiem, bo każdy nosi swój krzyż. I ja też noszę taki krzyż, że budzę się codziennie rano, patrzę na wizerunek Jezusa i mówię sobie: »Jezu, ty mogłeś się narodzić w tyłu wspaniałych narodach, a przyszedłeś na świat jako Żyd«. Bo wie siostra, że Żydzi to naród parszywy, wiarołomny, oni nienawidzą Polaków i chrześcijan, oni zamordowali Jezusa”.

Rozpłakałam się z bezsilności i wyszłam. Dziś mam poczucie, że zostałam jakoś okradziona, że przestrzeń, która była moim duchowym domem, jest zagarnięta przez osoby, które wykorzystują ją do szerzenia nienawiści i walki.

Rozmawiasz z tymi, którzy odchodzą?

W ostatnich latach spotkałam wiele osób, które mówią, że odchodzą z Kościoła, aby zachować swoją wiarę. Zabierają ją jak skarb, który chcą uchronić przed zniszczeniem. Moje doświadczenie przemocy i zła, z którym się spotkałam w Kościele, jest niewielkie w porównaniu z osobami, które doświadczyły przemocy seksualnej ze strony duchownych, osobistego poniżenia, odrzucenia jako lesbijki, geje lub osoby trans. Podziwiam

ludzi, którzy byli wykorzystani seksualnie przez księży i mają siłę psychiczną, żeby do kościoła chodzić. Naprawdę ich podziwiam.

Ważne jest także dla mnie doświadczenie solidarności z tymi, którzy z Kościoła są wyrzucani i nie mogą odnaleźć w nim swojego bezpiecznego miejsca. Chcę dziś być raczej z tymi osobami, z tym Kościołem, często domowym, spotykającym się w prywatnych przestrzeniach. A poza tym potrzebuję czasu, aby oczyścić się z tego złego doświadczenia.

Na post od Kościoła?

Na oczyszczenie się ze zła i przemocy, które mnie spotkały. Jeżeli miałabym przemocowego męża czy ojca lub matkę, a byłabym na tyle samodzielna, aby móc o siebie zadbać, każdy psycholog powiedziałby mi: proszę odizolować się od źródła przemocy. Sądzę, że to samo należy zrobić z Kościołem, kiedy krzywdzi. Ostatecznie chodzi o to, aby zyskać przestrzeń do działania i zmiany.

Od toksycznych rodziców rzeczywiście w wielu przypad-

Niedawno wraz z Adamem Michnikiem brałam udział w debacie, **w której krytykowałam instytucję Kościoła.**

On jej bronił i dziwił się, że zamieniliśmy się rolami.

kach trzeba się odizolować, ale oni wciąż zostają tymi, którzy dali ci życie. Podobnie niektórzy mówią o Kościele...

W ostatnim czasie brałam udział w wielu rozmowach na temat apostazji lub konwersji. Moja starsza córka przygotowuje się do konfirmacji. Zastanawiałam się, czy nie powinnam być z nią w Kościele ewangelickim, ale silne jest dla mnie poczucie wspólnoty z moimi

poprzednikami, ludźmi z naszego środowiska, którzy ukształtowali mój sposób myślenia o katolicyzmie.

Spotykam wiele osób, które mówią o swoim poczuciu samotności, odrzucenia, niezgody na patologie od lat przyczyniające się do dewastacji katolickiej wspólnoty. Każdy z nas, próbujący zabierać głos na temat Kościoła, spotkał się w jakimś stopniu z oskarżaniem o działanie na jego szkodę, niszczenie go czy o złą wolę. A przecież rezygnacja z krytyki byłaby złe pojętą lojalnością.

© Rozmawiali ARTUR SPORNIAK i MARCIN ŻYŁA

DOMINIKA KOZŁOWSKA (ur. 1978) jest publicystką, działaczką społeczną, doktorką filozofii. Od 2010 r. redaktorka naczelna miesięcznika „Znak”, w 2021 r. objęła stanowisko prezesa zarządu Społecznego Instytutu Wydawniczego Znak. Jest związana z Kongresem Kobiet. Członkini kapituły Nagrody im. Jerzego Turowicza oraz rady Fundacji na rzecz Chrześcijańskiej Kultury Społecznej im. Hanny Malewskiej. Laureatka dziennikarskiej Nagrody Specjalnej im. Dariusza Fikusa.

Podkast Powszechny: Własny pokój

O tym, jak w kobiecie rodzi się i umacnia niezależność, opowiadają Katarzynie Kubisiowskiej: Iwona Chmielewska, Agnieszka Glińska, Wioletta Grzegorzewska, Agnieszka Holland, Eliza Kącka, Mira Marcinów, Barbara Sadurska, Beata Stasińska.

Wejdź na **Patronite.pl/TygodnikPowszechny** i wesprzyj niezależne dziennikarstwo.

TYGODNIK
POWSZECHNY



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO



PATRONITE



Pasterka w katedrze Świętego Jana Chrzciciela, Warszawa, 24 grudnia 2020 r.

MAŁGORZATA SOLECKA / REPORTER

List do żywych

MAŁGORZATA SOLECKA

Kraje tak chętnie wskazywane jako centrum „cywilizacji śmierci” bronią życia. My bronimy swojej wolności do rozsiewania wirusa. Także w kościołach.

OD KILKU TYGODNI ZAMIERZAŁAM napisać do mojej parafii w tej sprawie. Wahałam się, ale wysłuchana ostatnio homilia nie pozostawiła mi wyboru. Zresztą, czemu miałabym pisać tylko do mojej parafii, skoro zasady pandemicznej

higieny nie są w należyty sposób respektowane powszechnie? W ilu miejscach ogłoszono np., ile wynosi limit 30 proc. miejsc? Można oczywiście optymistycznie założyć, że zapewne większość wierznych jest zaszczepiona, ale czy poinfor-

mowano parafian, że powinni mieć ze sobą certyfikaty? Bo o tym, że certyfikaty szczepień powinny być sprawdzane, nie ma co nawet wspominać. Choć w niektórych kościołach (nielicznych w skali Polski) się je weryfikuje.

Zdecydowana większość wiernych zakłada maski (nie wszyscy robią to prawidłowo, ale przynajmniej wykazują dobrą wolę, nawet jeśli umiejętności czy też zrozumienia sensu im brakuje). Niestety, są parafianie, którzy się nie podporządkowują przepisom prawa i w sposób uporczywy, co tydzień, w kościele przebywają bez maski, łamiąc w ten sposób przepisy. Choć nie tylko przepisy i może nawet nie przede wszystkim.

Prawo do bezpieczeństwa

Są ośmielani do takiej postawy. Jak inaczej rozumieć sugestię z kazania, że kwestia masek dotyczy „poglądów”? Porównanie tego, czy zakładamy maski, czy też nie, do wyboru między pizzą z ananasem i bez, sernika z rodzynkami czy bez – też nie służy sprawie. Od takich dylematów nie zależy przecież ludzkie życie. Od tego, czy wszyscy przestrzegamy zaleceń sanitarnych – jak najbardziej. Od tego, czy się szczepimy, czy nie – również. To nie jest, powtarzam, kwestia poglądów, to kwestia obrony życia.

Z ambony usłyszałam apel o wzajemny szacunek. Bo w Kościele jest miejsce dla ludzi różnych poglądów. W Kościele – tak. Ale czy na pewno wewnątrz kościoła, w tej sytuacji, w jakiej jesteśmy? Nikomu na siłę maski zakładać nie można, ale osoba, która nie chce się podporządkować zasadom sanitarnym, nie powinna wchodzić do kościoła (do sklepu, do kina, do tramwaju czy autobusu również). Może przecież uczestniczyć w mszy stojąc na zewnątrz, jeśli swoje prawo do wolności przedkłada nad prawo innych do bezpieczeństwa. Do tego jednak potrzebne byłoby zrozumienie, o co tak naprawdę chodzi z tymi maskami, również przez osoby pracujące w parafii. Chyba jest z tym kłopot – myślę, obserwując prezbiterium.

Nie chodzi tylko o to, że osoba „bezmaskowa” łatwiej niż zamaskowana może zakazić wirusem (jeśli jest nosicielem) tych, którzy stoją obok. I nawet mają maseczkę, ale tylko jednorazową medyczną (chirurgiczną) czy z materiału. Te maski w umiarkowany sposób chronią innych przed nami, niemal wcale nie chronią nas

przed innymi (choćby były założone prawidłowo). Osoby starsze, po leczeniu onkologicznym, obciążone cukrzycą, nawet jeśli są zaszczepione – mogą umrzeć. Po prostu. To nie są poglądy. Statystyki zgonów w Polsce nie biorą się z niczego.

Nawet młode, zdrowo wyglądające na pierwszy rzut oka osoby, nawet te, które się zaszczepiły, od miesięcy żyją z myślą, że każde wyjście w przestrzeń publiczną – do tramwaju, sklepu, do kościoła również, może skończyć się ciężkim zachorowaniem na covid i z dużym prawdopodobieństwem – zgonem. Przewlekłe chorzy nie mają tego wypisanego na czole, starają się żyć normalnie, mimo pustoszących ich organizmy procesów. Część z nich szczerzyć się nie może, ze względu na specyfikę choroby, część mimo dawek przypominających odporność ma znikomą. Mają umrzeć, bo ktoś uważa, że maska go zniewala i ogranicza, a z ambony otrzymuje wsparcie dla swoich „poglądów”?

Troska o życie

Jestem dziennikarką, która od dwóch lat codziennie pisze o pandemii. Od 25 lat zajmuję się służbą zdrowia, mam wielu znajomych wśród lekarzy, pielęgniarek i ratowników. Niektórzy zmarli podczas drugiej fali pandemii.

Od kilkunastu miesięcy ludzie, których znam, lubię, szanuję i cenię, wypruwają sobie żyły – również dlatego, że my, jako społeczeństwo, mamy różne „poglądy” na temat obostrzeń sanitarnych i szczepień. Polska od początku pandemii ma jeden

z najwyższych wskaźników śmiertelności na świecie. Jesteśmy pod tym względem w ścisłej czołówce. Nie trzeba znać statystyk – w parafii przed pandemią na zakończenie mszy modliliśmy się zwykle o spokój duszy jednej, dwóch osób. Teraz bywa, że czterech, pięciu.

Idzie kolejna fala – to nie pogląd, to fakt, tylko 21 stycznia wzrost liczby przypadków tydzień do tygodnia wyniósł niemal 130 procent! Żeby sobie wyobrazić, co nas czeka w najbliższym czasie, wystarczy spojrzeć na statystyki dotyczące zakażeń w krajach Europy Zachodniej. Różnica jest taka, że choć tam są liczne zakażenia, zgonów jest niewiele. Bo się zaszczepili i szanują życie swoje i innych. Kraje tak chętnie wskazywane jako centrum „cywilizacji śmierci” bronią życia. My – bronimy swojej wolności do rozsiewania wirusa.

To będzie skutkować kolejnymi dziesiątkami tysięcy zmarłych. I tym, że setki, może tysiące pracowników ochrony zdrowia przez długie lata będą wychodzić z syndromu stresu pourazowego. Młodym lekarzom, którzy nie powinni się stykać z odchodzeniem pacjentów – np. rezydentom anesteziologii, którzy normalnie oswoiliby się z umieraniem „swoich” chorych przez dwa, trzy lata, zanim rzeczywiście zaczęliby ich tracić – w ciągu doby umiera po trzech, czterech samodzielnie prowadzonych przez nich pacjentów. Na każdym dyżurze. Ale nie tylko młodzi przeżywają traumę, starszych też przytłacza ta lawina zgonów.

Zasłanianie nosa i ust nie jest wygodne ani przyjemne. Jest czymś w rodzaju ofiary, dania kawałka siebie innym, poświęcenia. Oczywiście, można powiedzieć, że kościół nie jest miejscem do prowadzenia edukacji prozdrowotnej i szerzenia wiedzy o zasadach sanitarnych. Ale uczestnictwo w mszy świętej nie powinno generować poczucia zagrożenia. U nikogo. Obecność w kościele nie powinna się wiązać z faktycznym zagrożeniem.

Nie rozmawiamy więc o zasadach sanitarnych, tylko o trosce o życie. O odpowiedzialności za siebie i innych. O przykazaniu „nie zabijaj”. I o miłosierdziu, bo strasna jest śmierć przez uduszenie, strasna jest śmierć w samotności, strasna jest trauma rodzin, które nie mają szansy na pożegnanie bliskich, strasne są skutki stresu ludzi od miesięcy patrzących na to samotne odchodzenie, któremu towarzyszy walka o każdy oddech. ©

MAŁGORZATA SOLECKA specjalizuje się w sprawach polityki społecznej i ochrony zdrowia. W latach 1998-2007 dziennikarka i redaktorka „Rzeczpospolitej”, kierowniczką działu społecznego, a potem krajowego. Od kilkunastu lat związana przede wszystkim z mediami branżowymi, miesięcznikiem „Służba Zdrowia” i portalem Medycyna Praktyczna. Autorka książki „Służba zdrowia? Jak pokonać chory system” (2017). Stale współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym”. Powyższy tekst jest zredagowanym listem, który autorka wysłała do swojej parafii w Warszawie.

Literatura latynoamerykańska jest kobietą

LEKcje CZYTANIA Z INSTYTUTEM CERVANTESA

Od **stycznia do grudnia 2022 roku**, z wyłączeniem miesięcy wakacyjnych, **Fundacja Tygodnika Powszechnego** wraz z **Instytutem Cervantesa w Krakowie** organizuje **cykl lekcji czytania**, podczas których skupimy się na dziełach literackich autorek Ameryki Łacińskiej.

Cykl ma charakter **hybrydowy**. Spotykamy się online, ale – zachowując wszelkie środki bezpieczeństwa z uwagi na pandemię – **możemy również zorganizować lekcję w Twojej szkole lub bibliotece**. Napisz do nas na lekjeczytania@tygodnikpowszechny.pl.

Już teraz zapraszamy na pierwsze, inauguracyjne nasze spotkanie, które odbędzie się w **piątek 28 stycznia o godzinie 12:00** jako wydarzenie online na [fb/LekcjeCzytania](https://www.facebook.com/LekcjeCzytania). Powieść „Bezpieczna odległość” argentyńskiej pisarki **SAMANTY SCHWEBLIN** przybliży nam jej tłumacz na język polski Tomasz Pindel.

TYGODNIK
POWSZECHNY

FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Instytut
Cervantes

fanu♡pay

Cracovia



MARCIN WICHA DLA „TP”

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



Synagoga Tree of Life po zamachu terrorystycznym, w którym zginęło 11 osób. Pittsburgh, 27 października 2017 r.

Zakładnicy online

MARTA ZDZIEBORSKA

Atak na synagogę w Teksasie po raz kolejny przypomniał o problemie bezpieczeństwa w amerykańskich świątyniach. W tej sprawie alarmuje również Kościół katolicki.

ISTYCZNIA, SOBOTNIE PRZEDPOŁUDNIE. Anna Salton Eisen, jedna z założycielek kongregacji Beth Israel w teksańskim Colleyville, dostaje esemesy od kilkorga znajomych. Piszą, by natychmiast włączyła transmisję na żywo z nabożeństwa szabatu. Anna wchodzi na facebookowy profil kongregacji i widzi, że rejestrująca nabożeństwo kamera pokazuje pustą bimę (czyli kazalnicę). W tle słychać histeryczny głos mężczyzny, który krytykuje Amerykę i odgraża się, że ma przy sobie ma-

teriały wybuchowe. Podobnie jak tysiące internautów, kobieta śledzi transmisję do czasu, gdy zostaje ona nagle przerwana. Nikt jeszcze nie wie, że oprócz rabina w synagodze przebywa jedynie trójka wiernych, którzy zlekceważyli pandemiczne zalecenia i postanowili pojawić się na nabożeństwie osobiście. O losach zakładników Ameryka dowiaduje się dopiero jedenaście godzin później: FBI udało się odbić całą czwórkę, a sam napastnik – 44-letni Brytyjczyk Malik Faisal Akram – został zastrzelony.

Chcę porozmawiać z „siostrą”

Jak wynika ze wstępnych ustaleń Federalnego Biura Śledczego (FBI), atak na teksańską synagogę nie był incydem o podłożu antysemitycznym. Brytyjski napastnik, który dwa tygodnie wcześniej przyleciał do USA na wizie turystycznej, chciał wyrazić swój sprzeciw wobec skazania Pakistanki Aafii Siddiqui. To podejrzana o powiązania z Al-Kaidą neurobiolożka, która w teksańskim więzieniu w Fort Worth odsiaduje wyrok za próbę zabójstwa Amerykanów w Afganistanie. Mężczyzna domagał się jej uwolnienia, a w trakcie negocjacji z agentami FBI proponował wypuszczenie jednego z zakładników w zamian za rozmowę telefoniczną ze swoją „siostrą”. Zgodnie z powszechną wśród muzułmańskich bojowników narracją krzyczał, że Siddiqui została niesłusznie oskarżona i padła ofiarą amerykańskiego systemu. Jej sprawa zyskała już wcześniej międzynarodowy rozgłos: o uwolnienie kobiety apelowały m.in. pakistańskie władze, talibowie oraz bojownicy ISIS, którzy oferowali za jej

wolność wymianę zakładników, m.in. pojmanych w Syrii dziennikarzy Stevena Sotloff'a i Jamesa Foley'a.

Wybór miejsca styczniowego ataku był nieprzypadkowy. Podczas akcji pojmania zakładników Malik Faisal Akram wykrzykiwał, że obrał za cel synagogę, bo „Amerykę obchodzą wyłącznie Żydzi”. Zdaniem cytowanego przez „The Times of Israel” Jeffa Cohena, jednego z zakładników, „napastnik uwierzył w niebezpieczną, antysemicką teorię, jakoby Żydzi pociągali za wszystkie sznurki i mogli wymusić na prezydencie Bidenie uwolnienie Siddiqui”.

Herbatka przed atakiem

Napastnik nie dostał się na teren synagogi siłą. Przygotowujący się do nabożeństwa rabin Charlie Cytron-Walker wpuścił go do środka, bo ten wyglądał na zziębniętego i wydawało się, że potrzebuje pomocy. Zanim doszło do pojmania zakładników, mężczyzna dostał od rabina kubek gorącej herbaty i zamienił z nim kilka słów. Jak wspominał potem duchowny w wywiadzie dla „CBS Mornings”, mężczyzna stał się wyjątkowo agresywny dopiero w ostatniej godzinie negocjacji z amerykańskimi służbami. Gdy rozdrażniony kazał uklęknąć wszystkim zakładnikom, rabin rzucił w jego stronę krzesłem i krzyknął, by cała grupa jak najszybciej pobiegła do wyjścia (jak mówił dziennikarzom, w tamtych chwilach pomogły mu wskazówki z odbytych wcześniej szkoleń antyterrorystycznych).

Tuż po uwolnieniu zakładników prezydent Joe Biden nazwał teksańskie wydarzenie „aktem terroru”. „W najbliższych dniach dowiemy się więcej na temat motywów porywacza. Ale pozwólcie mi jasno powiedzieć każdemu, kto zamierza szerzyć nienawiść: będziemy przeciwstawiać się antysemityzmowi i wzrostowi ekstremizmu w tym kraju” – zapewnił prezydent.

W odpowiedzi na wydarzenia w Teksasie do pilnowania synagog w dużych miastach, takich jak Nowy Jork, Houston, Dallas czy Los Angeles, wysłano dodatkowe patrole policji. W wielu świątyniach podjęto również rozmowy na temat zaostrzenia procedur bezpieczeństwa. Jak donosi „New York Times”, w nowojorskiej synagodze Park East zapowiedziano już zwiększenie liczby ochroniarzy oraz ściślejszy monitoring odwiedzających. „Skoro coś takiego może wydarzyć się w małej teksańskiej społeczności z garstką wiernych, to znaczy, że do takiego incydentu może dojść wszędzie” – twierdzi pracujący w tej synagodze kantor Benny Rogosnitzky.

Zamknięte drzwi

Styczniowe wydarzenia skłoniły również do dyskusji na temat zachowania równowagi między bezpieczeństwem wiernych a gościnnością. „Jeśli mamy wybór między obowiązkiem moralnym (gościnnością) a bezpieczeństwem, to wybieramy to drugie. Nasze wytyczne są jednoznaczne: nie wpuszczamy nikogo nieznanego, bo to oznacza utratę kontroli nad

sytuacją” – mówi cytowany przez serwis Religion News Mitchell Silber, odpowiedzialny za wdrażanie procedur bezpieczeństwa w synagogach na przedmieściach Nowego Jorku.

Rabin Andrew Marc Paley z Temple Shalom w Dallas, gdzie ze względów bezpieczeństwa od dawna prowadzi się zapisy na organizowane dla lokalnej społeczności wydarzenia, powiedział w wywiadzie dla amerykańskiego radia NPR: „Chcemy być gościnni i chcemy być dla innych azylem, ale jednocześnie musimy być świadomi realnych zagrożeń. Zachowanie złotego środka w tej sytuacji jest niezwykle trudne: czasem może się okazać, że będziemy zbyt ostrożni, ale tylko pójście taką drogą daje potencjalnie szansę na uratowanie czyjegoś życia”. Frustrację związaną z rosnącym poczuciem zagrożenia wyraził w rozmowie z telewizją CNN rabin Joshua Stanton z nowojorskiej synagogi East End: „Nagle wszyscy musimy stać się ekspertami w dziedzinie bezpieczeństwa. A ja nie po to zostałem rabinem: chciałem po prostu uczyć, wspierać i dzielić się z wiernymi miłością, a nie strachem”.

„Wszyscy Żydzi muszą zginąć”

Wydarzenia w Teksasie postawiły w stan gotowości amerykańskich Żydów, którzy wciąż mają w pamięci strzelaninę w synagodze Tree of Life w Pittsburghu. W październiku 2018 r. uzbrojony mężczyzna wtargnął do świątyni z okrzykiem: „Wszyscy Żydzi muszą zginąć!”. W ciągu kilkunastu minut zabił 11 osób, co do tej pory jest najtragiczniejszym w skutkach atakiem na społeczność żydowską w historii USA. W reakcji na strzelaninę wiele amerykańskich synagog zaostrzyło procedury bezpieczeństwa: zatrudniono ochroniarzy, zainstalowano przy wejściu bramki do wykrywania metali i zainwestowano w szkolenia antyterrorystyczne na wypadek kolejnych ataków. Doszło do nich zresztą już w 2019 r.: w wyniku strzelanin w synagodze w kalifornijskim Poway i florydzkim Miami zginęła jedna osoba, a cztery zostały ranne.

Jak alarmuje żydowska organizacja Anti-Defamation League, w Stanach Zjednoczonych wzrasta liczba incydentów →



Drzwi do katedry w Denver, 10 października 2021 r.

→ o podłożu antysemickim. W 2021 r. odnotowano 2,1 tys. tego rodzaju przypadków, co stanowi 12-procentowy wzrost w porównaniu z 2020 r. Szczególnie burzliwie było podczas eskalacji konfliktu między Izraelem a rządzącym Strefą Gazy Hamasem: zdarzało się, że wspierający Palestynczyków aktywiści atakowali Żydów na ulicach, rzucali cegłami w koszerne restauracje i malowali swastyki na murach synagog (taki incydent odnotowano m.in. w Salt Lake City i Tucson). W ciągu zaledwie dwóch tygodni w maju 2021 r. Anti-Defamation League otrzymała 222 zgłoszenia nadużyć.

„Tutaj mieszka szatan”

W reakcji na atak na synagogę w Tekasie organizacje żydowskie ponowiły apel o podwojenie funduszy federalnych na wdrażanie procedur bezpieczeństwa w świątyniach i szkołach wyznaniowych. Z tym samym postulatem od miesięcy występują również przedstawiciele innych religii, m.in. muzułmanie, sikhowie, buddyści i katolicy, którzy coraz częściej zgłaszają przypadki wandalizmu.

Po ostatnich atakach opiekunowie miejsc kultu przyznają, że zaczęli coraz częściej wybierać bezpieczeństwo kosztem religijnego wymogu gościnności.

Według szacunków amerykańskiego episkopatu, od maja 2020 r. odnotowano ponad sto ataków na kościoły i katolickie symbole wiary: m.in. niszczone nagrobki, kościelne rzeźby i krzyże, malowano na murach obraźliwe hasła, dochodziło nawet do prób podpalenia świątyń. Szczególnie szerokim echem odbił się incydent w Denver, gdzie na drzwiach bazyliki katedralnej Niepokalanego Poczęcia NMP pojawił się ogromny napis: „Tutaj mieszka szatan”. Na murach kościołów przybywa również swastyk oraz haseł od-

noszących się m.in. do burzliwej debaty na temat przestępstw seksualnych księży czy dostępu do aborcji.

W odpowiedzi na akty wandalizmu amerykański episkopat wezwał polityków do ich publicznego potępienia. „Akty wandalizmu są różne, całkowicie obsceniczne, jak i wyrażające złość i gniew, czytelne w przekazie, jak i całkiem niezrozumiałe. Chociaż o tym zjawisku nie wiemy jeszcze dużo, jedno jest pewne – nasze społeczeństwo potrzebuje łaski Bożej” – napisali amerykańscy biskupi.

W reakcji na atak na synagogę biskup diecezji Fort Worth Michael F. Olson zaapelował na Twitterze do wiernych, by pomodlili się o uwolnienie zakładników. A ks. Michael Higgins, proboszcz położonej niedaleko synagogi parafii Dobrego Pasterza, przyjął u siebie rodziny zakładników oraz grupę rabinów, imamów i pastorów pomagającą w negocjacjach. Tak właśnie w trudnych chwilach powinna wyglądać międzywyznaniowa solidarność.

© MARTA ZDZIEBORSKA

REKLAMA

PRESTIGE MJM PREZENTUJE

SCORPIONS

ROCK BELIEVER

World Tour 2022

28 MAJA 2022
TAURON ARENA
KRAKÓW

BILETY: BILETSERWIS.PL

THE-SCORPIONS.COM



ZUZANNA

Radzik:

Znużeni dialogiem



„MYŚLAŁAM O NICH NEUTRALNIE, ALE, MUSZĘ PRZYznać, z pewną niechęcią” – mówi uczennica jednej ze szkół, w której odbył się program „Szkoła Dialogu”. Pracuję w fundacji, która realizuje go od 14 lat, więc jest to bezczelne lokowanie produktu.

Ale wryło mi się to zdanie w głowę i nie chce sobie pójść. Uczennica zaś mówi o Żydach. Ile razy już to od dzieciaków słyszałam: że nie wiedzieli, że się zdziwili, i że jak to możliwe, że w banku była synagoga, albo raczej – że bank jest w synagodze. I że jak to możliwe, że niczego ich w szkole nie uczono, a na rynku nie ma żadnej tabliczki. I że teraz ich nagle przejmują śmieci na żydowskim cmentarzu. Różne refleksje mieli, różne cudowne podejmowali działania, widziałam niejedno zmienione życie, kilkoro wróciło potem do nas, żeby pracować przy tym programie i robić dla innych to samo.

Dumna jestem jak paw, że tak to nam się pięknie udało wymyślić i zrobić. Jednak za każdym razem, gdy czytam lub słyszę, że odkryli dzięki nam, iż Żydzi to tacy sami ludzie jak oni, to coś mną trzęsie. Żeby osiemdziesiąt lat po Zagładzie polskich Żydów – bo właśnie czeka nas w tym roku gruba seria okrągłych rocznic deportacji mieszkańców gett do obozów zagłady – trzeba było organizacji pozarządowej, by dostarczyć uczniom tę przełomową myśl?

A teraz Sejm przegłosował, że już nas do szkół nie wpuszczą.

To, że polski uczeń nie ma wiedzieć zbyt wiele na ten temat, to w sumie konsensus ponadpartyjny. Nigdy nie było dobrze. Teraz zaś w zdewastowanej szkole, odciętej od partnerów społecznych, będzie tylko gorzej.

Większość Europejczyków nie wie szczególnie dużo o Żydach. Teraz powstała nawet w Komisji Europejskiej specjalna strategia, żeby zapobiegać antysemityzmowi i sprawiać, by życie żydowskie kwitło. Cel do 2030 r. całkiem fajnie pomyślany – tak, by koordynować wysiłki i wymieniać doświadczenia w całej Europie. Bo w całej Europie, i nie od dziś, ten problem mamy. I z pewnością zobaczymy również zalecenia krajowe realizacji tej strategii. Można zacząć obstawiać, który z prawicowych instytutów i czyjego imienia dostanie na to grube pieniądze. Czy w ramach zwalczania antysemityzmu można stawiać pomniki Polakom ratującym Żydów? Na pewno się jakoś da, skoro można kupić Pegasusa za kasę na ofiary przestępstw.

Problem z antysemityzmem mamy nie od dziś, również ze względu na niezmiennie przez wieki antyżydowską twarz chrześcijaństwa. Zmieniliśmy na soborze teologię, ale czy ładne dokumenty wystarczą, gdy tak długo truje się własne umysły? Tymczasem w Polsce wysiłki ograniczają się do skądinąd sympatycznego świętowania Dnia Judaizmu,

który został 25 lat temu ogłoszony jako sposób przypominania sobie przez katolików w Polsce o żydowskich korzeniach chrześcijaństwa. Jako młoda dziennikarka do znudzenia jeździłam na jego centralne obchody i obserwowałam, jak kolejne diecezje wystawiają profesorów i zapraszają nobliwych gości, ale nie dopilnowują, by w uroczystości udział brali tamtejsi seminarzyści. Świętowaliśmy i w tym roku: 17 stycznia, w nielicznych parafiach, w iluś diecezjach oraz z pompą centralnie, w Poznaniu.

A jednocześnie sypały się komentarze – że po co to? Czy Żydzi mają Dzień Chrześcijaństwa? Otóż w Polsce Żydzi mają festiwal katolicyzmu przez cały rok. Jakby słuchanie o dialogu zaczęło już nużyć, choć się on jeszcze na dobre nie zaczął. Gdy kogoś nudzi słuchanie o Zagładzie, bo ile można, to badacze nazywają to wtórnym antysemityzmem. A jak nazwać katolickie znudzenie dialogiem? Zmęczyło was, koledzy i koleżanki, słuchanie o chrześcijańskim antysemityzmie, choć praktycznie nie musicie? Albo o tym, że te relacje nie są równoważne, skoro to my, chrześcijanie, stworzyliśmy obraz Żyda-antagonisty, żeby nasza teologia była na wierzchu? Choć to w judaizmie mamy korzenie?

Doprawdy, pięćdziesiąt parę lat nowego nauczania o Żydach może człowieka zanudzić. Same dobre rzeczy słyszy o nich z ambony, księża prześcigają się w interpretowaniu Nowego Testamentu w kazaniach tak, by nie piętnować faryzeuszy ani nie nazywać prawa Starego Testamentu martwym, a Boga – okrutnym. Każdy biskup ma w komórce telefon najbliższego rabina. Chrześcijanie ogólnie zwalczają antysemityzm z przekonaniem. Nie ma o czym gadać.

Wszyscy czujecie, że kpię, prawda? Bo wciąż jest zupełnie inaczej.

Tymczasem za oceanem, w Teksasie, w czasie porannego szabatowego nabożeństwa do synagogi wszedł, prosząc o pomoc, człowiek. Potem wyciągnął broń i przetrzymywał zgromadzonych jako zakładników. Jak później tłumaczył rabin, napastnik naprawdę wierzył, że Żydzi rządzą światem, a popularna na Manhattanie rabinka może załatwić zwolnienie więźnia. W świecie zmęczonym słuchaniem, że antysemityzm prowadzi do zła i trzeba z nim walczyć, dzieją się złe rzeczy. ©

POZNANIE

Msza święta za spójność duszy

Ś.†P.

Jerzego Langiera

zostanie odprawiona

w kościele św. Szczepana w Krakowie
w czwartek 3 lutego 2022 r. o godz. 8.30



POWOLNY POWRÓT DO NORMALNOŚCI

Fala zakażeń w Wielkiej Brytanii opada, znoszone są restrykcje. Na czoło problemów wysuwa się stan systemu ochrony zdrowia po dwóch latach pandemii.

PATRYCJA BUKALSKA Z READING (ANGLIA) I ABERDEENSHIRE (SZKOCJA)

WE WCZESNE SOBOTNIE POPOŁUDNIE na ulicach Reading, 230-tysięcznego miasta nad Tamizą, za swoimi sprawami spieszy mimo deszczu sporo ludzi. Gdzieniedzie trwają poświęcone wyprzedaże, na innych sklepowych wysta-

wach widać już wiosnę. Na ulicy tylko nieliczni – zwykle seniorzy – noszą maseczki.

Wprawdzie, jak później usłyszymy, tego dnia w Wielkiej Brytanii odnotuje się 80 tys. nowych zakażeń i prawie

230 zgonów, ale fala infekcji wariantem Omikron opada. O pandemii można by już prawie zapomnieć, gdyby nie kolejka przed punktem testowania zorganizowanym koło centrum handlowego. W samym centrum jest z kolei punkt szcze-

*Poranek pierwszego dnia
po apelu premiera Borisa Johnsona, by
Brytyjczycy wrócili z pracy zdalnej do realnej.
Westminster Bridge, Londyn, 20 stycznia 2022 r.*

pień. W kawiarniach, w tym samym budynku, ludzi pełno – pora lunchu, stoliki zajęte, kelnerki się uwijają.

Następnego dnia już nie pada i na niedzielne spacery w okolicy malowniczej wsi Goring-on-Thames wybierają się tłumy. Na wąskim mostku nad Tamizą z trudem mijają się rodziny z dziećmi i zorganizowane grupy. Po spacerze obowiązkowy przystanek w kawiarni nad wodą. Dzieci biegają, pod stołami rozłożyły się zmęczone, ubłocone psy, a dorośli toczą mniej lub bardziej poważne rozmowy nad kubkiem kawy.

Może to pierwsze mocniejsze promienie słońca, zwiastuny wiosny, wyciągnęły nad rzekę tłumy? A może tak wygląda powrót do normalności? Powolny – przy wejściu wyłożono żełe dezynfekujące, stoły są dezynfekowane. Ale te elementy reżimu sanitarnego, podobnie jak maseczki w sklepach, wrosły już w codzienność.

W połowie stycznia minister edukacji Nadhim Zahawi wyraził nadzieję, że Wielka Brytania mogłaby być pierwszym z krajów, który pokaże, jak pandemia przechodzi w fazę endemiczną. Czyli jak po prostu z covidem żyć.

Co mówią liczby

Wariant Omikron pojawił się w Europie najpierw właśnie w Wielkiej Brytanii – w drugiej połowie listopada 2021 r. W reakcji na przewidywaną skalę zakażeń powrócono do pewnych restrykcji, choć w porównaniu z wcześniejszymi lockdownami były nieznaczne – jak obowiązkowe maseczki w środkach transportu i miejscach publicznych czy covidowe paszporty przy wejściu na imprezy masowe.

Rząd Borisa Johnsona nie zdecydował się na radykalne zamknięcie kraju, jak to się stało w grudniu 2020 r., gdy Wyspami zawładnął wariant Alfa (inaczej brytyjski), a nie było jeszcze szczepionki. Teraz władze zaryzykowały i chyba dobrze za tym wyszły.

W pierwszych tygodniach obecności Omikrona statystyki dziennych zakażeń szybały w górę. Tego się spodziewano, choć liczby przekraczające 200 tys. nowych infekcji każdego dnia robiły wra-

żenie. Ważniejsze były jednak dane dotyczące hospitalizacji i zgonów. Te zaś utrzymywały się na w miarę niskim poziomie – w porównaniu z falą wywołaną rok wcześniej Alfą teraz do szpitali trafiało o połowę mniej pacjentów. Mówiąc inaczej: trzy- lub nawet czterokrotnie mniej niż w pierwszych czarnych prognozach na temat Omikrona. Okazało się też, że niemal połowa pacjentów, choć zakażona Omikronem, trafiała do szpitala z powodu innego niż covid.

Na początku stycznia fala zakażeń zaczęła wyraźnie opadać. Po dwóch tygodniach spadków 19 stycznia Johnson ogłosił, że można znieść większość restrykcji w Anglii – choć warto zaznaczyć, że tego dnia zanotowano ponad 100 tys. nowych infekcji, więc pod tym przynajmniej względem sytuacja nie wróciła jeszcze do stanu sprzed Omikrona. A w komentarzach pojawia się także sceptycyzm, czy to nie za wcześnie na znoszenie restrykcji i czy nie obciążą to służby zdrowia, i tak już przeciążonej.

Końcówka czy nie?

Z dnia na dzień odwołano więc zalecenia, by pracować zdalnie, a od czwartku 27 stycznia w sklepach i innych miejscach publicznych nie trzeba będzie nosić maseczek. Niepotrzebne będą też paszporty covidowe przy wejściu na imprezy zorganizowane. Pozostaje obowiązkowa izolacja w przypadku pozytywnego wyniku testu, choć w niektórych przypadkach może być skrócona do sześciu dni. I ona jednak może zostać zniesiona w marcu.

Minister zdrowia Sajid Javid podkreśla, że zniesienie restrykcji to „kamień milowy”, choć „to jeszcze nie koniec drogi”, ponieważ „nie możemy wypełnić tego wirusa i jego przyszłych wariantów. Zamiast tego musimy nauczyć się żyć z covidem w taki sam sposób, w jaki musimy żyć z grypą”. Javid dodał, że długoterminowa strategia owego „życia z covidem” zostanie opracowana wiosną.

Dzień wcześniej na poluzowanie restrykcji zdecydowała się Szkocja. Doradca szkockiego rządu autonomicznego, lekarz Jason Leitch, wyraził się podobnie jak Javid: „Myślę, że to końcówka Omikrona. Nikt jednak nie wie, czy to końcówka całej pandemii”.

Restrykcje dotyczące imprez sportowych i klubów nocnych zniesiono też w Walii.

Ostatnie ograniczenia

W Szkocji pandemiczne wytyczne zawsze były surowsze niż w Anglii, więc po ich obecnym poluzowaniu Szkoci muszą nadal przestrzegać pewnych zasad i np. nosić maseczki w zamkniętych przestrzeniach publicznych. Ponownie otwarte zostaną za to kluby nocne, a w pubach można będzie zamawiać piwo przy barze.

Nadal natomiast, zanim zamówi się to piwo lub zasiądzie do obiadu w restauracji, trzeba podawać swoje dane (na wypadek pojawienia się ogniska zakażeń). Większość gości robi to za pomocą specjalnej aplikacji, inni wypełniają papierowy formularz. Jest to dość rygorystyczne przestrzegane i nie budzi zdziwienia. Nie psuje też chyba przyjemności ze spotkań w kawiarni czy rodzinnego wyjścia obiad, bo gości w lokalach nie brakuje.

Nawet w rybackiej wsi Gardenstown w hrabstwie Aberdeenshire, w szary styczniowy dzień do Eli's – małej kawiarni połączonej z galerią, w której mieszczą się zaledwie cztery stoliki – co chwila zaglądali chętni na lunch czy kubek gorącej czekolady.

Dla takich miejsc lockdowny były trudne – pozostała tylko sprzedaż na wynos, a turystów nie było. Może te bolesne doświadczenia w Szkocji sprawiają, że goście witani są dziś w restauracjach i barach z otwartymi ramionami, ale regulacje sanitarne są pilnie przestrzegane. W restauracji w Macduff kelnerka dopilnowała nawet, abym usiadł przy stoliku.

Jason Leitch uważa, że potrzebna jest właśnie taka podstawa w dalszej walce z wirusem: śledzenie kontaktów, dezynfekcja, szczepienia, testy. „Myślę, że to z nami zostanie w czasie postomikronowym” – mówił.

Czas odbudowy

Zdaniem ekspertów Wielka Brytania dość dobrze poradziła sobie z Omikronem dzięki zaszczepieniu znaczącej części populacji, w tym trzecią dawką przypominającą. Po tym, jak przez kraj przeszły cztery kolejne mutacje koronawirusa, Brytyjczycy powinni też mieć już wyższy poziom przeciwciał. „Gdy skończy się Omikron, odporność w Zjednoczonym Królestwie będzie wysoka, przynajmniej przez jakiś czas” – mówiła prof. Eleanor Riley, immunolog z Uniwersytetu w Edynburgu. I choć ta odporność będzie spadać, i będzie dochodzić do zakażeń, to można

→ mieć nadzieję, że przejście przez chorobę będzie łatwiejsze.

Na liście priorytetów na czoło wysuwa się teraz naprawa szkód wyrządzonych przez dwa lata pandemii. Zaległości mają szkoły – nauczyciele sądzą, że na nadgonienie materiału uczniowie potrzebują od pół do nawet półtora roku. Z kolei wiele firm musiało się zamknąć lub walczyć wciąż o przetrwanie.

Tymczasem wiosna dla Brytyjczyków będzie trudna. W górę poszły ceny energii i paliwa, a to jeszcze bardziej pociągnie za sobą wzrost innych cen, które i tak są wysokie – w grudniu 2021 r. były one wyższe o 5,4 proc. w stosunku do 2020 r. Koszty utrzymania w Wielkiej Brytanii są dziś najwyższe od prawie 30 lat, a inflacja może jeszcze rosnąć.

Podwyżki płac nie nadążają za tym wzrostem i powiększa się grono tych, którzy muszą wybierać: kupić jedzenie czy płacić za prąd. W kwietniu dojdą kolejne wydatki, np. wyższe ubezpieczenie socjalne. Podwyżka ta ma służyć dofinansowaniu ochrony zdrowia. Ale pieniądze, choć potrzebne, nie rozwiążą wszystkich problemów medyków.

Bezszenność lekarzy

Największy problem w ochronie zdrowia to braki kadrowe i wyczerpanie personelu. Według raportu Medical Defence Union, opublikowanego przez dziennik „Guardian”, co czwarty lekarz jest tak zmęczony i niewyspany, że nie powinien zajmować się pacjentami. Prawie 60 proc. ankietowanych medyków przyznało, że w czasie pandemii źle sypia. Ponad jedna czwarta, że zmęczenie wpływa na ich sprawność w pracy. Prawie 20 proc. z tej grupy wyznało, że z powodu wyczerpania zaszkodziło lub niemal zaszkodziło pacjentowi.

Co trzeci ankietowany lekarz nie ma czasu nawet na jedną przerwę w ciągu dnia pracy, ponad połowa ma w tygodniu od kilku do 20 nadgodzin. Wysoce zakaźny Omikron pogorszył sytuację kadrową – na przełomie grudnia i stycznia z powodu zakażenia lub kontaktu z zakażonym w izolacji był co piąty lekarz.

Tymczasem pracy jest coraz więcej. Omikron może być w odwrocie, ale rośnie liczba chorych czekających na planowe zabiegi i operacje. Dziś na liście oczekujących tylko w Anglii jest już 6 mln ludzi, z czego 300 tys. czeka ponad rok. Im dłużej czekają, tym stan ich zdrowia jest gorszy.

Do tej pory
Boris Johnson znany
był z tego, że potrafił się
wykaraskać z każdego
tarapatów. Ale tym razem
**znalazł się blisko
granicy cierpliwości**
swoich własnych
partyjnych kolegów.

Wśród najlepiej wyszczepionych

Pandemia wyostrzyła kłopoty brytyjskiego systemu ochrony zdrowia. Punktem krytycznym może okazać się kwiecień, gdy dla całego personelu medycznego w Anglii mającego kontakt z pacjentami obowiązkowe staną się szczepienia przeciwko covidowi.

Wielka Brytania jest jednym z najlepiej wyszczepionych krajów Europy – dwie dawki przyjęło tu ok. 83 proc. osób powyżej 12. roku życia; trwa też intensywna akcja szczepień dawką przypominającą. Zaszczepionych dwiema dawkami szczepionki jest ponad 90 proc. medyków, jednak – jak się okazuje – nawet wśród nich nie brak sceptyków lub wahających się, czy przyjąć szczepionkę. W Anglii ich liczbę ocenia się na ok. 80 tysięcy. Jeśli nie zmienią zdania, po 1 kwietnia nie będą mogli pracować.

Teraz część z tych, którzy nie chcą się zaszczepić, zaczęła nosić fioletowe wstążki przypięte do fartuchów – na znak sprzeciwu wobec zarządzenia o obowiązkowych szczepieniach. Wybuchają emocje i padają pytania typu: „Przez dwa lata byliśmy dość dobrzy, by pracować na pierwszej linii, a teraz chcecie nas zwolnić?”. Są też aspekty praktyczne – strata kolejnych lekarzy czy pielęgniarek jeszcze bardziej utrudni funkcjonowanie placówek zdrowia.

Nie wydaje się jednak, aby widmo jeszcze większych braków w szpitalach i przychodniach zmieniło opinię ministra zdrowia. Podobna dyskusja toczyła się wcześniej na temat obowiązkowych szczepień dla personelu domów opieki, a jednak zaczęły one obowiązywać już od listopada 2021 r.

„Na Boga, odejź!”

Śledząc opadającą krzywą zakażeń, Boris Johnson mógł może mieć nadzieję, że jego strategia unikania kolejnego lockdownu opłaciła się i – podobnie jak udana akcja szczepień – przyniesie mu polityczną dywidendę. Rozwijający się obecnie skandal – wokół ujawnianych przez media kolejnych przyjęć i imprez towarzyskich, które personel siedziby premiera przy Downing Street 10 organizował w czasie lockdownów – sprawia jednak, że premier musi dziś walczyć o polityczne przetrwanie.

Do tej pory Johnson znany był z tego, że potrafił się wykaraskać z każdego tarapatów. Ale tym razem znalazł się blisko granicy cierpliwości swoich partyjnych kolegów. Torysi (Partia Konserwatywna) są znani z bezwzględności stosunku do swoich przywódców, gdy ci stają się dla partii obciążeniem.

Podczas ostatniej debaty w parlamencie jeden z konserwatywnych posłów zmienił barwy i przeszedł do ław Partii Pracy, a były minister ds. brexitu David Davis z nieskrywaną niechęcią rzucił publicznie do Johnsona: „Na Boga, odejź!”. Ma to tym większą wagę, że jest historycznym cytatem: w obliczu zwycięstw Hitlera tak jeden z posłów wezwał w 1940 r. do dymisji premiera Neville’a Chamberlaina (wkrótce zastąpił go Winston Churchill), po raz pierwszy zaś słów tych miał użyć w XVII w. Oliver Cromwell, zwracając się do parlamentu.

Johnson odchodzić jednak nie zamierza – taki był w każdym razie stan rzeczy, gdy ten tekst trafiał do druku. I udaje głupiego: stwierdził, że nie wie, o jaki cytat chodzi – co może dziwić, skoro to on, Johnson, jest autorem biografii Churchilla.

W sprawie przyszłości premiera Brytyjczyków może czekać jeszcze kilka zwrotów akcji. A w sprawie wirusa? Światowa Organizacja Zdrowia ostrzega, że pandemia jeszcze się nie skończyła, a Omikron może nie być ostatnim wariantem. W Wielkiej Brytanii bardziej niepokojąco brzmi jednak teraz wspomniane już prognozy rosnących cen energii i żywności. Jak ujął to szef think tanku Resolution Foundation, rok 2022 będzie „rokiem zaciskania pasa”.

© PATRYCJA BUKALSKA

Tekst ukończono 20 stycznia.



SERGEY PIVOVAROV / REUTERS / FORUM

Przy granicy z Ukrainą Rosja zgromadziła ok. 130 tys. żołnierzy, gotowych w każdej chwili do nowej napaści na ten kraj. Na zdjęciu: rosyjskie czołgi w regionie rostowskim, blisko ukraińskiej granicy, 12 stycznia 2022 r.

Jak najdalej od tego zła

TADEUSZ IWAŃSKI

Gdy wybuchła wojna, opuścili swoje domy na wschodniej Ukrainie – tak jak półtora miliona innych ludzi. Ich ziemią obiecaną stało się Zakarpacie. Dziś wspominają: jak uciekali i jak zaczynali na nowo.

W MARCU MINIE OSIEM LAT OD chwili, gdy Rosja zaanektowała Krym i rozpętała wojnę we wschodniej Ukrainie. Skutkowało to wielką wewnętrzną wędrówką: szacuje się, że z okupowanych Donbasu i Krymu wyjechało prawie 1,5 mln ludzi (w tym kilkadziesiąt tysięcy z Półwyspu Krymskiego). Nowe miejsca do życia znaleźli głównie w pobliżu starego: przesiedleńcy z Donbasu często zostawiali po lewej stronie Dniepru, blisko frontu, w dużych miastach, jak Charków, Zaporże i Dniepr. Ci z Krymu, w tym Tatarzy – w graniczącym z Półwyspem obwodzie chersońskim (choć nie tylko).

O nowy dom i pracę jednak nie jest łatwo. Państwo pomaga na miarę swych możliwości i ograniczeń – skromnie

i chaotycznie. Jego rolę uzupełniają organizacje pozarządowe i wolontariusze, zachodnia pomoc, organizacje religijne. Ale poczucie rozczarowania jest ogromne. Wielu nie udało się zakorzenieć na nowo, część wróciła.

W becze dziegciu jest też łyżka miodu. Los wynagrodził tym, którzy pokonali najdłuższą odległość: z Łużańska i Doniecka na wschodzie do Użhorodu na zachodzie, ponad 1600 km. Była to podróż między światami. Z przemysłowo-górniczego zagłębia do krainy połonin i źródeł termalnych. Z metropolii, jaką był Donieck, do dziesięciokrotnie mniejszego Użhorodu. Ze stepu – w góry. Od szachtorskiego (górniczego) etosu do celebracji porannej kawy. Z miasta o raptem

stuletniej historii do regionu, gdzie historia dogania na każdym kroku. Od prosowieckich sentymentów do nostalgii za Habsburgami.

W sumie na Zakarpaciu jest prawie 4 tys. uchodźców z okupowanych terytoriów; co trzeci z nich mieszka w Użhorodzie. Jak tu trafili, czy chcą wracać? Oto trzy pozytywne historie, tutaj będące raczej regułą niż wyjątkiem.



TADEUSZ IWAŃSKI

■ **KATERYNA IRCHA**, docentka na Wydziale Politologii i Stosunków Międzynarodowych na Wschodnioukraińskim Uniwersytecie im. Wołodymyra Dala w Siewierodoniecku (w obwodzie ługańskim); żyjąc dziś na Zakarpaciu, wyklada tam zdalnie: Mieszkalam w Łużańsku. Widziałam uzbrojonych ludzi na moim uniwersytecie, nic nie wskazywało, by jutro mieli

→ stąd odejść. Doszło do mnie, że znajdują się tu nie obywatele Ukrainy, przecież słyszeliśmy ich dialekt i to nie byli miejscowi. Sprowadzili sprzęt wojskowy na teren miasteczka studenckiego, gdzie mieszałam. Panował okropny nastrój ciągłych plotek: będzie ofensywa, będzie ofensywa... [wojsk rosyjskich – red.].

Trzeba było uciekać. W takich okolicznościach to nie była trudna decyzja. Szukałam wariantów: w tamtych dniach w mojej rodzinnej miejscowości Swatowo, 160 km od Ługańska, stały wojska ukraińskie. Dla separatystów wszyscy, którzy w paszporcie mieli wpisane to miasto, byli „pomocnikami kijowskiej junty”. I wysadzali ludzi na trasie, nie dawali im wyjechać poza tereny przez siebie kontrolowane. Wybrałam pociąg, udało się.

Chciałam pojechać jak najdalej na zachód, aż za Dniepr. Aby zyskać jak najwięcej czasu w razie ofensywy. Nie chciałam drugi raz przechodzić przez ten koszmar, te wystrzały. Zresztą u mnie reakcja obronna była absurdalna: słyszałam artylerię i śmiałam się. I dopiero jak wyjechałam, to zrozumiałam, że mogłam tam zginąć.

Punktem zwrotnym dla mnie było zestrzelenie nad Ługańskiem ukraińskiego samolotu wojskowego w czerwcu 2014 r. Uświadomiłam sobie, że te wystrzały nie tylko zastraszają, ale zabijają. Włącza się instynkt samozachowawczy i podejmujesz decyzję o wyjeździe.

Nie sądziłam, że wyląduję aż tak daleko (śmiej), nad Cisą. Dla mnie to, jak daleko pojechałeś, jest wskaźnikiem świadomości, że jedziesz na długo, może na zawsze, a nie tylko przechować się jakiś czas. Poza tym o nas, ludziach z Donbasu, tam na lewym brzegu Dniepru funkcjonowały różne stereotypy. I odmawiano nam, gdy chcieliśmy wynająć mieszkanie. Zameldowanie mieliśmy na terytoriach niekontrolowanych [przez Ukrainę], więc byliśmy „stamtąd” i w każdej chwili mogliśmy zniknąć, nie zapłacić, a jeszcze jakieś rzeczy wynieść z lokalu. To był duży problem w Charkowie czy Dniepropietrowsku, dokąd wyjeżdżało najwięcej naszych ludzi. Ale ja tam nie mieszałam, więc nie wiem, czy tym ludziom się udało. Czy ta fala nieufności minęła.

Tu, w Użhorodzie, w ogóle się z tym nie spotkałam. Znalazłam mieszkanie z pierwszego ogłoszenia. I nikt mnie nie pytał, gdzie mam zameldowanie. Inter-

Prorosyjscy separatyści

przyjechali w maju 2014 r. z bronią. Zajęli nasz dom w Doniecku, naszą firmę, auta z salonu.

I jeszcze dzwonili do nas, gdzie są kluczyki od samochodów.

sowało ich tylko, czy mam źródło dochodów, które pozwoli mi opłacić czynsz.

Myślę, że tolerancyjność Zakarpacia wynika z doświadczenia wspólnego życia różnych ludzi, zmiany granic państwowych – nie zmieniając miejsca zamieszkania, ludzie zmieniali państwa. To się odbija na genotypie, jakoś ruguje taki ostry podział swój–obcy. Tu nikt nie odnosił się do mnie podejrzliwie. Mam wielkie poczucie wdzięczności wobec Zakarpacia. Nikt mnie tu nie dyskryminował.



TADEUSZ IWANUSKI

■ **IHOR TODOROW**, dziś profesor i dyrektor Centrum Informacyjnego Unii Europejskiej na Narodowym Uniwersytecie w Użhorodzie:

Tak zwana Ruska Wiosna zastała mnie w Doniecku. Jako rdzenny mieszkaniec Donbasu uważam, że to była operacja rosyjskich służb specjalnych. Nie było żadnych podstaw dla separatyzmu. Ludzie, którzy potem objęli funkcje w tzw. Donieckiej Republice Ludowej, wcześniej mieli organizację pozarządową, z taką symboliką i flagą, co teraz DRL, ale patrzono na nich jak na lokalnych wariatów. To było 30-40 osób bez żadnego poparcia. Sytuacja zmieniła się 1 marca, gdy najechali tzw. rusoturyscy z obwodu rostowskiego [sąsiedni rosyjski region]. Nigdy wcześniej w moim mieście nie widziałem tylu rosyjskich flag. To oni orga-

nizowali pierwsze manifestacje. Był nawet taki test: pytano ich, która godzina, a oni podawali późniejszą, czyli czas moskiewski.

Na początku maja 2014 r. przyjechałem do Użhorodu jako członek ministerialnej komisji. Było wspaniale, spokojnie, w porównaniu z Donieckiem, gdzie po ulicach chodzili uzbrojeni ludzie. Po powrocie zobaczyłem, że sytuacja jest coraz gorsza. Napisałem do kolegów ze Lwowa, Iwano-Frankowska, Łucka, Czerniowiec, Tarnopola i niedawno odwiezzonego Użhorodu maila z jednym pytaniem: czy pomożecie z pracą, jeśli przyjdzie uciekać? Wszyscy odpisali: znamy, lubimy, coś znajdziemy. Tylko z Użhorodu przyszła konkretna propozycja: pełnego profesorskiego etatu dla mnie i żony od następnego roku akademickiego.

To zdecydowało. Ale wtedy jeszcze nie pojechalśmy. Najpierw wybraliśmy się na okupowany Krym, gdzie mieliśmy dachę. Chcieliśmy przeczekać, aż nasza armia uwolni Donieck. Gdzieś trzeba było mieszkać, a w Doniecku byłem znany, byłem już na listach do piwnicy [tzw. separatyści więzili ludzi w aresztach urządzonych w piwnicach, stąd w języku potocznym zwrot „do piwnicy” jako synonim „do aresztu”]. A na Krymie byłem anonimowy.

Odbić Doniecka naszej armii się nie udało. Napisałem do Użhorodu: a jeśli naprawdę do was przyjedziemy? Odpisali: przyjeżdżajcie. I tak zamiast na północny wschód do starego domu pojechalśmy autem na zachód, do nowego domu. Przyjechalśmy 31 sierpnia, a już 1 września poszliśmy do pracy.

Żona pojechała jeszcze do Doniecka, by zabrać nasze papiery z uczelni. Gdy w radiu usłyszałem, że separatyści zajmują uniwersytet, zadzwoniłem do niej i powiedziałem: nie idź. A ona, że akurat jest w kadrach – na szczęście w innym budynku. Potem poszła do naszego mieszkania. Akurat przed wojną skończyliśmy remont. I pojawiła jej się w głowie taka myśl: a może tu zostanę, sama, a mąż będzie pracować w Użhorodzie? Pomysł ten został błyskawicznie zweryfikowany: poszła wyrzucić śmieci i spotkała sąsiadkę. I ona mówi tak: „A... to wy, po coście tu przyjechali? Twój mąż w telewizji występował za niepodzielnością Ukrainą. Zaraz zadzwonię, gdzie trzeba”. Bardzo nam to pomogło w podjęciu decyzji.

Na Zakarpaciu przyjęto nas wspólnie. Większość spraw biurowych poszła sprawnie. I bez pieniędzy – w Doniecku byliśmy przyzwyczajeni do drobnej korupcji. Nie tylko na uczelni, także w urzędach wszystko szło szybko, spotkaliśmy się z otwartością, chęcią pomocy i tolerancją. Nigdy nie spotkałem się z brakiem akceptacji czy dyskryminacją. Raz tylko, jak ktoś zobaczył doniecką rejestrację naszego auta, mina mu się jakoś zmieniła. Organizacja społeczna Zakarpacie-Donbas, zrzeszająca przedsiębiorców, ma siedzibę w budynku związków zawodowych i nie płaci za wynajem.

Otwartość Zakarpacia jest szczególna, np. w odróżnieniu od Galicji. Lubię Galicję, ale tam ludzie są tak dumni, że aż widać pychę. Znam kilka przykładów moich kolegów i byłych studentów, którzy pojechali z Donbasu do Lwowa. Nie zostali zaakceptowani, szybko opuścili Galicję. Tu, na Zakarpaciu, prawie wszyscy z nas zostali. Znam może dwa przypadki, gdy ludzie wyjechali, ale nie z braku akceptacji, lecz z faktu, że nie mogli znaleźć pracy.

Zakarpacie to do pewnego stopnia termin polityczny. Zaczęto go używać, gdy ten region został przyłączony do Związku Sowieckiego w 1945 r. Bo z punktu widzenia Moskwy czy Kijowa leżał za Karpatami. Tymczasem za czasów Czechosłowacji nazywał się Ruś Podkarpacka, czyli pod Karpatami. Gdy przez wieki wchodził w skład Królestwa Węgier, które gnębiło lokalną ludność rusińską, wypracowała ona pewną umiejętność przystosowania się, niekonfliktowości. Mieszkańcy pozostawali sobą, rywalizowali w swoim środowisku – jak wiadomo, na Zakarpaciu każdy gospodarz chce zbudować dom trochę większy niż sąsiad (*śmiech*) – ale nie było tu jakiejś zapiekłości. Np. nie powstały oddziały OUN-UPA, może gdzieś w okolicach Rachowa, ale zasadniczo emisariusze nacjonalistów niewiele tu wskórali.

I chyba właśnie ta od wieków budowana tolerancja sprzyjała temu, że ludzie, którzy tu przejeżdżają z Donbasu i Krymu, adaptują się szybciej niż w innych regionach zachodniej Ukrainy. Co więcej, wszyscy mówią, że nawet w razie odwojowania Donbasu nie wrócą. Bo im tu dobrze. I mnie też. Mojego kręgu znajomych i ludzi o podob-

nych poglądach już dawno w Doniecku nie ma, a kolaboranci zostaną.



TADEUSZ IWĄŃSKI

■ **DMYTRO KOTICHIN**, dziś dyrektor autoryzowanego punktu dealerskiego BMW na Zakarpaciu:

Pochodzę z Krymu, a w Doniecku mieliśmy rodzinny biznes. Współpracowaliśmy z międzynarodowymi koncernami paliwowymi oraz z BMW, a potem już tylko z BMW. Od 1999 r. mieliśmy autoryzowany, oficjalny dealerski punkt sprzedaży: mini, motocykle i samochody, w sumie 3,5 tys. metrów kwadratowych powierzchni.

Kiedy zaczęły się te wszystkie wydarzenia – w Kijowie rewolucja wybuchła, potem Rosjanie Krym zabrali i zaczęły się jakieś niezrozumiałe napięcia w Doniecku – wyjechaliśmy do Włoch, na kilkumiesięczny rejs. Mieliśmy nadzieję, że to wszystko się jakoś przewali i wrócimy. A wyglądało to jak kiepski film, święto absurdu.

Wróciliśmy. Widziałem wojskowe samoloty i myślałem: co się dzieje? Druga Czechenia? Więc znów wyjechaliśmy – na Krym, do rodziców. Znów myśleliśmy, że tam przeczekamy. Wzięliśmy dzieci, dokumenty i stroje kąpielowe. I już nie wróciliśmy. W tym czasie separatyści zajęli nasz dom, firmę, auta z salonu. Przyjechali z bronią – to był koniec maja. Jeszcze dzwonili do nas – gdzie kluczyki? (*śmiech*)

Z Krymu pojechaliśmy do Kijowa, do partnerów z BMW, z pytaniem: co robić? Zaczęli szukać obwołu, gdzie nie było oficjalnego dealera, i zaproponowali Zakarpacie. Byłem tam dawno temu, w latach 90., i tyle. Pomyślałem: tam są cztery granice z Unią, ciężko przez nie jechać, podobnie jak ciężko jechać do Lwowa przez Karpaty, a więc pewien potencjał na miejscu jest, nawet jeśli potencjały ekonomiczne Zakarpacia i Doniecka są zupełnie inne.

W maju 2015 r. przejechaliśmy do Użhorodu. Zaczęliśmy budować i w kolejnym roku otworzyliśmy salon. Ob-

roty oczywiście nie są tu takie jak w Doniecku. Ale działamy, rozwijamy się. Chcieliśmy jak najdalej od tego zła, od wojny. Została mi tylko rodzina. Tamten dom i biznes zabrali, w ciągu jednego dnia staliśmy się innymi ludźmi.

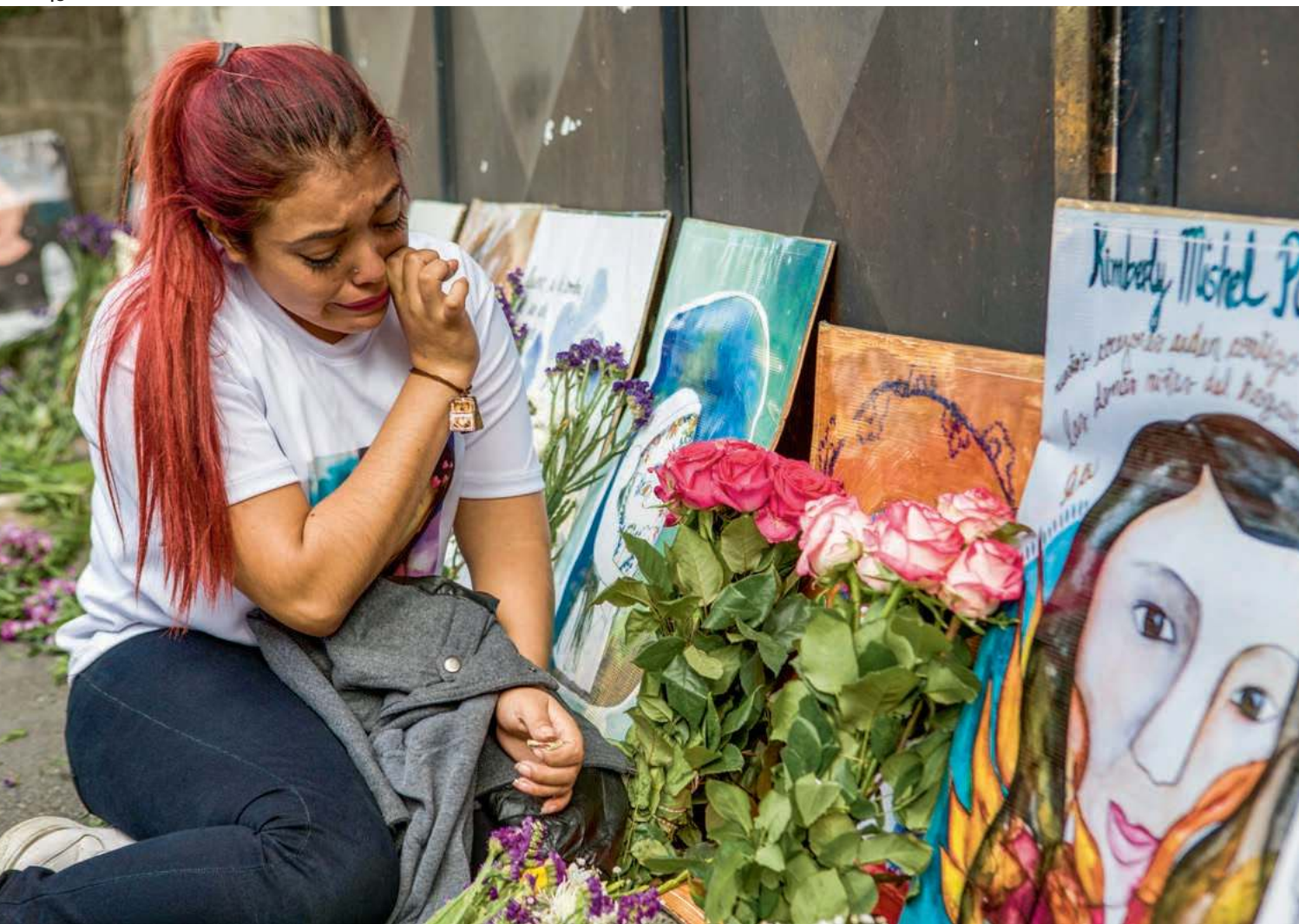
A tu? Że ludzie inni, inna kultura? Wszyscy zadają mi to pytanie. Nie rozumiem, w czym problem. Przecież nie przyjechaliśmy z Afryki! Od początku nie było żadnych sytuacji konfliktowych. To nam wkładali do głowy w Donbasie: że tam to jacyś zachodniacy, ludożercy prawie. A tu – że Donbas to sami bandyci. Były takie stereotypy.

Ale okazało się, że to wszystko nieprawda. Tak, jest tu jakaś szczególna mentalność, no ale... Jest takie przysłowie: z własnym samowarem w gości się nie chodzi. I jak myśmy tu przyjechali, to staraliśmy się dostosować: poznać historię i sztukę regionu, różne jego zakątki. A potem zaczęliśmy rozszerzać tę geografie: Lwów, Koszyce, Nyńregyháza, Eger po wino – Europa Środkowa! Staliśmy się turystami samochodowymi. Wcześniej za granicę tylko lataliśmy. Kraków, Budapeszt, Praga, Czarnogóra – wszystko było bliżej niż Kijów.

Ukraińskiego się nie nauczyłem, ale się przyzwyczaiłem. Jak słucham, to już nie odróżniam, który to język. Ale z rosyjskim nie ma tu problemów, wszyscy rozumieją i nikt nie ma pretensji, że mówię po rosyjsku.

Mentalność mieszkańców Zakarpacia jest różnicowana, to jakaś taka mieszkanka różnych narodowości. W porównaniu z Donbasem życie płynie wolniej i spokojniej – jak w Jałcie, gdzie spędziłem dzieciństwo. Może dlatego tak mi się podoba? W Doniecku wszyscy byli punktualni, a tu... no, mniej (*śmiech*). Jak tu się może nie podobać? Jedzenie smaczne, ekologiczne, różnorodne. Wprawdzie morza nie ma, ale są góry, termy i baseny.

Jeśli można byłoby wrócić do Doniecka takiego, jakim był przed wojną, może byśmy to rozważyli. Ale Donieck już jest inny. I najlepsi z niego wyjechali. A tu bezpieczniej, piękna przyroda. I ta inna mentalność... Do pracy – jakiej pracy? Do pracy potem, najpierw trzeba kawki rano popić. Ci, co przyjechali z obwołu donieckiego i ługańskiego, mówią, że tu wszystko dzieje się powoli. A tam – wszystko szybko. No i czym to się tam skończyło? © TADEUSZ IWĄŃSKI



Druga rocznica śmierci 41 dziewcząt z Bezpiecznego Domu im. Wniebowziętej Dziewicy, San José Pinula, Gwatemala, 8 marca 2019 r.

Przerwane dzieciństwo

EWA KLEWAR Z GWATEMALI

Niektórzy uważają, że Gwatemala to najgorsze miejsce do bycia dzieckiem wśród państw obu Ameryk.

GDYBY AMBICJE JEGO TWÓRCÓW MIE-
rzyć imieniem, którym go nazwa-
li, byłyby one rzeczywiście wielkie.
Bezpieczny Dom im. Wniebowziętej
Dziewicy – taką nazwę przyjął ośrodek
dla młodzieży, który w 2010 r. powstał
w San José Pinula, godzinę drogi od sto-
łecznej Gwatemali (stolica nosi taką
samą nazwę jak państwo).

Utworzony przez państwo, z zewnątrz
przypominał zakład karny: otoczony bu-

rym murem ze zwojami drutu kolcza-
stego, z kratami w oknach. Nie zachęcał do
odwiedzin, choć dla młodych Gwatemal-
czyków miał być schronieniem i obietnicą
zmian. Kilka lat później stał się symbolem
dziecięcej samotności w tym 17-miliono-
wym kraju Ameryki Środkowej.

DOM Trafiali tu nieletni – od najmłod-
szych po siedemnastolatków. Dzieci
porzucone przez rodziny, samotnie błą-

kające się po ulicach, czasem w konflik-
cie z prawem. Wśród nich gwałcona
przez ojczyzna dziewczynka, dwunasto-
letnia prostytutka, jedenastoletni chłó-
piec, który zastrzelił mężczyznę. Podzie-
leni byli na pokoje według powodów,
dla których tu trafiali: ofiary handlu
ludźmi, z trudnych rodzin, uzależnione
od narkotyków, członkowie gangów,
uciekinierzy z domów, ofiary znęcania
się i przemocy seksualnej. W Bezpiecz-
nym Domu, pod opieką państwa, mieli
odzyskać spokój i dostać nową szansę na
normalne życie.

O tym, że instytucja nie spełnia swo-
jej funkcji, zaczęto mówić wkrótce po jej
powstaniu, gdy do urzędów trafiły skargi
od wychowanków. W 2013 r. portal Plaza
Pública nazwał ją bombą z opóźnionym
zapłonem – ośrodek był przepełniony,
liczba przyjętych dwukrotnie przekracza-
ła jego możliwości. Brakowało perso-
nelu, wody, łazienek.

W 2016 r. sąd nakazał śledztwo w sprawie licznych ucieczek – z instytucji zniknęło ponad 50 podopiecznych. Pracownicy ośrodka woleli mówić o „porzuceniu procesu”. To nie więzienie, nie można z niego uciec – tłumaczyli. Prokurator ds. praw człowieka złożył w sądzie zawiadomienie o zaginięciu dzieci i podejrzeniach, że w ośrodku mogła operować grupa handlująca ludźmi.

BUNT Na policję, do prokuratury i instytucji odpowiedzialnych za opiekę nad dziećmi regularnie wpływały skargi. Nieletni donosili o przemocy ze strony rówieśników i opiekunów, surowych warunkach, niewystarczającej opiece. Skarżyli się na utrudniony kontakt z rodzinami i ciągnące się formalności, które odwlekały w czasie ich możliwy powrót do domów.

Zgłaszane były przypadki molestowania seksualnego i brutalnych rytuałów, jakim mieszkańcy Bezpiecznego Domu poddawali nowo przybyłych. Starsze dzieci znęcały się nad młodszymi, mieszkańcy powielali przyniesione z zewnątrz schematy przemocy.

Oskarżenia dotyczyły też opiekunów. Według niezależnego portalu Nomada w 2012 r. grupa psychologów pracujących w Bezpiecznym Domu opublikowała list. „Dzieci i młodzież wielokrotnie zgłaszają, że są poddawani przemocy fizycznej, słownej i psychologicznej w formie gróźb, upokarzających wyzisk oraz kar w postaci ćwiczeń ponad siły, ograniczenia posiłków, wysyłania ich na zewnątrz w białiznie o świcie i w czasie deszczu. Znamy też przypadki, gdy pracownicy za karę dopuszczali ataki wychowanków ośrodka na innych” – pisali i skarżyli się, że zgłaszane przypadki nie spotkały się z reakcją władz.

W lutym 2017 r. grupa dziewcząt planuje ucieczkę. Porozumiewają się z chłopcami z sąsiedniego oddziału. Chcą, aby dołączyli do buntu, który planują na 7 marca.

Tego dnia w ośrodku zaczynają się ruchy, młodzi chwytają za kije, kamienie i rurki. Z pokoi przedostają się do części administracyjnej, niszczą meble. Niektórzy wychodzą na dach, skąd rzucają kamieniami. Przez wyłamane okno z budynku wydostaje się 40 osób, ponad setce młodych ludzi udaje się uciec innymi drogami. Na wolności nie pozostają długo – policja ich wyłapuje i przywozi z powro-

tem. Pod ośrodek zjeżdżają przedstawiciele Prokuratury Generalnej i Prokuratury ds. Praw Człowieka. Decyzję, co zrobić z młodymi ludźmi, którzy zdecydowali o „porzuceniu procesu”, ma podjąć sąd. Jest jednak późno i trzeba czekać na kolejny dzień. Do tego czasu młodzi mają być pilnowani przez policję.

OGIEŃ O tym, co stało się później, przeczytać można w raporcie Wysokiego Komisarza ds. Praw Człowieka w Gwatemali. 56 dziewcząt umieszczono w sali o wielkości 50 metrów kwadratowych, bez dostępu do wody i toalety. Jedynie drzwi zamknięto na klucz, który pozostał w rękach podinspektor policji.

Przez noc dziewczyny tłoczyły się na gąbkowych materacach. O świcie domagały się dostępu do toalety. Gdy spotykają się z odmową, spod zamkniętych drzwi płyną strugi moczu. Pilnujący pozostają niewzruszeni. Pomieszczenie otwierają jedynie na moment, by nad ranem podać śniadanie. Ze środka dochodzą skargi na zimno i brak łazienki.

W tej sytuacji ktoś wpada na pomysł, by podpalić materac – być może tak udało się nakłonić opiekunów do otwarcia sali. Gąbka szybko chwyta ogień, duszący dym wypełnia pomieszczenie. Dziewczyny tłuką w drzwi, krzyczą. Z ustaleń prokuratury wynika, że z otwarciem pomieszczenia czekano dziesięć minut. Gdy okazuje się, że gąsienice nie działają, funkcjonariusze próbują gasić pożar wodą noszoną w plastikowych kubkach.

8 marca 2017 r. w Bezpiecznym Domu ginie 41 dziewcząt.

MATKI Z Mayrą Jiménez spotykam się przy kawie w sieciowej restauracji, tuż przy głównym targowisku w centrum miasta Gwatemala.

Dobrze pamięta tamten dzień. Gdy usłyszała pierwsze wiadomości, wraz z koleżanką wsiadła do starego pick-upa i ruszyła na miejsce. Nie wiedziały, czego się spodziewać. Dziś wspomina kolejne karinki i rodziny mieszkających w ośrodku dzieci, które na wieść o rozruchach zbierały się pod bramą, prosząc o informacje. Pamięta pracownicę instytucji mówiącą, że z nikim nie będzie rozmawiać, bo tłum wyprowadza ją z równowagi.

– Matka jednej z dziewczynek, Achley, na wieść o śmierci córki upadła, zwiłała się z bólu. Zrobiono jej nawet zdjęcie. Po-

dobno fotograf dostał za nie jakąś nagrodę – opowiada.

Kolejne dni od tragedii Mayra i grupa towarzyszących jej kobiet spędzają w kostnicy, do której zwożono ciała. Z tamtych dni pamięta tanie trumny, jakie kupił rząd, i kobiety szukające córek. Czas mijał, a wciąż nie było jasne, które z podopiecznych uciekły w trakcie zamieszek, a które spłonęły. Wspomina Anastasię, poproszoną o rozpoznanie, czy przywiezione ze szpitala zwłoki to jej córka. Widząc zwęglone ciało, kobieta zaprzeczyła. Kilka godzin później Mayra odebrała telefon: „Wiem, że to była ona. Powiedziałam im, że nie, bo nie chciałam, żeby to była ona”.

Kobiety często przybywają z daleka, nie potrafią odnaleźć się w mieście, przerażają je formalności. Brakuje im pieniędzy na nocleg i jedzenie. Proszą Mayrę o pomoc. – W tamtym czasie kostnica stała się miejscem zbiórki. Przychodzili ludzie, przynosili nam kawę, ciasto. Inni zostawiali pieniądze. Do dziś mam zeszyt, w którym zapisywałyśmy datki – opowiada.

Tak powstał kolektyw 8 Tijax, do którego należy Mayra. Grupa kobiet wciąż towarzyszy ocalałym z tragedii i rodzinom ofiar w walce o sprawiedliwość. Dziewczeta, które przeżyły, do dziś zmagają się z przeszłością. Mayra: – Niektóre zostały matkami. Myślę, że to dla nich strategia przetrwania. Dzięki temu czują, że ktoś ich potrzebuje, czują się ważne. Świat szybko je osądził. A one szukają czułości, fizycznego kontaktu. Chwytają się czegośkolwiek, wdają się w nieudane relacje.

OCZEKIWANIA Mayra skarży się, że dla dziewczyn, które przeżyły tamten pożar, brakuje wsparcia psychologicznego. – Jedna z nich mieszka przy granicy z Hondurasem. Nie pracuje, nie uczy się. Całe dnie spędza w hamaku. Tylko patrzy przed siebie, o tak. – Kobieta unosi oczy gdzieś w przestrzeń nade mną, zamiera w bezruchu. – Kto jej tam pomoże?

Śledztwo wciąż się toczy, w sprawę włączono 15 osób. Rozprawa dotycząca pierwszej trójki planowana jest na marzec 2022 r.: dyrektorowi ośrodka i dwójce urzędników postawiono zarzuty m.in. nadużycia władzy, niedopełnienia obowiązków i nieumyślnego spowodowania śmierci. – Sąd nie zgodził się na zarzuty morderstwa i tortur, o których postawienie wnosili prawnicy →

→ reprezentujący ofiary – mówi Mayra. – Obawiamy się, że po latach większość odpowiedzialnych dostanie wyroki w zawieszeniu, być może tylko dwójka policjantów skończy w więzieniu – dodaje. – Tak naprawdę nie mamy wielkich nadziei na sprawiedliwość. To raczej będzie farsa.

Mayra milknie, waha się, czy mówić dalej. Wreszcie dodaje: – Co mi tam, i tak już to publicznie powiedziałam: to była zbrodnia popełniona przez państwo.

DZIECIŃSTWO W listopadzie 2021 r. w Gwatemali na nowo rozgorzała dyskusja na temat sytuacji nieletnich. Wywołało ją nagranie z kamery monitoringu przy piekarni w miejscowości Villa Nueva. Na niewyraźnym filmie widać dwie nastolatki. Jedna ma krótkie dżinsowe spodenki i różowy top; druga, niższa, za dużą kraciastą koszulę. Rozglądają się nerwowo, w końcu zbliżają się do siebie w uścisku. Trwają tak kilka sekund. Po chwili na motorze podjeżdża mężczyzna, oddaje kilka strzałów. Dziewczyny giną. Media podnoszą łarum. „Musimy zapewnić dzieciom lepszą przyszłość” – czytam w nagłówkach lokalnych dzienników.

Tymczasem, jak pokazuje raport organizacji Save the Children („Global Childhood Report 2021”), Gwatemala jest najgorszym miejscem do bycia dzieckiem wśród państw obu Ameryk. Ranking porównuje kraje pod względem tego, jak często dzieci są narażone na sytuacje uznawane za kończące dzieciństwo: chroniczne niedożywienie, porzucenie szkoły, przedwczesne wejście w dorosłe role przez podjęcie pracy, małżeństwo lub macierzyństwo; a także – śmierć.

W grudniu 2021 r. prasa znów alarmuje: „Urodzić się w Gwatemali to



EWA KLEWAR

Pyta, skąd te krzyże,
co to ma znaczyć.
To dla dziewczynek spalonych
w Bezpiecznym Domu
– słyszy w odpowiedzi –
**żeby przypomnieć władzy,
że do niczego się nie nadaje.**

nigdy nie urosnąć”. Świeżo opublikowane analizy ONZ pokazują, że wśród krajów Ameryki Łacińskiej właśnie tu dziecięcy wzrost najbardziej odstaje od normy rozwojowej. Siedmioletni Gwatemalczyk mierzy średnio osiem centymetrów mniej, niż powinien. W 2021 r. blisko 43 proc. dzieci nie osiągnęło odpowiedniego dla swojego wieku wzrostu. To ponad dwukrotnie więcej niż w Hondurasie i Salwadorze, krajach sąsiednich i teoretycznie uboższych, o słabszych gospodarkach. Przyczyny zawsze te same: bieda, niedożywienie, nierówności społeczne. Dziś spotęgowane przez pandemię i skutki huraganów Eta i Iota, które w 2020 r. zdewastowały rolnictwo i dotknęły blisko 2,5 mln mieszkańców.

PLAC Gdy w grudniu 2021 r. przechodzę przez stare miasto gwatemalskiej stolicy, na głównym placu, tuż przed Pałacem Kultury, stoi 41 różowych krzyży. Do każdego przypięta jest haftowana chustka z dziewczęcym imieniem i nazwiskiem. Na marmurowej tablicy ustawionej przed tą instalacją napis: „Sprawiedliwość dla dziewczynek z Gwatemali. Pamięci 41 dziewczynek zamordowanych w Bezpiecznym Domu im. Wniebowziętej Dziewicy mianujemy to miejsce PLACEM DZIEWCZĄT Z GWATEMALI. Nie zapomnieliśmy o was. To było państwo”.

Od manifestacji z okazji Międzynarodowego Dnia Przeciw Przemocy Wobec Kobiet minęło kilka dni, ale krzyży nikt nie rusza. Nikt nie usuwa też napisu na płocie, pozostałego po obchodach 200-lecia niepodległości. „Gówniane dwusetlecie” – głoszą duże czarne litery. „Nie ma czego świętować” – czytam obok. Wokół nich zdjęcia „znikniętych”: osób, które przepały bez śladu podczas wojny domowej.

Wśród krzyży i plakatów z zaginionymi krążą uliczni sprzedawcy. Ktoś gotuje kukurydzę, ktoś inny oferuje papierosy na sztuki. Na ławkach przysypiają migranci z Hondurasu i Salwadoru. Stają się przetrwać kolejny dzień.

Przechodzącą przez plac dziewczynę zaczepia starszy mężczyzna. Pyta, skąd te krzyże, co to ma znaczyć. To dla dziewczynek spalonych w Bezpiecznym Domu – słyszy w odpowiedzi – żeby przypomnieć władzy, że do niczego się nie nadaje.

Staruszek tylko smutno kiwa głową.

© EWA KLEWAR

W dniu 15 stycznia 2022 r. odszedł od nas

prof. dr hab. Stanisław Cebula

człowiek niezwykle otwarty i życzliwy,
dobry organizator i wnikliwy naukowiec.

PRZYJACIELE Z POLSKIEGO TOWARZYSTWA NAUK OGRODNICZYCH

POŻEGNANIE

Kapitalizm na nowe czasy

PIOTR BERNARDYN Z TOKIO

Skoro Japończycy już raz okazali się prekursorami w rozwiniętym świecie, to może i dziś wskażą nam kierunek jego dalszego rozwoju?

CO ZROBIĆ, BY DONALD TRUMP ALBO ktoś jego pokroju nie został ponownie prezydentem USA? Otóż młodych ludzi pragnących studiować na Harvardzie należy – po wstępnym odsianiu najsłabszych kandydatów – wybierać losowo. W ten sposób przyszele elity kraju będą mieć poczucie przypadkowości w życiu człowieka i nabiorą pokory wobec większości Amerykanów, którzy nigdy nie ukończą tej uczelni ani żadnych innych kilkuletnich studiów. To bowiem arogancja elit skłania zwykłego obywatela do głosowania na takich populistów jak Trump.

Autorem powyższej propozycji – na pierwszy rzut oka absurdalnej – nie jest jakiś zawistny reprezentant klas niższych lub niedoceniony naukowiec z prowincjonalnej uczelni. Głosi ją Michael Sandel, filozof polityki i profesor tegoż Harvardu. Rocznik 1953, nazywany jest „gwiazdą rocka wśród filozofów”. Jeżdżąc z wykładami po różnych krajach, ma zawsze zapewnione audytorium (czasem nawet na stadionach).

Swoje poglądy Sandel przedstawia ostatnio w książce „The Tyranny of Merit”, bestsellerze wydanym w 2020 r. (dosłownie: „Tyrania zasługi”; tytuł polskiego przekładu to „Tyrania merytokracji”). Jednak rekrutacja na elitarne uczelnie stanowi w tej pracy jedynie wątek poboczny – bo istotą problemu dzisiejszej Ameryki według Sandela ma być brak utożsamienia się elit z większością społeczeństwa, tą gorzej wykształconą i mniej zamożną.



Wicewborczy Donalda Trumpa podczas tournée po miastach tzw. Pasa Rdzy, wyludniających się z powodu kryzysu ekonomicznego i bezrobocia. Geneva, Ohio, październik 2016 r.

JEFF SWENSEN / GETTY IMAGES

Winę za ten stan rzeczy widzi on w wynaturzonej formie merytokracji właśnie (rządach osób wybitnych, utalentowanych), przybierającej cechy gorsze nawet niż kiedyś arystokracja i porządek feudalny.

Szansa dla każdego (zdolnego)

A przecież to właśnie merytokracja miała być lekiem na niesprawiedliwość społeczną, w której przywileje wynikały z urodzenia, a nie z osobistych zasług.

Jeszcze na początku XX w. elitarne uczelnie w USA dopuszczały głównie zamoznych WASP-ów, czyli białych protestantów pochodzenia anglosaskiego, którzy na studia przybywali nierzadko z własną służbą. Kres temu położył ostatecznie SAT – standaryzowany test, wprowadzany od 1926 r.

Wprawdzie bogaci i wpływowi wciąż mają boczną furtkę, by upchnąć pociechy na najlepszych uczelniach (choćby przekazując okazałą darowiznę), ale z założenia miejsce czeka tam na każdego, kto jest zdolny i chce się uczyć. Młody człowiek, który tego dokona, może mieć poczucie, iż sukces zawdzięcza sobie, i że inni – leniwi albo mniej utalentowani – nie powinni

być jego wyrzutem sumienia. Idealna merytokracja powinna zapewnić wszystkim jedynie równość startu, choćby przez stypendia dla dzieci z biednych rodzin.

Taką koncepcję hierarchizacji społecznej niełatwo podważyć – wpisuje się ona w „amerykański sen”, który każdemu oferuje szansę sukcesu.

Co więc poszło nie tak?

Nowe „elity” i „przegrana” większość

Otóż po dekadach jej praktykowania okazuje się, że merytokracja wytworzyła nową arystokrację. Na elitarnych uczelniach dominują dzieci ludzi bogatych, a mit mobilności społecznej – choć w USA wciąż żywy – okazuje się bliższy rzeczywistości w Kanadzie, Danii czy Japonii. Co więcej, dostać się na któryś ze znanych uniwersytetów jest dziś dużo trudniej niż jeszcze w latach 70. XX w. Np. Stanford przyjmował wówczas 20 proc. chętnych, a dziś jest to poniżej 5 procent.

Zamożni rodzice projektują życiorysy swoich dzieci od najmłodszych lat, nie tylko przez wybór szkół, ale i atrakcyjnych (bo punktowanych) sportów czy hobby. Najlepsi *coaches*, przygotowujący



TOMOHIRO OHSUMI / GETTY IMAGES

Winda w biurówcu The Pokemon Company w dniu rozpoczęcia Święta Pikachu.
Yokohama, sierpień 2016 r.

→ prywatnie do testu SAT, biorą tysiąc dolarów za godzinę. Metka ukończenia słynnej uczelni, najlepiej z wysoką lokatą, daje taki prestiż, że popycha niektórych rodziców do korupcji, by umieścić tam dziecko, a innych do koloryzowania własnych studenckich wyników – dotyczy to obecnego i byłego prezydenta USA.

Rzecz w tym, że jakiegokolwiek czteroletnie studia, nawet słabe, kończy tylko jedna trzecia Amerykanów. Reszta może mieć poczucie przegranej już w młodym wieku – poczucie tym bardziej dotkliwe, jeśli da sobie wmówić poczucie winy z racji rzekomej własnej głupoty czy lenistwa. Tymczasem w klasycznym feudalizmie położenie klas niższych wynikało przynajmniej z obowiązującego prawa, a i co bardziej wrażliwą arystokrację za wstydzając mógł jej dziedziczony status.

Problem wyostrzył się za sprawą globalizacji. Tradycyjny przemysł wywędrował z amerykańskiego interioru do Azji. Wielu Amerykanów, zwłaszcza białych mężczyzn, potraciło możliwość utrzymania rodziny na przyzwoitym poziomie. W efekcie narastać zaczęły patologie: samobójstwa, rozwody, spożycie alkoholu i narkotyków, a także środków przeciwbólowych, traktowanych jako panaceum na ból duszy.

To o takich ludziach prezydent Barack Obama mówił, że „sięgają po broń i religię”, Larry Summers zaś – były sekretarz

skarbu, a potem prezydent Harvardu – kwitował, iż globalizacja tylko urealniła wartość ich pracy, „traktowani są więc tak, jak być powinni”.

Michaela Sandela trudno przypisać do prawicy; on sam określa się jako socjaldemokrata. Krytykuje jednak głównie elity Partii Demokratycznej – za, jak twierdzi, opuszczenie zwykłych ludzi, a czasem pogardę wobec nich.

Aby nie szukać daleko: określenie wyborców Trumpa mianem „godnych pożalowania” albo jako tych, dla których „nie ma ratunku”, mogło kosztować Hillary Clinton prezydenturę. O refleksję jednak trudno – w 2018 r., uznając swą porażkę sprzed dwóch lat, Clinton podkreślała zarazem, że to na nią głosują ludzie nowocześni i wykształceni, wytwarzający łącznie dwie trzecie amerykańskiego PKB.

Zapomniana mądrość (praktyczna)

Wiele przykładów i cytatów przytaczanych przez Sandela odnaleźć można także w innym świeżym, bo wydanym w październiku 2021 r. bestsellerze. „The Dying Citizen” („Umierający obywatel”) wyszedł spod pióra Victora Davisa Hansona – wybitnego historyka, dla odmiany konserwatywnego, także z rocznika 1953.

Podobieństw jest więcej: obaj naukowcy wskazują na zanik poczucia dobra wspólnego i cnót obywatelskich

w USA – wartości, których nie uczą elitarne uczelnie. Obaj odróżniają inteligencję od praktycznej mądrości (ang. *wisdom*) – absolwent Harvardu dysponuje zapewne tą pierwszą, jednak może być pozbawiony tej drugiej.

Obaj mówią też „sprawdzam”, pytając o efekty ultramerytokratycznych rządów ostatnich dekad. Np. dlaczego rządzący nie przewidzieli ujemnych stron globalizacji i skutków wojen, w które USA angażowały się na świecie? Dlaczego dopuszczono do kryzysu roku 2008, ratując potem instytucje finansowe i zarobki ich prezesów, a nie zwykłych Amerykanów, którzy stracili oszczędności życia?

Sandel porównuje gabinet Obamy, naznaczony absolwentami Harvardu, do prezydentury Franklina Delano Roosevelta z lat 30. i 40. XX w. Wprawdzie Roosevelt sam ucieleśniał postać WASP-a, ale realizując swój Nowy Ład – w reakcji na ówczesny Wielki Kryzys – otoczył się praktykami z prowincji. Ludźmi zdolnymi, lecz często bez potwierdzonego papierem wykształcenia. Intrygująco prezentował się pod tym względem także brytyjski rząd premiera Clementa Attlee z Partii Pracy, który objął władzę w 1945 r. po Churchillu i zasłynął przeprowadzeniem wielu ważnych reform. W gabinecie premiera Attlee zasiadało aż siedmiu polityków, którzy mieli za sobą doświadczenie bycia górnikami.

Konkluzja: czy zatem również dziś w debacie publicznej nie jest potrzebny większy udział głosu tzw. przeciętnego człowieka?

Apel o trochę szacunku

Ani socjaldemokrata Sandel, ani tym bardziej konserwatysta Hanson nie wysuwają czysto socjalnych postulatów – wskazując jednak, jeśli już, na zbyt niskie ich zdaniem zarobki warstw niższych. Istotę ich wywodu stanowi natomiast apel o szacunek dla tej pracy, która nie wymaga wyższego wykształcenia, w tym pracy fizycznej – apel o uznanie jej niezbędności dla społeczeństwa.

A że jest z tym w Stanach problem, przekonują wyniki badań, gdzie wśród darzonych niechęcią grup społecznych – ludzi otyłych, czarnoskórych, biednych i słabo wykształconych – to ci ostatni plasują się najniżej.

Można spekulować, jaką rolę w zerwaniu więzów wspólnotowych odgrywa postępująca ateizacja (34 proc. Amery-

kanów deklarowało w 2008 r., że religia nie jest ważna w ich życiu; z kolei odsetek osób niezwiązanych z żadną religią szacuje się na ok. 15 proc.), a jaką – z drugiej strony – owa popularna odmiana amerykańskiego protestantyzmu, która dobrobyt materialny, a nawet zdrowie zrównuje z błogosławieństwem Bożym.

Tak czy inaczej, daleko obecnym realiom społecznym do wartości głoszonych przez Martina Luthera Kinga, który przekonywał, że w ostatecznym rozrachunku praca śmieciarza i lekarza są równie ważne, bo bez nich szerzą się choroby.

Znamienne, że książka Michaela Sandela odniosła sukces nie tylko w Stanach, ale także po drugiej stronie Pacyfiku – w Japonii sprzedano 80 tys. jej egzemplarzy.

I to jest właściwy moment, aby się tam przenieść.

Japoński chłopiec do bicia

Przez ponad dwie minione dekady Japonia była dla światowych mediów, zwłaszcza ekonomicznych, ulubionym chłopcem do bicia. Taśmowo punktowano symptomy jej choroby: stagnację, starzenie się społeczeństwa, niechęć do imigracji, protekcyjność handlową, nieefektywny system zatrudnienia, a do tego specyficzny model demokracji dający władzę jednej partii. Schyłek Japonii wydawał się nieunikniony.

Ostatnio jednak, choć w Japonii nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego, głosy te osłabły. Pojawiają się za to opinie rewidujące wcześniejszą krytykę. „Zachodni ekonomiści, ja też, tak krytyczni wobec Japonii około 2000 roku, powinni może udać się do Tokio i złożyć przeprosiny cesarzowi. Nie, że oni [Japończycy] poradzili sobie wzorowo – ale u nas jest dużo gorzej” – tak pisał rok temu Paul Krugman, amerykański ekonomista i noblista.

Swoje zrobiły na pewno skutki wspomnianego kryzysu finansowego, który dopadł Zachód w 2008 r. Niski wzrost gospodarczy w krajach zachodnich stał się odtąd normą, również problemy demograficzne Japonii przestały być wyjątkowe. Teraz mówiono za to, że kraj ten jest prekursorem zjawisk, które prędzej czy później dotkną cały rozwinięty świat.

Równocześnie jednak trudno było nie zauważyć, że na tle kłopotów USA i Europy – takich jak masowa nielegalna imigracja, rosnące różnice majątkowe, terroryzm, a ostatnio fala populizmu i konflik-

W USA żyją dziś dwa społeczeństwa: „wygranych” i „przegranych” na globalizacji.

Tymczasem Japonia
**pozostaje krajem klasy
średniej.**

tów kulturowych – Japonia zachowuje nadzwyczajną wręcz stabilność.

Klasa średnia się broni

Krytyka pod adresem Japonii, płynąca poprzednio z zachodniej zagranicy, opierała się na „zdroworozsądkowych” (jak sądzono, stąd cudzysłów) prawach neoliberalnej ekonomii. Według takiej optyki japońską stagnację mogła zakończyć tylko deregulacja jej gospodarki i większa obecność w kraju zagranicznej konkurencji. Z kolei lekarstwem na starzenie się społeczeństwa miało być skokowe zwiększanie imigracji. Radykalnej zmiany wymagać miała też polityka zatrudnienia w korporacjach (zwłaszcza utrzymywanie personelu bez względu na koniunkturę), a także system wynagrodzeń i awansów promujący staż, a nie umiejętności.

Słowem, Japończykom potrzeba było więcej globalizacji i wolnego rynku.

Powierzchowna analiza danych zdaje się potwierdzać słuszość tych recept. W minionych dekadach Japonia obsuwała się w rankingu PKB liczonego na jednego mieszkańca, a średnie zarobki prawie nie ruszyły tu z miejsca, podczas gdy USA czy Wielka Brytania zanotowały ich wzrost o kilkadziesiąt procent.

Jak zatem tłumaczyć ekspasyjne słowa Krugmana?

Choćby tak, że w tym czasie w Stanach pojawiły się dwa żyjące obok siebie społeczeństwa: „wygranych” i „przegranych” na globalizacji (w efekcie blisko połowa Amerykanów opuszcza ten świat, zostawiając swoim potomkom zgromadzony majątek na poziomie poniżej 10 tys. dolarów). Tymczasem Japonia pozostała krajem zróżnicowanej, ale jednak nadal klasy średniej.

Dane te uzupełnić można jeszcze o fakt, iż stagnację wynagrodzeń kompensował w Japonii brak inflacji, i że kraj ten jest największym wierzycielem amerykańskiego długu oraz jako jeden z nielicznych

na świecie często notuje nadwyżki w handlu z Chinami. A to jest już naprawdę osiągnięcie – dla porównania: deficyt potężnych Niemiec w handlu z Chinami wyniósł w 2020 r. aż 21 mld euro.

Czy zatem ponownego rozważenia nie wymagałoby pytanie, co w dzisiejszej polityce stanowi zdrowy rozsądek, a co dogmat?

Kwestia społecznej stabilności

Japonia podchodzi z dystansem do globalizacji także w sferze rolnictwa i handlu produktami rolnymi. Wychodzono tu z założenia, że całkowite uwolnienie rynku rolnego byłoby, owszem, korzystne dla konsumentów, ale doprowadziłoby do upadku wielu gospodarstw i dalszej depopulacji wsi. Poza tym uzależnianie się od importu żywności grozi przerwaniem jej dostaw w czasie napięć międzynarodowych (doświadczyła tego Wielka Brytania po brexicie).

Owszem, niepisana umowa nakazująca japońskim firmom utrzymanie etatowych pracowników także podczas recesji odbija się na efektywności gospodarki. Ale czy poczucie bycia czymś więcej niż „kosztem pracy” w organizacji nie przekłada się na lojalność do niej, a pośrednio na utrzymanie stabilności społecznej?

Można by też zrezygnować z wielu osób, których praca polega głównie na kłanianiu się w pas przy wejściu do banku, na naciskaniu guzików w windzie albo na wskazywaniu drogi przechodniom. Tylko że ludzie ci wychodzą codziennie do pracy, czując się potrzebną częścią społeczności. Efektywność usług i zarobki są przez to niższe, ale też japońskie bezrobocie nie przekracza zwykle 3 procent.

Imigracja zaś łagodzi napięcia demograficzne, lecz jej niekontrolowany przebieg może skutkować podważeniem poczucia bezpieczeństwa, napięciami społecznymi, a także wzrostem ksenofobii i populizmu, zwłaszcza w homogenicznym społeczeństwie.

Rozpiętości? Tak, ale...

Elementy globalizmu i neoliberalnej ekonomii nie mogły, rzecz jasna, całkiem ominąć Japonii – trzeciej, bądź co bądź, gospodarki świata. Powstało więc np. wiele sklepów z tanimi chińskimi towarami, a udział zatrudnionych na „śmieciówkach” podwoił się od 1990 r. i dziś sięga aż 40 procent. Pamiętać tylko trzeba, że dotyczy to często gospodyń →

→ domowych, którym ze względów podatkowych nie opłaca się przekraczać określonego pułapu dochodu, a także dorabiających emerytów.

Rozpiętości dochodowe jednak istotnie wzrosły – i są dziś na średnim europejskim poziomie (daleko im zatem wciąż do tych w USA). Istotne też, że ogólny majątek Japończyków jest bardzo równomiernie „rozsmarowany” w populacji. Znane z innych miejsc świata porównywanie zasobów będących w posiadaniu najbogatszego „jednego procenta” obywateli w stosunku do reszty ma więc tutaj niewielkie zastosowanie.

To efekt wysokich podatków spadkowych i relatywnie skromnych uposażeń w zarządach słynnych japońskich korporacji. Stanowią one zwykle kilkukrotność przeciętnego wynagrodzenia w danej firmie – podczas gdy w USA potrafią być setki razy wyższe. Japonia ma oczywiście swoich miliarderów, choćby właścicieli dużych przedsiębiorstw, jednak ekspozowanie bogactwa jest tu niemile widziane.

Japońsko-amerykańskie paradoksy

Ktoś powie, że za trwałością modelu japońskiej gospodarki stoi nie tyle poczucie dobra wspólnego, co polityczny interes – chronione sektory gospodarki wspierają przecież partię rządzącą. Jedno wszak nie wyklucza drugiego, bo w efekcie społeczeństwo jest bardziej spójne i mniej w nim resentmentów.

Także pod względem sposobów spędzania wolnego czasu, rozrywki i spożywanego jedzenia Japończycy wydają się dziś dużo bardziej egalitarni niż mieszkańcy USA, gdzie różnice dochodowe utworzyły równoległe światy ludzi korzystających z osobnych hoteli czy restauracji. Victor David Hanson, który pracuje na Uniwersytecie Stanforda, czyli w sercu Doliny Krzemowej, mówi, że jej pracownicy mają często lepsze rozeznanie na temat atrakcji Paryża czy Tokio niż tego, co dzieje się po sąsiedzku, wewnątrz kalifornijskiego interioru.

Paradoks z zestawianiem USA i Japonii polega także na tym, że w czasie, gdy Japończycy opierali się zewnętrznym receptom, Stany nabrały cech kojarzonych wcześniej z Japonią. Mordercza rywalizacja o miejsce na elitarniej uczelni i cały przemysł edukacyjny z tym związany – to są przecież japońskie realia w okresie po II wojnie światowej.

Przez ponad dwie minione dekady Japonia była dla światowych mediów ekonomicznych ulubionym chłopcem do bicia.

Dziś to się zmienia.

Dziś Uniwersytet Tokijski wciąż zachowuje prestiż, ale obsesja, by dostać się właśnie tam, wydaje się mniejsza niż dawniej. Jego absolwenci zasilają często wyższą administrację, za to zdolna, lecz mniej szablonowa młodzież, choćby ze smykałką do biznesu, wybiera inne uczelnie – albo nie studiuje w ogóle. Dla nich guru jest miliarder Yūsaku Maezawa, absolwent liceum, który dorobił się w branży *e-commerce*, a dziś odbywa podróż kosmiczną.

Amerykanie przodują dziś także w innych japońskich „specjalnościach”: więcej pracują od Japończyków i częściej pełnią samobójstwo. Raczej mało wiarygodnie brzmią też proroctwa o schyłku Japonii z perspektywy kraju, w którym od kilku lat spada długość życia.

Program premiera Kishidy

Skoro Japończycy już raz – w latach 90. XX w. (odtąd datował się słaby wzrost gospodarczy, a zjawiska starzenia się społeczeństwa i niskiej dzietności zaczęły się nawet wcześniej) – okazali się swoistymi prekursorami w wysokorozwiniętym świecie, to może wskażą i dziś dalszy kierunek jego rozwoju?

Choćby z tego powodu warto zatrzymać się przy programie „nowego kapitalizmu”, który premier Fumio Kishida zaprezentował podczas *exposé* w grudniu 2021 r. W skrócie chodzi o wzrost gospodarczy i szeroką redystrybucję jego owoców.

I tak, zmniejszanie rozpiętości dochodowych ma wzmocnić więzy społeczne, co zdaniem Kishidy odpowiada japońskiej tradycji. Chce on wręcz wymusić zwiększenie zarobków tych przeciętnie i gorzej uposażonych Japończyków, a szykowana reforma podatków ma dociążyć instytucje finansowe i prawdopodobnie najbogatszych obywateli.

Kołem zamachowym gospodarki mają stać się innowacje i program totalnej di-

gitalizacji kraju. Premier obiecuje, że w ciągu trzech lat cały archipelag japoński zostanie opleciony siecią szybkiego i wydajnego internetu. Koszt przedsięwzięcia szacuje się na 40 mld dolarów, a jego obsługą zajmować mają się ponad 2 mln Japończyków. W efekcie każdy zakątek kraju ma uzyskać możliwość zautomatyzowanej dostawy produktów, także przez drony, zdalnej pracy i edukacji oraz telemedycyny i inteligentnego rolnictwa.

Przy pomocy internetu planowany jest też nowy system opieki nad seniorami, który na bieżąco będzie dbać o ich samopoczucie. Mówi się o robotach pomagających w czynnościach domowych i sanitarnych, zdolnych też do odbycia prostej konwersacji. Jednych taka perspektywa przeraża, dla innych alternatywa w postaci samotnej starości na odludziu jawi się jako gorsza.

Redystrybucja i innowacje

Wśród pierwszych decyzji Kishidy było podniesienie zarobków opiekunom ludzi starych i chorych. Inne sektory gospodarki do zwiększania płac mają zachęcać ulgi podatkowe sięgające 40 procent. Poprzednie rządy otwierały się już stopniowo na imigrację zarobkową, teraz obcokrajowcy łatwiej otrzymają prawo stałego pobytu.

A jakie są szanse powodzenia tego nowego programu?

Z kręgów biznesowych zaczęły dochodzić pomruki o socjalistycznych ciągach premiera, wątpliwości budzi też możliwość wpływania rządu na decyzje płacowe prywatnych firm. Równocześnie jednak kraj dysponuje rezerwuarem pieniędzy na inwestycje.

Są to gigantyczne oszczędności Japończyków. Według szacunków tylko w najbliższej dekadzie odchodząca generacja zostawi po sobie 5 bilionów dolarów, czyli tyle, ile wynosi roczne japońskie PKB. Jeden z pomysłów zakłada zwolnienie z podatku spadkowego, gdy należna kwota zostanie zainwestowana na szczeblu lokalnym, np. w któryś element programu digitalizacji: inteligentny szpital czy dom opieki.

„Nowy kapitalizm” zatem, obok redystrybucji, polegać ma w uproszczeniu na innowacyjnym, umiejętnym zagospodarowaniu negatywnych procesów społecznych: spadku populacji i wyludniania się prowincji. Dodać można tu także popula-

ryzację pracy wśród emerytów, nawet do osiemdziesiątki.

Mniej ambitni, ale szczęśliwi

Pozostaje jeszcze zastanowić się nad popularnością w Japonii wspomnianej na początku „Tyranii merytokracji” Michała Sandela. Pewną rolę gra tu zapewne wyczulenie Japończyków na swój status wewnątrz społeczności, zwłaszcza w sytuacji, kiedy słaby wzrost gospodarczy znacznie utrudnił młodym przekroczenie poziomu życia ich rodziców, podczas gdy wcześniej było to normą. Wobec niższej mobilności społecznej dodatkowego znaczenia nabiera też środowisko pochodzenia człowieka.

Wśród najpopularniejszych słów roku 2021 w Japonii znalazło się „oyagacha”. To zbitka dwóch wyrazów: „rodzice” oraz „automat w salonie gier” (konkretny: taki, z którego wypada kapsuła z maskotką niespodzianką). Sens wyrażenia jest taki, że dziecko nie ma wpływu na swoje pochodzenie, a to, kim są rodzice, najbardziej determinuje jego drogę życiową.

Konstatacja, iż słowo „oyagacha” jest tak popularne, wywołała burzliwą debatę w japońskich mediach, a Takayoshi Doi, profesor z Uniwersytetu Tsukuba, poświęcił zjawisku obszerne badania. Rezultaty okazały się zaskakujące. Niepokoić może, iż młodzi ludzie, dostrzegając bariery społeczne, są dziś dużo mniej ambitni od rodziców i dziadków. Wielu wcześniej rezygnuje z marzeń, a nawet z wysiłku, gdy realistyczny cel wymagałby zbyt wielu wyrzeczeń.

Nie dziwi zatem alarmistyczne opinie części ekspertów, winiących państwo za stworzenie warunków, w których młodzi z biedniejszych rodzin nie realizują swojego potencjału. Frustruje jednak, iż to samo pokolenie wydaje się szczęśliwsze od poprzednich. Pogodzone ze swoim losem, jest zarazem mniej zestresowane, rzadziej łamie prawo i targa się na życie.

■ ■ ■

Czyżby więc Japonia znowu wyprzedziła swój czas? Modne wszak staje się ostatnio hasło mówiące o „feudalizmie

XXI wieku”, z dziedzicznymi rolami społecznymi. O ile jednak gdzie indziej wiąże się to z zanikiem klasy średniej oraz z powszechnością zjawiska prekariatu (gdzie niższymi zarobkom towarzyszy niepewność zatrudnienia), o tyle w Japonii, czując się częścią szerszej zbiorowości, można jeszcze funkcjonować na przyzwoitym poziomie.

Do nowych czasów jak ułł pasuje postać obecnego premiera. Ten syn i wnuk polityka, z rocznika 1957, stanowi, owszem, część współczesnej japońskiej „arystokracji”; ukończył też dobrą prywatną uczelnię. Wcześniej jednak trzy razy z rzędu nie dostał się na Uniwersytet Tokijski.

Sam fakt, że mało kto zwrócił na to uwagę, pokazuje, jak zmieniła się Japonia.

© PIOTR BERNARDYN

Autor mieszka w Japonii, stale współpracuje z „TP”. W 2014 r. wydał książkę „Słońce jeszcze nie wzeszło. Tsunami. Fukushima”. Kolejna jego książka, „Hongkong. Powiedz, że kochasz Chiny”, ukaże się w tym roku.

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Słuchaj i rób, co chcesz!

W cyklu „Tygodnik” na ucho
co tydzień 5 wybranych tekstów
z bieżącego wydania – do odsłuchania
w dowolnym czasie, miejscu
i na dowolnym nośniku.

Pobierz aplikację Audioteki
z GooglePlay lub AppStore
i słuchaj w dostępie dla Klubowiczów
– dla nowych abonentów 14 dni gratis!



audioteka

TOMASZ

Stawiszyński: Niedźwiedź, człowiek, natura



„CÓŻ ZA NIEUBŁAGANA LOGIKA” – MÓWI Akkad, charyzmatyczny kapłan osobliwego gnostyckiego kultu, w którego wizję świata wtajemniczył chwilę wcześniej trójkę młodych ludzi, Piersa, Bruce’a i Sylvie. Potem zapada milczenie.

„Długie milczenie. Bardzo długie milczenie”.

Ta scena rozgrywa się wprawdzie wyłącznie na kartach powieści „Monsieur, albo Księżę Ciemności” autorstwa wielkiego Lawrence’a Durrella, niemniej sformułowanie „nieublagana logika” odnosi się do rzeczywistości pozapowieściowej. A dokładniej do królestwa natury, którego mechanizmy pracują, wedle Durrella, na bazie dwóch fundamentalnych zasad: agresji i prokreacji. Rozległy wykład, który na egipskiej pustyni daje Akkad kandydatom do inicjacji w misteria, precyzyjnie odmalowuje wyuzdane okrucieństwo charakteryzujące poszczególne gatunki owadów i zwierząt. „Modliszka, która pożera swego samca jeszcze w trakcie zapłodnienia, pająk usidlający muchę, żądłówka *Pompilus*, która zakłuwa pająka na śmierć, *Ceceris*, który trzema ciosami swego miecza niszczy metodycznie trzy ośrodki systemu nerwowego bogatka (...)” (przeł. Anna Kołyszko).

Ten bezlitosny wywód przypomina mi się za każdym razem, kiedy czytam albo słyszę o „naturze”, zwłaszcza dzikiej, nieskazanej ludzką ręką, niedotkniętej niszczącą siłą cywilizacji. Niedawno w mediach społecznościowych rozgorzała na ten temat kolejna dyskusja. Pełna – jak większość wirtualnych wymian – wzajemnych oskarżeń i pretensji. Oto jej rdzeń: czy leśnicy powinni byli ratować odnalezionego w okolicach Telesznic w powiecie bieszczadzkim małego niedźwiedzia, najprawdopodobniej porzuconego przez matkę, chorego, słabego i głodnego, a na dodatek tropionego przez wilki? Czy powinni byli przewozić go do Ośrodka Rehabilitacji Zwierząt Chronionych w Przemyślu? Czy też może – jak twierdzi część ekodziałaczy oraz ekspertów i eksper-

tek specjalizujących się w temacie – należało pozostawić go tam, gdzie został znaleziony? I pozwolić mu umrzeć, z głodu i chłodu albo wilczych zębów i pazurów, bo dzika przyroda naprawdę jest dzika i nie wolno ingerować w jej prawa?

Zwolennicy ratowania niedźwiadka zarzucają obrońcom dzikości bezduszość. Obrońcy dzikości zarzucają zwolennikom ratowania „bambizację”, czyli romantyzację niedźwiedzi. Podkreślają także, że wyzwolone spod władzy natury zwierzę na zawsze skazane już będzie na ludzką niewolę, co finalnie oznacza dlań jeszcze większe, bo rozciągnięte w czasie cierpienie. Stawiają również tezę, że człowiek nie powinien w żadnym razie włączać się w dynamikę obowiązującą w dzikim uniwersum, panują tam bowiem w pełni koherentne reguły podtrzymujące stan homeostazy. Być może sprzeczne z naszymi intuicjami moralnymi – zwłaszcza ukształtowanymi przez „bambizm” – ale swoiste i mające własną (nieublaganą) logikę.

Kto ma w tym sporze rację? Nie jestem w stanie tego stwierdzić, to zadanie dla przyrodników. Choć z drugiej strony wśród przyrodników zdania również są podzielone, co może świadczyć o tym, że spór sięga głębiej aniżeli to, co empiryczne. Wydaje mi się w każdym razie, że dystans należy zachować zarówno wobec antropomorfizujących odruchów traktowania niedźwiedzi niczym *homo sapiens*, jak i wobec tej z pozoru realistycznej i trzeźwej opowieści o nienaruszalnej dzikości świata natury.

Gdzie on się bowiem rozpościera – ów dziki świat? Czy dzisiaj nie jest już przypadkiem wyłącznie fantazją albo intelektualnym konstruktem? Ostatecznie niemal każdy ekosystem, a już z pewnością ten, który przenika się z polem ludzkiej aktywności, jest mieszaniną nie-ludzkiej i ludzkiej rzeczywistości. A poza tym, czy posługując się takimi kategoriami nie proklamujemy w istocie radykalnej ontologicznej różnicy pomiędzy człowiekiem i resztą zwierząt? Różnicy, którą skądinąd piewcy dzikości starają się w innych pasmach i obszarach kwestionować, wskazując całkiem zasadnie, że człowiek jest integralną częścią przyrody, nie zaś jakościowym i metafizycznym w niej wyłomem.

No ale jeśli człowiek jest częścią przyrody i miał taką sposobność – dlaczego nie powinien był ratować niedźwiadka? Dlaczego nie powinien przełamywać tej świetnie scharakteryzowanej przez Akkada (nieublaganej) logiki nie-ludzkiego świata, skoro w odniesieniu do siebie – także z etycznych pobudek – skutecznie ją przełamuje? Np. ratując słabo rokujące niemowlęta albo starców – wbrew zbiorowemu interesowi ewolucyjnemu własnego gatunku. Jeśli człowiekowi nie wolno pod żadnym pozorem ratować zwierzęcia od śmierci i cierpienia – to w imię jakich reguł miałby się sam od zadanania zwierzętom śmierci i cierpienia powstrzymywać?

Takie pytania można by mnożyć. Powtórzę: nie rozstrzygam. Zwracam tylko uwagę na nieoczywistości i paradoksy, które w mediach społecznościowych staramy się jak zawsze kompulsywnie sprowadzać do jednego, pozornie oczywistego rozwiązania.

©

OGŁOSZENIE

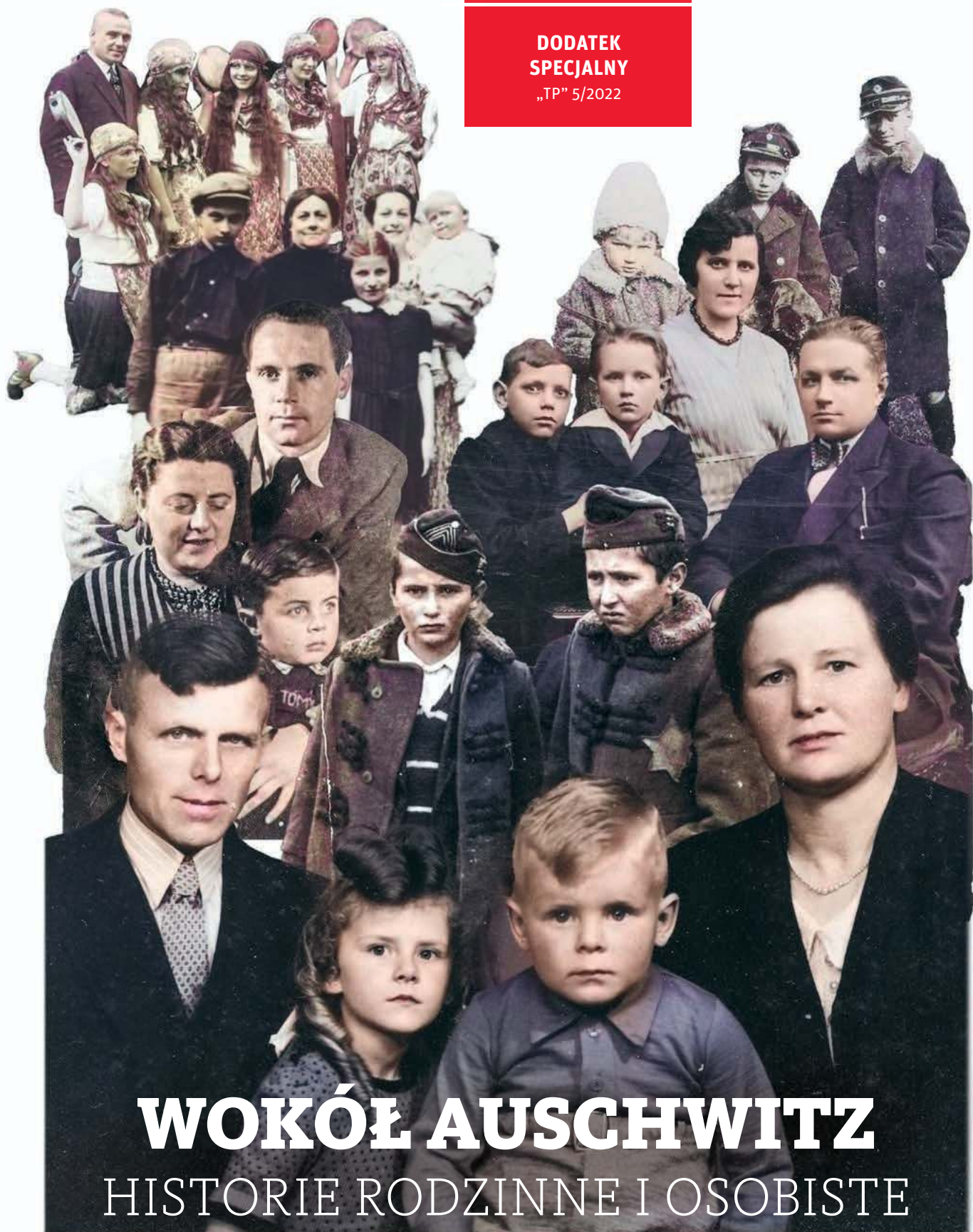
Przed Sądem Rejonowym dla Krakowa-Podgórze w Krakowie, Wydział XII Cywilny, toczy się postępowanie w sprawie o sygn. XII Ns 629/21/P z wniosku Pawła Bartnickiego przy uczestnictwie Skarbu Państwa – Prezydenta Miasta Krakowa o stwierdzenie nabycia spadku po Ignacym Jareckim, s. Mariana i Pelagii, z d. Dudkowskiej, ur. 2 marca 1943 r., zm. 16 lutego 2021 r. w Naples (Stany Zjednoczone, Floryda) i tam ostatnio stale zamieszkałego. Zmarły pozostawił testament oraz majątek w postaci lokalu mieszkalnej przy ul. Myśliwskiej w Krakowie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby zgłosili się w terminie 3 miesięcy i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku. Wzywa się również wszystkie osoby, które mogą udzielić wiadomości o zmarłym, aby w powyższym terminie przekazały je Sądowi.

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

**DODATEK
SPECJALNY**

„TP” 5/2022



WOKÓŁ AUSCHWITZ

HISTORIE RODZINNE I OSOBISTE

„Mamusia nie płakała”

MAREK ZAJĄC

**Najważniejsze było to, żeby trzymać się całą rodziną.
Żeby nikt nie został sam.**

O tym pamiętał i głęboko w to wierzył Eliezer Eisensmidt, gdy 5 grudnia 1942 r. – po miesiącu spędzonym w obozie tranzytowym w Kiełbasinie koło Grodna – wsiadał do wagonu. Drzwi zaryglowano i pociąg ruszył w nieznane. Ludzie byli wyczerpani i spragnieni. Nie dostali nic do picia. Zdesperowani łapali płatki śniegu wpadające przez małe okienka. Spodziewali się najgorszego. A jednak Eliezer był szczęśliwy: obok miał rodziców i dwóch braci. Nie dali się rozdzielić.

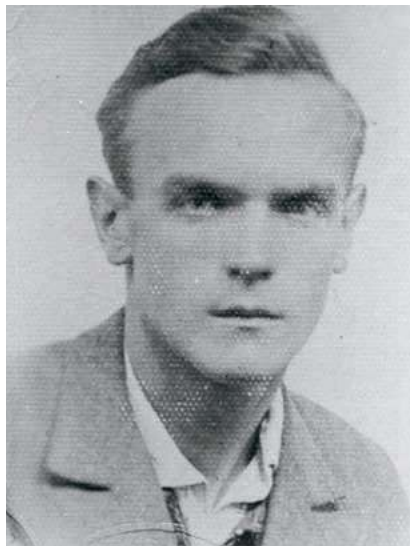
Gdy minęli Białystok, ojciec Eliezera się ożywił: „Widzicie, na pewno przeżyjemy! Jeśli pociąg nie skręcił w lewo, to znaczy, że nie jedziemy do Treblinki”. W tamtych okolicach Żydzi sporo już wiedzieli. Ale nie wszystko. Stary Eisensmidt nie słyszał o Auschwitz. Dotarli tam po trzech dniach.

I

Historia ta – opowiadana po latach przez Eliezera Eisensmida – nie uderza drastycznością. A jednak wiernie i przejmująco odzwierciedla koszmar Zagłady. Mordu na masową skalę tak zaplanowanego i zrealizowanego przez Niemców, żeby nawet sprawy najszlachetniejsze i najpiękniejsze służyły ich zbrodniczym celom. Jak nadzieja i rodzina.

Zwykliśmy powtarzać: nadzieja umiera ostatnia. Jednak w czasach Holokaustu nieugięta wiara, że los w końcu musi odmienić się na lepsze, w istocie gwarantowała sprawcom, że ofiary będą posłuszne ich rozkazom. Do końca wierzyło się nawet w mizerny cień szansy na przeżycie; w każdym wydarzeniu widziało dobry omen albo znak od Opatrzności.

Podobnie było z troską o rodzinę. Wyciszała instynkt samozachowawczy i chłodną ocenę wydarzeń. Człowiek opiekujący się starszymi rodzicami albo niosący na rękę dziecko nie myśli o ucieczce ani o tym, by stawiać opór.



Bernard Świerczyna – w obozie w Auschwitz pisał bajki dla swojego syna Felicjana. Był w ostatniej grupie więźniów, na których w obozie męskim wykonano wyrok śmierci.

Jak Zako Poliker – grecki Żyd z innego transportu, który na całe życie zapamiętał, jak jego dziecko, niemowlę jeszcze, wyciągało „wysuszony języczek i błagało, błagało o wodę. Na próżno. Nie było wody!”.

Ale najgorsze miało dopiero nastąpić. Pociąg dotarł na obozową rampę. Poliker wspominał: „Ludzie pchali się i parli ze wszystkich sił do wyjścia, przerażeni do nieprzytomności. Maleńki Mordechaj był cały czas na moich rękach, omdlały, na wpół martwy. W jednej z tych okropnych chwil, nie wiem kiedy i jak – gdy oszalały z grozy tłum napierał potężnym prądem ku wyjściu – dziecko wysunęło się z mych objęć. Ogromna fala ludzka, tratując pod sobą wszystko, zalała mnie, rodzinę moją – nasze niemowlę – wszystko, wszystko! Więcej nie pojmowałem niczego, niczego. Bez przerwy tylko brzmiał w uszach okropny wrzask Niemców: *Verfluchte Juden, schneller, raus, raus!!!*”.

II

Kolejowa bocznica, położona kilkaset metrów od obozu Auschwitz II Birkenau (i zwana starą rampą żydowską), a także rampa wewnątrz obozu, oddana do użytku w 1944 r., żeby skrócić drogę do komór gazowych i przyspieszyć tempo mordy. Dla tysięcy deportowanych właśnie w tych dwóch miejscach rozegrały się wydarzenia najtragiczniejsze w życiu. Czyli rozdzielenie rodzin.

Piotr M.A. Cywiński tak pisze w monumentalnym opracowaniu „Auschwitz. Monografia człowieka” (wyd. 2021 r.): „W ciągu krótkiego czasu, po wyjściu całych rodzin z wagonów, oddzielano od siebie osoby starsze i młodsze, kobiety z dziećmi od mężczyzn. Dla wielu ta chwila nie zapowiadała jeszcze faktu, że w przytłaczającej większości członkowie rodzin widzą się po raz ostatni. Większość nie zdołała się w żaden sposób pożegnać, dotknąć, spojrzeć w oczy, cokolwiek powiedzieć. Ojcowie z dziećmi, żony z mężami... Ten fakt zaważył w ogromnym, często niedocenianym, stopniu na żydowskim emocjonalnym doświadczeniu obozowym, będzie długo ciążył w pamięci ocalałych z selekcji”.

Ten wymiar traumy trudno pojąć. Na skutek bolesnego braku pożegnania czas nie leczył ran, a żałoba trwała w nieskończoność – zwłaszcza że w przypadku wielu deportowanych Żydów ginęła dosłownie cała reszta rodziny. Nagle osoba, która przeżyła selekcję i trafiła do obozu, była absolutnie sama. Traciła wszystkich i wszystko. Jak Jacques Stroumsa, utalentowany skrzypek i inżynier dzielący młode życie między Grecję i Francję. Po wojnie wspominał: „Wziąłem za rękę moją żonę Norę, która była w ósmym miesiącu ciąży. W drugiej ręce trzymałem moje skrzypce. Gwałtowne uderzenia kazały mi zostawić jedno i drugie”.

III

Ale w zgiełku i przemocy rampy nieodwracalność rozstania można było jedynie przeczuwać. Ostatecznym ciosem była wiedza, z reguły odkrywana w kilka godzin po przybyciu do obozu, co tak naprawdę się wydarzyło. Gdy nastoletnia Hana Pisková z czeskiego Mikulova pytywała o rodziców, od jednego z więźniów usłyszała: „Nie widzisz tego kominu tam, jak z niego się dymi? Tam już się smaży twoja mamusia”.

ARCHIWUM PAŃSTWOWEGO MUZEUM AUSCHWITZ-BIRKENAU

Jedni nie dowierzali – jak węgierski Żyd Mel Mermelstein, który wspominał: „Teraz ta kreatura mówi mi, że wszyscy ci ludzie – kobiety, matki, mali bracia, siostrzyczki – odeszli od nas na swoją śmierć. Nadal mu nie wierzyłem ani nie rozumiałem, ale mogłem zobaczyć kominy, jak potężnie dymiły”. Inni zapadali się w sobie – jak młodzieńca Ester Friedman z transportu z Płaszowa. Po latach mówiła: „Różnie to kobiety przyjmowały, jedne krzyczały, histeryzowały, płakały, dużo po prostu w to nie wierzyło. Uważały, że ci mężczyźni po prostu nas straszą. A co ja czułam? Miałam czternaście i pół roku i nie chciałam umierać, ale nie płakałam. Mamusia też nie płakała. Patrzyła na mnie i głaskała mnie po głowie, nie wiem, co myślała, oczy miała puste, jak umarłe, potem widziałam takie oczy u wielu kobiet”.

Po zagazowanych i spalonych pozostają jedynie stosy rzeczy. Od szczoteczki do zębów po ubrania, buty i walizki. Wszystko skrupulatnie gromadzone w wielkich obozowych magazynach zwanych „Kanadą” (bo kraj ten przed wojną uchodził powszechnie za symbol obfitości i dobrobytu).

I tam właśnie zaczyna się zupełnie inna historia. O tęsknocie za rodziną, która została za drutami.

IV

W pobliżu „Kanady” jeden z więźniów znajduje kolorowe książeczki dla dzieci i przynosi do biur tzw. Zentralbauleitungu, gdzie głównie polscy więźniowie polityczni pracują nad planami architektonicznymi obozu. Doskonale wiedzą, że bajki należały do żydowskich dzieci zamordowanych w komorach gazowych.

Ten wstrząs wywołuje nową falę tęsknoty za rodziną pozostawioną w domu. A skoro nikłe są szanse, że jeszcze zobaczą synów i córki – więźniowie decydują się na czyn zagrożony w obozie śmiercią. Korzystając z materiałów kreslarskich, chcą wydać własne bajki i przesmuglować za druty. Na pamiątkę dla swoich dzieci.

W tajemnicy piszą i tłumaczą, rysują i ilustrują. Henryk Czulda w notatce, którą załączył do „Bajki o przygodach czarnego kurczątka”, tak pisze z myślą o swoim małym Zbysiu: „Tatuś Twój musiał malować te obrazeczki ukradkiem, po kryjomu, jak złodziej, bo gdyby to Niemcy złapali, tatusia Twego spotkałaby sroga kara! Dlatego właśnie mu-



MATERIAŁY PRASOWE PAŃSTWOWEGO MUZEUM AUSCHWITZ-BIRKENAU

W 2010 roku Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau wydało zbiór, na który składają się reprinty bajek powstałych w obozie koncentracyjnym.

sisz mi wybaczyć, Synku mój, że rysunki moje są tak nieudolne”.

Nad bajkami pracuje niemal trzydziestu ludzi. W tajemnicy wydają sześć różnych tytułów – z kolorowymi ilustracjami i kaligrafowanym tekstem. Książeczki trafiają do ich dzieci albo – jako dowód wdzięczności – do rodzin z okolic Oświęcimia, które pomagają więźniom. Nikt nie daje się złapać.

V

Jedną z kluczowych postaci w tym niezwykłym przedsięwzięciu jest Bernard Świerczyna. Jego synek Felicjan urodził się już po aresztowaniu i wywiezieniu ojca do Auschwitz. Bernard nigdy nie widział pierwotnego. Bajkę ukrytą w wyciętych kartkach opasłego tomu przynosi do domu Świerczynów... esesman. Dlaczego to zrobił? Nie wiadomo. Może sam był ojcem.

Świerczynie udaje się też inna niesamowita rzecz. Wykorzystując to, że z brudną bielizną obozową regularnie jeździ do pralni w Bielsku, stara się tak zmienić trasę, żeby przejeżdżać obok rodzinnego mieszkania. Ma jedną szansę na milion. Ale szczęście sprzyja. Pewnego dnia widzi małego Felka. Ciężarówka hamuje. Świerczyna wyskakuje na ulicę i na moment przytula oszołomione dziecko. Ale znowu: na wszystko musiał przymknąć

oko esesman. Ten sam, który przyniósł bajkę? Nie wiadomo.

Jesienią 1944 r. Świerczyna wraz z grupą więźniów postanawia uciec. Mają się ukryć w ciężarówce z brudną bielizną. Ale wtajemniczony esesman zamiast wywieźć ich poza obóz – odstawia wprost do Bloku Śmierci. Ten sam esesman, który przesmuglował bajkę i umożliwił krótkie spotkanie z synkiem? Nie wiadomo.

30 grudnia 1944 r. odbywa się ostatnia egzekucja w obozie męskim. Zanim Świerczyna zawisnie na szubienicy, stara się jeszcze krzyknąć: „Niech żyje Polska!”.

Jego syn Felicjan był zbyt mały, żeby zapamiętać tamto krótkie spotkanie na ulicy. Ale do dziś – mając już ponad 80 lat – dba o pamięć o ojcu, który w przesmuglowanym egzemplarzu wpisał dla synka rymowaną dedykację:

*Z bajki tej dla Cię nauka,
Ze kto tchórzem jest podszyty
I pomocy drugich szuka,
Zawsze szatą będzie kryty
Nędzy i żył bez imienia,
Lub z imieniem – zapomnienia –
Tobie – Felicjanie –
w dniu urodzin Twej Matki
poświęca Ojciec.*

VI

„Ja tu chcę żyć i umrzeć. Nigdzie nie będzie mi tak jak tu” – mówiła Hedwig Höss z domu Hensel, żona komendanta Auschwitz. Mieli pięcioro dzieci. Ich dom z ogrodem, z którego wypędzono polską rodzinę, stał 150 metrów od komina krematorium. Ale ze względu na jego wysokość słodkawy swąd palonych ciał rzadko docierał do Hössów.

Jak wyglądało ich życie rodzinne? Niezwykłym dokumentem jest relacja Janiny Szczurek, która pracowała u Hössów jako krawcowa: „Dzieci Hössa, oprócz najstarszego Klausa, nie robiły krzywdy pracującym tam więźniom. Biegały po ogrodzie, przyglądając się ich pracy. Pewnego razu przyszły do mnie, prosząc, abym uszyła im paski z oznakami, jakie nosili więźniowie. Nie zdałam sobie sprawy, jakie następstwa mogły z tego wyniknąć. Klaus nałożył na rękaw opaskę kapo, pozostałym dzieciom przyszyłam do ubrania kolorowe trójkąty. Zadowolone dzieci, biegając po ogrodzie, napotkały ojca, który pozrywał im oznaczenia i przyprowadził do domu. ➔

⇒ Mnie nie ukarano, tylko zakazano robić mi takich rzeczy”.

W kwietniu 1947 r., oczekując w więzieniu na egzekucję, Rudolf Höss napisał dwa listy pożegnalne: do żony i do dzieci. W tym drugim zwraca się po kolei do każdego z nich, począwszy od najstarszego Klause, i udziela ostatnich życiowych porad. Do dziewczynek, pieszczotliwie nazywanych przez niego Kindi i Puppi, zwraca się tak: „Mimo iż macie zupełnie odmienne charaktery, jednak obie, Ty, mój ukochany urwisie, i Ty, moja kochana gosposiu, macie miękkie, czułe serca. Zachowajcie je w Waszym późniejszym życiu. To jest najważniejsze. Dopiero później to zrozumiecie i będziecie wspominać moje słowa”.

VII

Ojciec Eliezera Eisenschmidta pomylił się i zarazem miał rację. Fakt, że pociąg z transportem z Kiełbasina nie pojechał do Treblinki, faktycznie miał znaczenie. Tam zapewne cała rodzina poszłaby wprost na śmierć, podczas gdy na rampie w Birkenau odbywała się selekcja. Jego młody i silny syn trafił do Sonderkommando. Pod przymusem musiał pracować przy komorach gazowych i palić ciała pomordowanych. Przeżył cudem, uratowany z marszu śmierci przez polską rodzinę Tendrów.

Po wojnie Eliezer spełnił swoje marzenie i zamieszkał w Izraelu. Tam byłego więźnia z Sonderkommando odnalazł historyk Gideon Greif i spisał jego relację.

Gdy pracowali nad nią, Greif zapytał Eliezera o portret młodego mężczyzny wiszący w gościnnym pokoju. To był jego wnuk, który zginął w wypadku samochodowym. Eliezer miał łzy w oczach, gdy mówił: „To było gorsze niż wszystko, co przeżyłem w Auschwitz”.

Trudno nam w to uwierzyć, ale akurat Eliezer Eisenschmidt ma prawo do takich słów. Nigdy nie przestał wierzyć, że rodzina jest najważniejsza.

© MAREK ZAJĄC

Autor jest przewodniczącym Rady Fundacji Auschwitz-Birkenau. Przez 12 lat był sekretarzem Międzynarodowej Rady Oświęcimskiej. Kieruje kanałem Polsat Rodzina.

ARCHIWUM RODZINY RONEN



Chajka Klinger, ok. 1939 r.

„Chaj” znaczy „żywy”

KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET Z TEL AWIWU

**Bojowniczką z będzińskiego getta dostaje zadanie:
masz przeżyć i opowiedzieć w Palestynie o losie Żydów
z okupowanego Zagłębia Dąbrowskiego.
Ale wtedy Chajka nie chce już żyć.**

Avihu Ronen, syn Chajki Klinger, zastanawia się nad pytaniem: – Najżywsze wspomnienie o mojej mamie? Jej złość. O to, że za późno wróciłem do domu. Że, uprzając ogród, wyrwałem wraz z chwastami jej ulubioną roślinę. Przez całe dzieciństwo myślałem, że ona ma wszelkie prawo, by się na mnie gniewać. Bo to ona jest bohaterką.

Avihu ma dziewięć lat, gdy – wyrwany ze środka lekcji w szkole w kibucu HaOgen – dowiaduje się, że mama nie żyje. Jak zginęła? Tego nikt mu nie mówi. Wiele lat później dowie się, że powiesiła się na drzewie w sąsiednim ogrodzie. Był 18 kwietnia 1958 r., przeddzień piętnastej rocznicy powstania w getcie warszawskim.

Rok później kibuc rozpowszechnia ocenioną wersję wojennych wspomnień jego mamy. To właśnie z niej chłopiec dowiaduje się, że była liderką żydowskiego ruchu oporu w rodzinnym Zagłębiu Dąbrowskim. Czyta o walce, o torturach z rąk Gestapo. Rozpiera go duma, gdy słyszy, jak mówią o niej: bohaterka.

To wyjątek, bo sytuacja ocalałych z Zagłady jest w tym okresie w Izraelu niełatwa: społeczeństwo nie okazuje im szacunku.

Avihu Ronen: – Większość dzieci w kibucu nie miała dziadków. Z rodzicami też nie rozwijaliśmy bliskich relacji. Poranki spędzaliśmy w „dziecińcu”, tam też kładliśmy się spać, rodziców odwiedzaliśmy tylko popołudniami. Dziś brzmi to okrutnie, ale dla nas wówczas było to wy-

bawieniem: od przyglądania się skutkom traumy, agresji, od słuchania nocnych jęków, krzyku ocalałych przez sen. Uwierzy mi: dla naszego pokolenia, drugiego po Holokauście, ratunkiem było dzieciństwo z dala od naszych rodziców.

Buntownicza

Chajka, rocznik 1917, od początku żyje na przekór. Jest piątym dzieckiem z biednej chasydzkiej rodziny. Energię skupia na nauce. Gdy zapisuje się do żydowskiego gimnazjum Fürstenberga w Będzinie, z początku nie mówi o tym w domu: gimnazjum jest koedukacyjne, co mogłoby nie spodobać się ojcu. Szkoła szczyti się wysokim poziomem na bazie polskiego programu edukacji i jednocześnie pozwala żydowskim uczniom zachować tradycję narodową. Chajka kończy gimnazjum ze znakomitą znajomością polskiej literatury i historii, a także kultury europejskiej (później znajdzie to odbicie w jej wojennych dziennikach).

Ma poglądy syjonistyczne. Wstępuje do młodzieżowej organizacji Haszomer Hacair (hebr. Młody Strażnik) i się w nią angażuje. Za chwilę zostanie instruktorką i zasiądzie w kierownictwie. „Szomrowie” staną się jej domem, poświęci im wszystko. O tym rodzinnym nie będzie pisać potem prawie wcale.

„A więc tak, to jest wojna. Przypominają się przeczytane książki, Remarque, Hašek, du Gard. Rzeczywistość jest okropniejsza” – zapisuje Chajka we wspomnieniach. Spisze je później, wczesną jesienią 1943 r., w języku polskim, w kryjówce koło Będzina, już po tym, jak Niemcy zlikwidują getta w Zagłębiu.

Gdy wybuchła II wojna światowa, w Będzinie Żydzi stanowią połowę ludności. Jesienią 1939 r. Niemcy anektują Zagłębie do III Rzeszy. Powstaje Judenrat, postępują represje. Ale młodzież z organizacji syjonistycznych nie przestaje się organizować. Także Chajka z energią buduje komórki „szomrow” w będzińskim getcie.

„Pierwsi ze wszystkich organizacji zaczęliśmy pracę na żydowskiej ulicy” – napisze Chajka. „Młodzież była wtedy bardzo opuszczona, zwłaszcza dzieci. (...) Jeżdżą, handlują, szmuglują. O szkole nie ma nawet mowy bez opieki lub nauczycieli. (...) Nie wolno dzieci pozostawiać ulicy ani biegiem wydarzeń. Nie pozwolimy, aby wyrosło pokolenie ignoran-

tów. Nie wolno dzieciom zapomnieć języka hebrajskiego, ale może jeszcze bardziej nie wolno im stać się analfabetami. Nieważne jest, abyśmy tylko przetrwali”.

Żydowska „bańka”

Wiosną 1940 r. w będzińskiej Środułi Chajka organizuje farmę (hachszarę), która dla żydowskiej młodzieży staje się wyspą wolności. Niemcy ją tolerują, bo są przekonani, że to kolejna placówka mająca na celu produktywizację Żydów i w efekcie ich wykorzystanie.

„Zakładamy Koło Samokształceniowe: historia ruchu kibucowego, kwestii żydowskiej, kwestii rolniczych, ale przede wszystkim uczymy się pracować. (...) Musi być jakaś siła na tej farmie, która przyciąga tu młodzież. W mieście głód, smutek, choroby, epidemia, nie widać skrawka nieba. I tylu umundurowanych Niemców” – notuje Chajka.

Jesienią 1940 r. ma 23 lata i jest już jedną z przywódczyni podziemnych żydowskich organizacji młodzieżowych w Zagłębiu.

„Bańka”, którą współtworzy, pozwala też na kontynuowanie ideowych sporów, które przed 1939 r. kwitły między organizacjami syjonistycznej młodzieży. Jeden z nich dotyczy stosunku do Związku Sowieckiego: Haszomer Hacair sympatyzuje z nim ideowo, i choć pakt Hitler–Stalin go zaskakuje, jego członkowie wciąż upatrują w Sowietach, jak pisze Chajka, „genialnej polityki Stalina, że w końcu nastąpi interwencja sowiecka”.

Z tym poglądem nie zgadzają się inne ruchy syjonistyczne. Dyskusja „szomrow” idzie jeszcze dalej: zastanawiają się, czy na wypadek zwycięstwa Sowietów syjonizm w ogóle będzie im potrzebny, czy wciąż będą chcieli jechać do Palestyny, jeśli zwycięży Stalin i rewolucja, w której chcą wziąć udział, przeniesie się na inne tory?

W czerwcu 1941 r. Hitler wypowiada Stalinowi sojusz, a wraz z niemieckim atakiem na Związek Sowiecki zaczyna się kolejny etap represji wobec Żydów. Tu, w okupowanym Zagłębiu, rozchodzą się wieści o kompleksie obozów pod niemiecką nazwą Auschwitz, gdzie zamęcza się na śmierć polskich więźniów. Ci mieszkańcy, których Niemcy zmusili do opuszczenia Oświęcimia, opowiadają o dymiących kominach krematoriów.

Do Będzina przyjeżdża potajemnie z Warszawy Mordechaj Anielewicz (je-

sienią 1942 r. zostanie dowódcą Żydowskiej Organizacji Bojowej) i dzieli się informacjami na temat nadchodzącej Zagłady. Proponuje młodzieży udział w żydowskiej konspiracji. Jego słowa trafiają w Zagłębiu na podatny grunt.

Zostać do końca

Chajka jest oczarowana Anielewiczem: idea walki całkowicie zawładnie jej życiem.

„Nie bronić się chcemy, bo się nie obronimy – ale umrzeć godnie, po ludzku. (...) Żaden ruch rewolucyjny, a tym bardziej młodzieżowy w żadnym okresie nie stanął przed takimi problemami jak my – przed śmiercią. My stanęliśmy oko w oko przed nią i znaleźliśmy na nią odpowiedź. (...) Partyzantka i obrona” – napisze.

Zanotuje: „Stworzono żydowską organizację bojową. Zbudowano ją na wręcz odmiennych zasadach niż organizacje wychowawcze typu Haszomer Hacair, tutaj obowiązywała żelazna, twarda dyscyplina i sprawność wojskowa”.

Rozwój ŻOB w Warszawie wpływa na żydowską konspirację w Zagłębiu: zaczyna ona działać jako filia tej stołecznej. Kontakty obejmują też dostawy broni. „Szeroka propaganda na ulicy żydowskiej, polskiej i niemieckiej. Ukazał się szereg ulotek na drzwiach, na ulicy, w gminie. (...) Warsztaty zaczęły produkować kastety, sztylety (...) powstała gazeta dostarczająca codziennie świeże wiadomości” – pisze Chajka.

W listopadzie 1942 r. grupa zagłębiańskich Żydów dociera do Palestyny (w okolicznościach, które zasługują na osobną opowieść). Przywożą pierwsze wstrząsające świadectwa Zagłady. W lokalnej prasie w Palestynie ukazują się o tym artykuły – są tak szokujące, że wielu nie daje im wiary. Agencja Żydowska (najważniejsza wtedy organizacja syjonistyczna) oficjalnie uznaje te informacje i zaczyna działać na rzecz ratowania Żydów w Europie.

Zimą 1942/43 w Zagłębiu przeważa gorycz. „Nadchodziły do nas listy zza granicy. Pisali nam o »moledet« [hebr. ojczyzna] i jeszcze takie różnice w tym stylu. Śmiało się z tych listów, bo coś nas, dzień w dzień stojących w krwawej walce o nagą egzystencję, to mogło obchodzić? Listy te bolały i śmieszyły zarazem” – pisze Chajka.

Jej organizacja odrzuca ofertę pomocy, która rodzi się w Szwajcarii, a z której →

→ korzystają członkowie innych żydowskich organizacji młodzieżowych: latynoskich paszportów, przygotowywanych przez polskich dyplomatów i współpracujących z nimi działaczy żydowskich. Haszomer Hacair chce zostać i walczyć do końca.

Skazani na życie

W kwietniu 1943 r. w warszawskim getcie wybucha powstanie. Chajka dużo o tym pisze, choć przecież nie jest świadkiem wydarzeń. Jej pamiętniki pokazują jednak, jak ogromny wpływ powstanie wywiera na dalsze jej życie.

Syn Chajki, Aviha Ronen, w swojej książce „Skazana na życie” napisze potem wręcz, że żydowskie powstanie w Warszawie było spełnieniem jej marzeń – tak bardzo utożsamiała się z bojownikami. Razem z kolegami planuje podobne powstanie w Będzinie.

Ale entuzjazm wkrótce opada: Cywia Lubetkin i Icchak Cukierman (członkowie dowództwa ŻOB, którzy przeżyli powstanie w getcie w Warszawie) w liście przemyconym do „szomrów” piszą, że powstanie nie było warte tylu ofiar. Z kolei z Palestyny nadchodzą polecenia: zaprzestać obrony – za to wykorzystać wszelkie możliwości ratowania życia. Członkowie organizacji młodzieżowych mają przeżyć i zawieźć do Palestyny świadectwo o Zagładzie i męskiej walce żydowskiej młodzieży w konspiracji. Chajka stanowczo się temu przeciwstawia.

Haszomer Hacair z Palestyny nalega. Chajka trafia na listę „skazanych na życie”: tych, którzy mają przeżyć i wyjechać. „Chaj [hebr. żywy], ty musisz przeżyć, żeby im wszystko o nas opowiedzieć” – Chajka cytuje w pamiętnikach słowa swojego ukochanego, Dawida Kozłowskiego, z którym jest niemal od początku działalności w Haszomer Hacair.

Jednak ona nie chce jechać. Ma szczęście: grupa, która wówczas wyruszy z Zagłębia, wpadnie w zasadzkę i trafi do Auschwitz.

Chajka i Dawid pobierają się w 1943 r., a wkrótce potem Dawid ginie. Kolejne śmierci rozbijają żydowskie organizacje młodzieżowe. Ostatnie próby ratowania kończą się fiaskiem.

W sierpniu 1943 r. Niemcy zaczynają wywozić Żydów z Będzina i Sosnowca, a młodzież z organizacji podziemnych – Haszomer Hacair i Droru, Gordonii i Hanoar Hacijoni – szykuje się do walki na

wypadek, gdyby ich przygotowane wcześniej schrony zostały odkryte. Mają dwadzieścia rewolwerów, kilkadziesiąt granatów i bomby własnej roboty.

Po walce

Niemcy odkrywają jej schron i ją aresztują. Chajka zostaje poddana przesłuchaniom i torturom. Słyszy wyrok: KL Auschwitz. Jest gotowa na śmierć, a nawet jej ciekawa – i wcale tego nie ukrywa. Jednak los chce inaczej. Chajka spędza w będzińskim tzw. obozie likwidacyjnym dwa tygodnie, po czym znajduje wyrwę w ogrodzeniu i ucieka. Jak dokładnie i co dzieje się później – tego w pamiętnikach nie opisuje; zupełnie tak, jakby życie po walce nie było już ważne.

Wiemy, że po ucieczce z obozu ukrywa się w Małej Dąbrówce (dziś dzielnica Katowic), gdzie zaczyna spisywać wspomnienia. Można odnieść wrażenie, że dopiero teraz zdaje sobie sprawę z ogromu zła, którego doświadczyła. „Widocznie zapomniałam już, co znaczy w normalnym języku życie” – pisze. „Utraciłam wszystko i wszystkich, dla których chciałam żyć (...). Wcześniej mówiłam, chcę żyć, aby móc coś zrobić, aby wziąć udział w walce. A dziś? Kiedy jest już po wszystkim, czemu, marna kreaturo, nie masz odwagi skończyć z sobą?”. Myśl o samobójstwie pojawia się po raz pierwszy.

Żydowskie organizacje przygotowują tymczasem skomplikowany przerzut ocalałych do Palestyny przez Słowację. Chajka wyrusza pod koniec 1943 r. Po paru miesiącach w marcu 1944 r. dociera w końcu do Hajfy.

Wściekłość na swoich

Z Yaacovem Rosenbergiem, członkiem Haszomer Hacair, poznają się podczas przerzutu gdzieś na Słowacji. Zakochują się i wspólnie zamieszkują w kibucu HaOgen. Chajka zachodzi w ciążę, w tym samym czasie przepisuje dziennik. Pojawiają się oznaki choroby. Wtedy jeszcze nie mówi się o zespole stresu pourazowego i depresji poporodowej. Kolejne ciążę przyczyniają się do pogorszenia jej stanu. Chajka raz po raz trafia na leczenie. Dziećmi opiekuje się kibuc.

Avihu Ronen: – Mama bardzo chciała opublikować wspomnienia na swoich warunkach, ale ostatecznie tego nie zrobiła. Ruch syjonistyczny jej w tym nie pomógł. Co jest dziwne, bo w kibucu do-

stała przecież czas na pisanie, kilka tygodni czy miesięcy. Miała to robić zamiast pracy w polu czy kuchni.

Syn Chajki, dziś historyk specjalizujący się w tematyce Holocaustu, przypuszcza, dlaczego tak się stało: syjonistom nie podobano się to, co Chajka pisała w pamiętnikach.

– Wiele książek w Izraelu w latach 50. było cenzurowanych. Partia Mapam, którą mama wspierała, a także ruch kibucowy były lewicowym skrzydłem ruchu syjonistycznego – mówi Ronen. – W tym kontekście to, co pisała w dziennikach, było bardzo kontrowersyjne. Była dla nich zbyt lewicowa. Jest kilka zasadniczych punktów, które w pamiętnikach zostają ocenzone. Zarzuty wielokrotnie rzucane syjonistom w twarz o to, że nie zrobili nic, by pomóc mordowanym w gettach walczącym Żydom. Zeznanie o żydowskim zdrajcy w ŻOB-ie, który wydał Yosefa Kaplana, jednego z liderów, w ręce Gestapo. Prosowieckie przekonania Chajki jako alternatywa dla conceptów syjonistycznych. Wreszcie ostra krytyka Chajki w stosunku do własnego narodu, że szedł na śmierć jak owce na rzeź – wymienia Ronen.

Chajka była też szalenie krytyczna wobec Judenratu w Sosnowcu, szczególnie wobec Mońka Merina, jego szefa. W pamiętnikach opisuje go tak: „były karciarz, kabareciarz, awanturnik, który stawał zawsze wszystko na jedną kartę, a teraz podjął się współpracować z Niemcami”. Chajka opowiadała się za tym, że po wojnie trzeba ludzi z Judenratów osądzić, podobnie jak zdrajców, współpracowników okupanta.

Znamienne, że najwięcej krytyki, która płynie z dzienników Chajki, nie dotyczy Niemców, lecz jej własnego narodu. Złości się na burżuazję, że nie dość dba o opiekę nad ubogimi rodzinami. Żydowskie dziewczęta flirtujące z Niemcami określa jako prostytutki. Bezlitośnie traktuje matki, które na jej oczach oddają dzieci do transportów, aby siebie ratować. Ten gniew niszczy ją od środka.

„Tydzień przed śmiercią posprzątała dom i wyprasowała ubrania, wszystko wskazywało na to, że wychodzi z depresji” – relacjonuje w swojej książce Avihu Ronen.

Gdy widział ją po raz ostatni, powiedział mu, że udaje się znów na leczenie do szpitala, i dlatego chciałaby się poze-



Spotkanie na farmie. Chajka siedzi w środku. Po jej lewej stronie Baruch Gaptak, dowódca Żydowskiej Organizacji Bojowej w Będzinie. 1941 r.



Na ulicy w getcie w Będzinie, prawdopodobnie rok 1943. Getto istniało tam od maja 1942 r. do 1 sierpnia 1943 r.

gnać przed wyjazdem. Tej nocy się powiesiła.

Avihu pisze o mamie

Raya Ronen, żona Avihu: – W roku 2008 nasz syn, wówczas student, przypadkowo znalazł książkę Chajki w antykwariacie. Wraz z córką przybiegli do nas oburzeni, pytając, dlaczego nigdy nie poznali szczegółów tej historii.

Avihu: – Nasze dzieci zadawały wiele pytań, więc napomknąłem, że pisałem już o tym kiedyś w moim doktoracie. I tak całą rodziną wróciliśmy do tematu. Żona przepisała dla mnie pierwsze rozdziały maszynopisu Chajki na kompute-

rze, a ja zabrałem się za ponowne badania i pisanie książki, rezygnując tym samym z kariery profesorskiej w pierwotnym temacie. Całkowicie skupiłem się na Chajce.

W swojej książce „Skazana na życie” Avihu wplata pamiętniki Chajki w gruntowną analizę materiału historycznego. Wnikliwie opisuje to, co jako historyka interesuje go najbardziej: żydowskie ruchy młodzieżowe w okupowanym Zagłębiu podczas Holokaustu. Ale nie stroni od własnych przemyśleń i emocji. Dzięki temu ponad tysiącstronicową książkę czyta się jak dobrze napisaną biografię.

Ronen nie poddaje się jednak tklivości: praca nad książką nie jest dla niego procesem terapeutycznym. Ten ma już za sobą. – Mnie to już wtedy nie bolało – wspomina dziś. – Natomiast dla świadków historii, dla znajomych mojej mamy, do których jeździłem z prośbą o wypowiedzi, te spotkania były szalenie bolesne. Nieraz zadawałem sobie pytanie, czy mam prawo prosić ich o te spotkania, wiedząc, że zapłacą za to bezsennymi nocami.

Dwie wersje

Dlaczego nie opublikował po prostu pamiętników mamy? Od śmierci Chajki ich pełne teksty przechowuje archiwum ruchu kibucowego Givat Haviva.

Avihu Ronen: – Był z nimi problem natury redakcyjnej. Chajka samodzielnie opracowała dwie wersje: pierwszą, spisaną podczas ukrywania się w Polsce w 1943 r. Oraz drugą, spisaną w 1944 r. w kibucu HaOgen, która była obszerniejsza, bogatsza w refleksje i konkluzje, ale pozostała niedokończona. Którą z nich miałem opublikować? Tekst, który ukazał się po jej śmierci, został ocenizowany. Redaktor, w obliczu różnych wersji, zrobił ich kombinację. Jako historyk mam do niego sporo zarzutów: jak tego dokonał, dlaczego nie zapisał źródeł, nie zaznaczył swoich komentarzy, nie wyjaśnił, co wyrzucił, a co włączył i dlaczego. Z tych wszystkich powodów postanowiłem przygotować własną książkę i wpleść w nią pamiętniki.

Książka „Skazana na życie. Dzienniki i życie Chajki Klinger” ukazała się w Izraelu w 2011 r. Otrzymała międzynarodową nagrodę dla literatury zajmującej się tematyką Holokaustu, przyznaną przez instytut Yad Vashem. W 2021 r. została wydana w Polsce nakładem Żydowskiego Instytutu Historycznego i staraniem Instytutu Pamięi Narodowej.

Avihu Ronen: – Sądzę, że gdyby mama zobaczyła książkę ze swoim zdjęciem i nazwiskiem na wystawie księgarni w Warszawie, najpierw wymierzyłaby mi policzek. Co to za nonsensy o chorobie psychicznej, kogo to interesuje? Meritum to przecież walka, powstanie! – tak krzyczałaby pewnie. Ale myślę, że potem wzięłaby ją do ręki, dumna i zadowolona. Po ponad 60 latach spełniło się jej marzenie: jej wspomnienia, we wszystkich swoich odcieniach, zostały wydane.

©© KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET

Po tęczowym moście

MAŁGORZATA WRYK

**Gdy napięcie opada, Edward puszcza rękę Wandy.
Ona rozprostowuje zbieleiałe od ucisku dłonie.
Na palcu ledwo się trzyma pierścioneł: nie wytrzymał tego ciśnienia, pękł.**

Prędko, prawie biegiem, trzeba się spieszyć, żeby jeszcze zdążyć przed godziną milicyjną! A przecież z Górczyna na Wildę to kawał drogi, prawie pół miasta, no a Poznań wcale nie jest taki mały.

Jest koniec maja 1945 r., świeżo po wojnie, komunikacja ledwo co działa, więc lepiej liczyć na własne nogi. I tak też właśnie robi mój ojciec. Bo to on tak pędzi ulicami Poznania. Przed pół godziną dotarła do niego elektryzująca wiadomość: Wanda wróciła! Wanda wróciła z obozu, z Oświęcimia... I ojciec musi ją jeszcze dzisiaj zobaczyć.

Jeszcze tylko przebiegnie most Dworcowy i już jest na Rynku Wildeckim, już wspina się na drugie piętro starej kamienicy. Ma 33 lata, zasapał się... Jeszcze nie doszedł do siebie po okrucieństwach wojny (okupacja, konspiracja, powstanie warszawskie).

Na drzwiach mosiężna ciężka kołatka w formie pasczy lwa. Uderza nią kilkakrotnie. Ale i tak bardziej niż głuchy dźwięk, który ona wydaje, słyszy swoje serce, walące jak w studni, z wysiłku i emocji.

Mama Wandy, czyli moja babcia Weronika, otwiera drzwi. Przypomina sobie tego, nie tak młodego już kawalera imieniem Edward. Zaprasza go do środka, ruchem ręki pokazuje drzwi pokoju, gdzie jest Wanda.

Edward zaraz zapuka do jej drzwi.

„Wundzik” i „Hulajnoga”. Pięć lat wcześniej

Jest zima 1940 r. Wanda, pseudonim „Wundzik”, zbiega kamiennymi schodami do piwnic Banku Rolnego. Nie chce się spóźnić na konspiracyjną zbiórkę Akademickiego Koła Harcerskiego. Ma 19 lat, ale już od dziesięciu udziela się w harcerstwie. Teraz, od wybuchu II wojny światowej, w okupowanym Poznaniu – jesienią 1939 r. włączonym do



Wanda i Edward Serwańscy,
zdjęcie ślubne. Poznań, 8 grudnia 1945 r.

III Rzeszy – należy do Szarych Szeregów, bierze udział w tajnym nauczaniu oraz w akcji opieki społecznej, pomaga organizować imprezy kulturalne, kończy kurs sanitarny.

Cieszy się na wieczorne spotkanie. Dzisiaj AKH spotyka się w celach samokształceniowych. To znaczy, że będą wykłady, prelekcje, ale potem pewnie jakiś skromny koncert, może krótkie przedstawienie teatralne, piosenki harcerskie, no i trochę żartów i krotoczwili. Przecież oni, chociaż działają w konspiracyjnym podziemiu, są młodzi, chcą się bawić...

„»Wundzik«, poczekaj!” – tuż przed drzwiami dogania ją koleżanka z drużyny. „Świetnie, że jesteś, dzisiaj będzie druż Edek, pseudo »Hulajnoga«, jeszcze go nie znasz, prawda? To dusza naszego hufca, zobaczysz, jest w dechę, organizuje wspaniałe zbiórki, ma poczucie humoru, a jakie świetne kalambury pisze!”.

„»Hulajnoga«, co za dziwny pseudonim”, myśli sobie Wanda. „I do tego te kalambury. To musi być niepoważny czło-

wiek, a przecież jest już harcmistrzem”, dziwi się w duchu.

Kalambury okazują się naprawdę dowcipne, a druż Edek rzeczywiście lubiany przez całą harcerską ferajnę. „Wundzik” przygląda mu się ciekawie. Nie jest przystojny, ale ma niezwykły urok. Jest szarmancki w obęściu z dziewczętami, żartobliwy, ale gdy przemawia, brzmi poważnie i ma posłuch. Jest prawie 10 lat starszy od Wandy i trochę przypomina jej braci – wszyscy trzej od dawna są dorośli i wyprowadzili się z domu, teraz są na wojnie. Ojca Wanda nie pamięta, miała dwa lata, kiedy zmarł na zapalenie płuc w 1922 r. (wielka szkoda, że doktor Fleming jeszcze nie odkrył penicyliny).

„Wundzik” ma wrażenie, że „Hulajnoga” spogląda na nią z sympatią i zainteresowaniem. Ale może jej się tylko tak wydaje? Skąd ma wiedzieć, że jest śliczną i pełną wdzięku dziewczyną o ujmującym uśmiechu? Na pewno nie od matki – dostała od niej surowe, klasyczne, wielkopolskie wychowanie. Tu się dzieci nie rozpieszczą, tu warunki życia są skromne i także ludzi względem życia wymagania. Tu się pracuje i żyje przyzwoicie, ale też i godnie.

„Stwórzmy przyjacielskie koło, zaśpiewajmy pieśń wesołą” – jak zawsze na koniec zbiórki harcerze biorą się za ręce i odśpiewują swoje skautowskie „dobranoc”. „Ciemno już, ciemno już, Bóg jest tuż” – czy to nie przypadek, że „Hulajnoga” stoi w tym braterskim kręgu przy niej, przy „Wundziku”, i potrząsa delikatnie, na do widzenia, jej ręką?

Pierścioneł pękł

„Halt, Ausweis bitte!” – Wanda i Edward stają jak wryci.

Wartownik niemiecki wyrasta tuż przed nimi, w wieczornym mroku, jak spod ziemi. Spacerowali, trzymając się za ręce, zaabsorbowani sobą. Nie za-

uważali, że weszli na teren niemiecki. Znają się już prawie rok – oboje, oprócz konspiracji harcerskiej (Szare Szeregi), działają w Armii Krajowej. Edward jest emisariuszem Biura Zachodniego Delegatury Rządu na Kraj (to cywilna struktura Polskiego Państwa Podziemnego), a Wanda jest jego łączniczką. Na co dzień Wanda pracuje w kiosku z gazetami na Dworcu Głównym w Poznaniu i prowadzi tam punkt kontaktowy.

Teraz stoją przed niemieckim wartownikiem, Edward ma w teczce konspiracyjne papiery. Żołnierz w skupieniu przegląda ich dokumenty, przyświeca sobie latarką, zastanawia się przez chwilę. Złamali prawo, musi ich aresztować. Edward prosi, wręcz błaga żołnierza piękną nienaganną Niemczyzną, że jeśli już tak ma być, to żeby zabrać jego, ale *Fräulein*, panienkę, puścić wolno. Wartownik jest młody, waha się przez chwilę, wreszcie daje się przekonać, że to zakochana para. Macha ręką, niech idą.

Pierwsze napięcie opada. Edward puszcza rękę Wandy. Ta rozprostowuje zeszytwniałe, aż zbielałe od ucisku dłonie. Na palcu ledwo się trzyma cieniutki pierścionek – nie wytrzymał tego ciśnienia, pękł.

Wsypa

Przedpołudnie 5 czerwca 1943 r. na Dworcu Głównym w Poznaniu jest spokojne. Niedużo pasażerów, więc i kupujących gazety w kiosku, w holu, też niewielu.

Tym większe jest zaskoczenie Wandy, kiedy nagle do okienka w kiosku podchodzi równocześnie dwóch mężczyzn ubranych po cywilnemu. Słyszy: „*Fräulein Wanda, kommen Sie mit!*”. Obaj jak na komendę odsłaniają klapy marynarki, okazując znaczki Gestapo.

Wanda wiedziała wprawdzie, że już od dwóch miesięcy jest jakiś konspiracyjny niepokój w Wielkopolsce, że Niemcy węszą. Ale nikt nie przypuszczał, że dojdzie do tak wielkiej wsypy. Jednak to dzieje się naprawdę: dramatyczna w skutkach wpadka środowiska harcerskiego w Wielkopolsce rozkręca się właśnie dzisiaj i potrwa jeszcze kilka miesięcy. Pociąganie za sobą dekonspirację, aresztowania i wywózki do obozów koncentracyjnych.



„Wundzik”, Wanda Serwańska, z domu Krawiecówna (1921-2002), harcerka Szarych Szeregów, łączniczka AK, więźniarka Auschwitz, po wojnie dyrektor naczelna Redakcji Wydawnictw Naukowych Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Fotografia z okresu okupacji, przed aresztowaniem przez Niemców.



„Hulajnoga”, Edward Serwański (1912-2000), profesor w Instytucie Zachodnim w Poznaniu, historyk okresu okupacji niemieckiej w Polsce, autor licznych monografi na temat konspiracji w Wielkopolsce, uczestnik powstania warszawskiego, represjonowany przez władze komunistyczne. Współautor jednej z pierwszych prac na temat powstania warszawskiego pt. „Zbrodnia niemiecka w Warszawie 1944 r.”, (Poznań 1946). Fotografia z okresu okupacji.

Gestapowcy robią rewizję w kiosku ruchu, nie znajdują nic podejrzanego. Ale i tak aresztują Wandę i przewożą na przesłuchanie do siedziby Gestapo, które znajduje się w przedwojennym Domu Żołnierza, w centrum Poznania.

Już potem, po wyroku, przez kolejne dwa lata Wanda będzie kolejno więźniarką trzech obozów: Fortu VII w Poznaniu (pierwszego obozu koncentracyjnego na ziemiach polskich), Żabikowa (obozu karno-śledczego) i na koniec KL Auschwitz.

Edward także jest zdekonspirowany, ale udaje mu się zbiec. Gestapo rozsyła za nim listy gończe. W jego rodzinnym mieście, Ostrowie Wielkopolskim, zostają aresztowani jego siostra i szwagier, Zofia i Alfons. Zofię zsyłają do Auschwitz, Alfonsa do Mauthausen.

Obóz

Barak obozowy w Auschwitz. Wanda i Zosia są w tym samym rewirze. Zdarza się, że śpią na jednej pryczy, ale jedna o drugiej wie bardzo niewiele. Zosia tylko tyle, że Wanda siedzi w obozie za Szare Szeregi i że zna jej brata Edka. Wanda z kolei wie, że Zosia jest siostrą „Hulajnogi”. To wszystko.

O bliższej znajomości z Edwardem Wanda nie wspomina, nie są to czasy, w których ludzie są wylewni, ale nie tylko ze względu na wojnę i konspirację. Ludzie z tamtego pokolenia, sprzed prawie 80 lat, inaczej postrzegają dyskrekcję w sprawach prywatnych. Wtedy się nie rozpowiadało osobistych historii, szanowało się prawo do ekskluzywności uczuć.

Zosia nie może się więc nadziwić, kiedy w paczce, którą pewnego dnia otrzymuje z domu, znajduje bukietik zasuszonych kwiatków. Wtedy dopiero zaczyna się domyślać, co łączy jej brata z Wandą – i dla kogo ten bukietik.

Powrót

Koniec maja 1945 r. Dwa dni temu Wanda wróciła do domu, do Poznania.

Słyszy pukanie do drzwi. Domyśla się, czyje to szybkie kroki słyszała przed chwilą na korytarzu i czyj głos w krótkiej rozmowie z jej matką. Edward, ciągle jeszcze zadyszany, ➔



ARCHIWUM RODZINNE

Wanda Serwańska z synem Maciejem
– na przedramieniu widoczny numer
obozowy. Poznań, 5 lipca 1947 r.

→ zmoczony wiosennym deszczem, staje w drzwiach. Jest jakby onieśmieszony, porażony i oczarowany równocześnie widokiem Wandy. „Wróciłaś!” – w jego głosie brzmi zachwyt pomieszany z radością, może też niedowierzanie?

Wanda stoi wyprostowana, jej szczupła sylwetka odbija się w balkonowej szybie, opiera się prawą ręką o stary orzechowy kredens, jakby pozowała do zdjęcia. „A tak, wróciłam...” – jej głos brzmi przekornie, jakby zuchwale, spojrzenie jest zawadiackie, jak gdyby chciała powiedzieć: „A bo co!”. Przecież nie są nawet narzeczeństwem. Ale w kącikach jej ust czai się radość, czarne oczy nie mogą dłużej ukryć uśmiechu.

Po wojnie

Gdy parę miesięcy później moi przyszli rodzice, Wanda i Edward, wiążą swoje życie, czy mogą przypuszczać, że dopiero co zakończona okrutna wojna wcale nie jest końcem dramatów – ich oraz innych ludzi? Że z jednego totalitaryzmu, faszystowskiego, wpadają właśnie w drugi, tak samo nieludzki, komunistyczny? Że moja mama, świadek pędzenia ludzi do komór gazowych na strasliwą śmierć w Auschwitz, oraz mój ojciec, uczest-

nik powstania warszawskiego i dokumentalista barbarzyńskich mordów dokonywanych przez cywilizowany naród niemiecki na bezbronnej ludności w trakcie powstania, będą jeszcze raz przechodzić przez piekło ludzkiego, tragicznego w skutkach, zagubienia się?

Czy po tej wojennej apokalipsie człowiek nie powinien wzrastać ku człowieczeństwu, ku dobru, zamiast nurzać się w otchłani zła? Czy takiego krwawego doświadczenia jest nam, ludziom, za mało? Czy mój ojciec mógł przewidzieć, że w swoim własnym kraju wpadnie w ręce bestialskiej bezpieki, gdzie Polak będzie skazywał Polaka za to, że walczył o wolny kraj?

A przecież oni, akowcy, powstańcy, po zwycięskiej wojnie „alejami z paradą mieli iść defiladą”. Tymczasem zamiast zaszczytów i szacunku czekają ich, pozbawionych czci i godności, ubeckie katownie, bandyckie sądy i śmierć lub więzienie. A tych, co przeżyli to piekło, bezlitosna bezpieka jeszcze długie lata poddaje najprzeróżniejszym formom represji: zatrzymań, aresztowań, inwigilacji, szantaży, zastraszania, nękania.

Tęcza

Ojciec pierwszy odchodzi na wieczną wartę, jeszcze zdążył się nacieszyć wolną Polską. Kiedy na pożegnanie łopoczą mu harcierskie proporce i przycicha hymn skautowski „Wszystko, co nasze, Polsce oddamy”, mam wrażenie, że deszcz padający od rana przestaje siąpić. Zerkam w niebo. Tak, nie mylę się: nad junikowskim lasem rozciąga się wielobarwny łuk. „Po tęczowym moście, / Aniołowie noście / Serce moje do jej nóg” (z wiersza Lucjana Rydla „Od Krakowa czarny las”).

Mocniej ściskam ramię mamy.

© MAŁGORZATA WRYK

MAŁGORZATA WRYK (ur. 1954), córka Wandy i Edwarda, wykładowczyni rosyjskiego i angielskiego, tłumaczka literatury rosyjskiej, dziś na emeryturze. Przygotowuje wspomnienia pod roboczym tytułem „Dwa totalitaryzmy. Z historii jednej rodziny”, których powyższy tekst jest nieopublikowanym jeszcze nigdzie fragmentem.

Istota rzeczy

KAROLINA SULEJ, AUTORKA KSIĄŻEK
O PRZEDMIOTACH OSOBISTYCH
WIĘŹNIÓW OBOZÓW:

**Opowiadamy o sobie
każdego dnia nie
tylko słowami, ale też
przedmiotami.
Styl życia to my.**

BARTEK DOBROCH: Czy nadal na informację, że jesteś autorką książek o ubraniach w Auschwitz, ludzie reagują zdziwieniem?

KAROLINA SULEJ: Tak, gdyż moda uważana jest powszechnie za dziedzinę błahą, rodzaj dekoracji, a temat antropologii odzieży, jej znaczenia w codziennym życiu, jest lekceważony. Od początku pracy reporterskiej i akademickiej staram się zajmować ubraniem w kontekście społecznym, tożsamościowym, egzystencjalnym.

Ubranie jest materialne, ma fakturę, kolor, jest fizyczną granicą między naszym ciałem i światem. Jednocześnie jest też symboliczne – wystawione na ocenę, interpretację. Komunikuje o naszej płci, klasie i miejscu w hierarchii społecznej. Może nas uczynić bezbronnymi wobec innych albo też ochraniać. Można przez modę docierać do jednostkowej biografii, jak i analizować systemy społeczne. Moda pokazuje, jak się ludzi wyróżnia lub stygmatyzuje. Za pomocą tej soczewki można zobaczyć, jak łatwo jest wyposażać człowieka w pewność siebie, która pozwoli mu zabić, i jak łatwo jest też drugiego człowieka zdehumanizować i upokorzyć.

Pojęcie „moda w Auschwitz” brzmi jednak nieco prowokacyjnie, choć to tytuł wspomnień byłej więźniarki.

Bo uważamy, że w Auschwitz była tylko śmierć. A było tam też życie. Zanim dotarłam do pracy Marii Jezierskiej, badałam rolę ubrań, m.in. w powstaniu warszawskim i w gettach. Przyznaję, że ich znaczenie w obozach zagłady i koncentracyjnych także dla mnie było przez wiele lat tematem tabu. W stereotypowym postrzeganiu trudno bowiem o dwa



Kobieta na ulicy warszawskiego getta. Warszawa 1941 r.

Po prawej: zdjęcie zrobione przez koleżankę Ireny Pełki (na zdjęciu) podczas pracy w polu na zewnątrz obozu. Irena Pełka: „Stoję tam właśnie taka, dziewczyna w pasiaku, z warkoczami, w polu buraczanym, z kawałkiem chleba czy czegoś innego w ręku, jedząca. Spokojna”. Majdanek, 1943 r.

bardziej przeciwległe bieguny opowieści o człowieczeństwie niż moda, kojarzona z czymś naddatkowym, z ekscysem, oraz ten moment w historii nowoczesnej, gdy ludzie byli całkowicie pozbawieni prawa do godnego życia i śmierci. Nie mogłam jednak przestać myśleć o tym, że wszyscy ludzie, którzy trafili do obozów, mieli na sobie ubrania. W popularnym dyskursie jedyna informacja o odzieży w obozie brzmi: pasiak. Stał się on wizualnym symbolem obozowych losów. Jest obecny w materiałach informacyjnych muzeów, w książkach. Przejrzałam naukowe i reporterskie publikacje, szukając, czy ktoś powiedział o pasiaku i ubraniach w obozach coś więcej...

...i znalazłaś jedną naukowczynię w Osnabrück.

Profesor Bärbel Schmidt zajmowała się tematem z chirurgiczną precyzją. Jako pierwsza policzyła, ile jest pasiaków w Muzeum Auschwitz-Birkenau, skatalogowała je. Po wojnie z obozowych magazynów – piszę o Majdanku, ale to powtarzało się w innych byłych obozach – wiele

ubrań zabierano i trafiały one do ludzi, którzy w wojennej zawierusze wszystko stracili. Te zaś ubrania, które zachowano w muzeach, nie były traktowane jako istotny zasób, tak jak buty, walizki czy inne przedmioty więźniów. To paradoksalne, przecież poprzez soczewkę ubrań widać przemoc psychologiczną stosowaną przez nazistów, zróżnicowanie obozów i losów więźniów.

Zanim sięgnęłam po Twoją książkę „Rzeczy osobiste”, myślałam o pasiakach jako o ubiorze jednolitym i powtarzalnym.

Popularny obraz obozu to grupa ludzi na apelu, wszyscy w pasiakach. Nie zadajemy pytań, co to w ogóle jest pasiak? Z czego była przędza? Kto pasiaki produkował? W jakiej ilości? Czy wszędzie były takie same? Jednakowe dla kobiet i mężczyzn? Odpowiedzi były w archiwach, ale nie przedostały się do obiegu wiedzy.

Zacznijmy od kwestii, czym w ogóle są paski na ubraniu.

Nie można powiedzieć, czym były te w latach 40. XX w., jeśli nie poznamy ich znaczenia w średniowieczu. W modzie przez wieki dzieliły się na te, powiedzmy, opiekuńcze dla ciała: bielizniane, sportowe, pościelowe, oraz na opresyjne – związane z izolowaniem, stygmatyzowaniem jednostek. Historii nie da się opowiedzieć bez dziejów mody, która jest widomym znakiem naszej tożsamości, a także, jak pisze Maria Jezierska, prawem człowieka. Jej praca uświadomiła mi, że nie tylko można używać słowa „moda” w kontekście obozów, ale że trzeba też zadawać o nią pytania.

Czemu więc miały służyć paski na obozowej odzieży?

Miały odróżniać i wyróżniać więźniów – oko dostrzega paski wyrażściej niż jednolity kolor. Miały też symbolicznie nawiązywać do więziennych krat. A także, ironicznie, do pasków jako popularnego wtedy wzoru na bieliznie, a więc na czymś mającym chronić ciało przed brudem, tyle że tu chronione miało być ciało zarządzające, czyli niemieckie.

→ **Jako badaczka mogłaś dosłownie dotknąć tej obozowej materii.**

Czego w ten sposób się dowiedziałas?

Że właściwie nie ma dwóch takich samych pasiaków. Początki ich produkcji związane są z historią pracy przymusowej: większość pasiaków utkaly ręce więźniarek z Ravensbrück, choć tkano i sztyto je także w Dachau i innych obozach. Używano różnych tkanin, zawsze najgorszej jakości, w tym pokrzywowych, konopnych. Grubszych – choć tylko w teorii – do ubrań zimowych, a bardziej płóciennych do letnich. Różniły się farbowaniem, często paski nawet nie były niebieskie. Pasiaków nie sztyto na miarę i najczęściej świadomie przydzielano je niewymiarowo. Trzeba było się więc nimi wymieniać, przerabiać je. Odciskały się na nich cierpienia więźnia i codzienny trud: ślady krwi, fizjologii, robactwa. To manuskrypty, na których zapisana jest cielesność każdego więźnia z osobna.

Od przydziału pasiaka wiele zależało?

Różnicował szanse na przeżycie. Każdy miał więźnia krzywdzić. Na poziomie fizycznym – był odzieżą niewygodną, nieprzyjemną w dotyku, cuchnącą. A na psychologicznym – miał upokarzać, dehumanizować i przypominać noszącemu, że jako więzień nie ma osobowości, przeszłości ani przyszłości. Więźniarki często pisały o tym stroju jako o czymś odpychającym. Prócz pasiaków więźniowie dostawali w przydziale odzież cywilną. Śladów o tym historycznym fakcie praktycznie brak w popularnym obrazie obozów. Gdy pasiaków już nie wystarczało, produkcja

nie nadążała – co było świadectwem rozmiarów zbrodni, ale i powiększającego się z biegiem wojny chaosu – i rozwiązaniem było korzystanie z zasobów odzieżowych obozowych magazynów.

A do nich trafiał przekrój mody europejskiej, od Paryża po Budapeszt.

Było tam wszystko, co najcenniejszego w kufrach mieli przybywający. Suknie, garnitury, pończochy, luksusowe obuwie itd. Często taka odzież kończyła jako zasób odzieżowy dla więźniów. I tu uderka związana z przydziałem jest jeszcze bardziej wyrazista niż w przypadku pasiaków, które dawały przynajmniej rodzaj przynależności grupowej. Cywilne ubrania, często celowo niedopasowane, także do płci i wieku, wyrwane z kontekstu luksusu, nie tyle ubierały, co przebierały człowieka. Zdenka Fantlová miała suknię balową wyszywaną perłami, do tego dziecięcy kubraczek i dwie różne skarpetki. Halina Birenbaum dostała buty na obcasie. To była groteska, maskarada, karnawałowe *à rebours*. Wiele osób mówiło, że ten przydział szmat obozowych sprawił, że nie czuły się godne bycia bohaterami. Bo jak osoba ubrana niczym klaun ma prawo do godnego umierania, godnego cierpienia?

Książki „Rzeczy osobiste” i „Historie osobiste” traktują nie tylko o ubraniach, ale o wyglądzie, dbaniu o siebie, higienie, a nawet fizjologii, czyli o doświadczeniu ciała i jego roli w przetrwaniu.

O tym, co odruchowe, instynktowne – bo okazuje się, że na skraju życia i śmierci

nie chce się recytować wierszy czy wznosić modłów, ale mieć iluzję normalności, posługiwać się ulubionymi przedmiotami, praktykować codzienność z jej rytuałami, które nas zakotwiczą w tym, kim jesteśmy. To, co nam się wydaje banałem – wstań, ogarnij się, ubierz – tam było kwestią życia albo śmierci. Miało transformacyjny wydźwięk, począwszy od najgłębszego piekła obozowego, czyli „zmuślanienia”, psychicznej rezygnacji, czasem wizualnie wyrażanej przez przykrycie się kocem. Przyjaciół zasugerował Primo Leviemu, kiedy znajdował się w takim stanie, że aby się z niego wyrwać, ma się myć, nawet na niby.

Transformacyjną siłę miało też oddziaływanie ubrań w kontekście oprawców. Do Ravensbrück, gdzie był też ośrodek szkoleniowy dla aufzejerek [strażniczek obozowych – red.], przychodziły młode zahukane dziewczyny. Dostawały mundur, wysokie oficerki i już po chwili zaczynały inaczej chodzić, inaczej się zachowywać wobec więźniarek.

Czy obsesja na temat munduru SS była także wyrazem hitlerowskiej obsesji na temat tzw. czystości rasowej?

Żyd był widziany jako ktoś brzydki, pokurczony, wychudzony, a Żydówka jako kobieta maskująca swoją obrzydliwość modą, makijażem, sztucznością. Aryjka miała być naturalnie piękna, jak rasowe zwierzę, a mężczyzna-Aryjczyk męski i silny w sposób posagowy. Mundur miał wydłużać i wysmuklać ciało, nadawać mu też bardzo teatralnie rys demoniczny.

Ludzie i przedmioty

JEJ PRACA nad „Rzeczami osobistymi” zaczęła się ponad 10 lat temu, gdy Karolina Sulej – rocznik 1985, reporterka i doktorantka w Instytucie Kultury Polskiej UW – połączyła zainteresowania antropologią mody i historią Zagłady, by szukać śladów opowieści o roli stroju w getcie warszawskim. Później podjęła podobny

temat w kontekście obozów koncentracyjnych i obozów zagłady. Los tytułowych rzeczy obserwuje od momentu przybycia transportów na obozową rampę – do Auschwitz-Birkenau, Dachau, Stutthofu, Treblinki – aż po ich obecność na muzealnych ekspozycjach i nieobecność lub zamazanie w zbiorowej świadomości Zagłady. Narrację o odzieży – i doświadczeniu związanym z cielesnością

w obozach – Sulej buduje z relacji więźniarek i więźniów pozostawionych w książkach lub znalezionych w archiwach polskich i zagranicznych. Skupiając się na przedmiotach, „Rzeczy osobiste” opowiadają za ich pośrednictwem historię osobistych dramatów. Z kolei druga część dyptyku, „Historie osobiste”, oparta jest na rozmowach z jedenaściorcem byłych więźniów. Wielu z nich – jak Aliny Dąbrowskiej, otoczonej

bibelotami – nikt wcześniej nie pytał o doświadczenia z odzieżą. Portrety przeplatają opowieści o 20 zdjęciach, które dotykają przedwojennej i wojennej codzienności, przedmiotów, ubioru. „Rzeczy osobiste” nominowano m.in. do Nagród im. Ryszarda Kapuścińskiego i Kazimierza Moczarskiego. Autorka książki została laureatką Nagrody im. Teresy Torańskiej 2021.

© BARTEK DOBROCH



Lato w warszawskim getcie. Gina Szczecińska, Gina Tabaczyńska, Dziunia Uczeń, Hanka Ginsburg, Zosia Perec i jedna dziewczyna o nieustalonej tożsamości zaraz po maturze w szkole pielęgniarskiej. Zagładę przeżyły tylko Gina Szczecińska i Dziunia. Warszawa, ok. 1942 r.

Ale co było w tym mundurze takiego, że budził nie tylko przerażenie, ale też – nawet u więźniów, po latach – pewien podziw?

Wiele opowieści łączy okrucieństwo esesmana z tym, jak piękny był jego strój. To obok pasiaka chyba najbardziej „obciążony” strój w historii. O ile jednak pasiak jest jak relikwia, o tyle mundur SS po wojnie miał wiele odsłon, w których był rozbrajany, wyśmiewany, od interpretacji artystycznych po kostiumy erotyczne i teatr BDSM, o którym w eseju „Fascynujący faszyzm” pisała Susan Sontag [BDSM to skrót od: zniewolenie, dyscyplina, sadyzm i masochizm – red.].

Jedną z pierwszych reinterpretacji wojennej rzeczywistości były tzw. stalagi, czyli komiksy erotyczne tworzone w Izraelu w czasie procesu Eichmanna, jako rodzaj odreagowania traumy dla pokolenia dzieci wychowanych przez ocalańców. Często w tych komiksach kobiety w mundurach SS znęcają się nad mężczyznami, a potem ci mężczyźni zwyciężają i znęcają się nad strażniczkami. To fantazja. Zresztą oprawczynie z obozów długo nie miały adekwatnego historycznego obrazu.

Może nie pasowały do męskiej narracji wojenno-obozowej? Podobnie jak słowa z „Rzeczy osobistych”, że „w Belsen więźniarki biły się bardziej o szminkę niż o jedzenie”.

„Kobiece” tematy związane z emocjami, strojem, dbaniem o siebie w kontekście wojny były długo umniejszane jako nieistotne. „Tęskniłyśmy za kobiecością” – brzmi tytuł jednego z rozdziałów „Historii osobistych”. Jak ważna była ta tęsknota, wskazuje historia, dla wielu niewiarygodna, wielkiego poruszenia, które spowodowała dostawa szminek do zwolonego przez Brytyjczyków obozu Bergen-Belsen. Kobiety, które dopiero co ocknęły się z przedśmiertnej maligny, chciały się malować. Szminką można było też zaróżowić policzki, poprawić wizualnie kondycję ciała. Z kolei chustki dla kobiet w obozach były, jak pisała Jezierska, „poręcznikami podjazdowej walki zbrojnej”. Każda chciała mieć inną chustkę. Chciała zorganizować, czyli zdobyć nielegalnie, własną chustkę. Inaczej wiązały je Ukrainki, Polki, Niemki, Żydówki.

Większe możliwości odróżnienia się miały więźniarki funkcyjne, komanda

pracujące w szwalni, tkalni czy w „Kamnadzie”, czyli w magazynach odzieży. W obozie to była kraina obfitości. Stąd przemycano się ubrania, które można było kupić na obozowej czarnej giełdzie, gdzie sprzedawano kawałek chleba, żeby mieć na ciuch, gdy głód stroju był silniejszy.

Piszę też o Treblince, obozie zagłady, w którym nie było w ogóle przestrzeni dla życia, a odebrane więźniom na rampie rzeczy grupowano w magazynie według asortymentu: staniki, płaszcze pierwszej jakości, płaszcze drugiej jakości. Oprawcy przychodzili jak do upiornego luksusowego domu towarowego, z więźniami w rolach subiektów, i wybierali sobie coś dla żony, coś dla siebie.

Przejmujące jest to, jak wiele rzeczy miało większą zdolność przetrwania niż ich właściciele. Do dziś wychodzą spod ziemi wokół obozów.

Na ekspozycjach w muzeach widzimy czubek góry lodowej tych przedmiotów. Wiele z nich nadal czeka w ziemi na swojego archeologa. Jak między Stegną a Sztutowem, w okolicach byłego obozu Stutthof, gdzie znajdowało się wiele warsztatów pracy przymusowej przerabiających buty, mundury. Być może tam, przy drodze na plażę, metry w głąb ziemi, znajdują się też kolejne rzeczy więźniów.

Ludzie pozbawieni swoich rzeczy zostają też pozbawieni istotnej części siebie?

Byli więźniowie i więźniarki podkreślają, że ludzie bez rzeczy stają się w oczach dręczycieli jak przedmioty. Opowiadamy o sobie każdego dnia nie tylko słowami, ale też przedmiotami. To, co w czasopiśmie przedstawiane jest jako „styl życia”, to jesteśmy my.

Są rodzaje śmierci, które można zadać człowiekowi bez zabijania go. Należy do nich pozbawienie go najbliższych przedmiotów, które go określają. Dzięki ubraniom, rzeczom – nawet tak drobnym i niepozornym jak szminka – można jednak także powrócić do życia.

© Rozmawiał BARTEK DOBROCH

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO” 5/2022

REDAKCJA: Wojciech Pięciak | PROJ. GRAF. i OKŁADKA: Marek Zalejski

KOREKTA: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Grzegorz Bogdań, Maciej Szklarczyk

FOTOEDYCJA: Jacek Taran | SKŁAD: Andrzej Leśniak

Na montażu okładkowym twarze ofiar III Rzeszy z okupowanej Europy.

Zdjęcia dzięki uprzejmości Yad Vashem i US Holocaust Museum.

WSPÓŁWYDAWCA

PARTNEREM DODATKU JEST FUNDACJA
KONRADA ADENAUERA W POLSCE



Między pokoleniami

ANNA MEIER-OSIŃSKI (AROLSEN ARCHIVES), ELŻBIETA PASTERNAK (MDSM W OŚWIĘCIMIU):

**Podczas uwięzienia zabierano ludziom wszystkie rzeczy osobiste.
Chcemy je zwrócić ich bliskim.**

MAŁGORZATA GWÓDŹ: Czym są Archiwa Arolsen?

ANNA MEIER-OSIŃSKI: Archiwa Arolsen – Międzynarodowe Centrum Prześladowań Nazistowskich, mieszczące się w Bad Arolsen, w Niemczech – to najobszerniejsze na świecie archiwum poświęcone ocalałym i ofiarom narodowego socjalizmu. Przechowywane są tu oryginalne dokumenty dotyczące więźniów obozów koncentracyjnych, ofiar deportacji, pracy przymusowej i inne świadectwa świadków. Zbiór ten, zawierający wzmianki o ok. 17,5 mln osób, jest częścią Światowego Dziedzictwa Dokumentów UNESCO. Aby dokumenty służyły współczesności, Archiwa Arolsen umieszczają je w internecie. Dostępne są zatem dla ludzi na całym świecie.

Co jest celem Waszej kampanii #StolenMemory (Skradziona Pamięć)?

AMO: Archiwa w Arolsen, wspierane przez wolontariuszy, poszukują krewnych więźniów obozów, by oddać im skradzione pamiątki po bliskich. Podczas uwięzienia naziści zabierali więźniom wszystkie rzeczy osobiste. W Arolsen zachowały się pamiątki po ok. 2,5 tys. prześladowanych, z których ok. 900 pochodziło z Polski. To zegarki, biżuteria (obraczki, pierścionki, kolczyki, łańcuszki), medaliki, budziki, łyżki, scyzoryki, wieczne pióra, zdjęcia rodzinne i dokumenty, jak legitymacje, świadectwa szkolne, listy miłosne.

Archiwa Arolsen opowiadają też na różnych wystawach o losach prześladowanych i zapraszają zwiedzających do samodzielnego poszukiwania śladów. Wspólna wystawa z IPN w 2021 r. była prezentowana w Warszawie, Bydgoszczy i Białymstoku, a w 2022 r. odwiedzi kolejne polskie miasta. Dodatkowo, dzięki wsparciu amerykańskich placówek dyplomatycznych w Niemczech i Polsce, wystawa objazdowa #StolenMemory, zrealizowana w kontenerze morskim, od lata 2022 r. będzie jeździć po Polsce.

Jakie były początki Waszej współpracy z Archiwami Arolsen?

ELŻBIETA PASTERNAK: W 80. rocznicę wybuchu II wojny światowej na płocie Międzynarodowego Domu Spotkań Młodzieży w Oświęcimiu zawisła wystawa promująca kampanię #StolenMemory. Zawierała nazwiska osób związanych z naszym regionem, województwami śląskim i małopolskim, po których pamiątki są w AA, oraz zdjęcia tych pamiątek. Do współpracy zaprosiliśmy młodzież oświęcimskich szkół średnich i ich nauczycieli, na spotkanie przyszło ponad sto osób. Gościem specjalnym była Wanda Bilnik-Różycka, która w cyfrowym AA odkryła przedmioty po ojcu. Opowiedziała o losach swojej rodziny, uświadamiając nam, jak można wrócić do historii wojny przez historię osobistą.

Po trzech tygodniach zgłosiła się do mnie grupa pierwszych wolontariuszy z LO im. ks. Konarskiego: Sabina Kwiatkowska, Zofia Przeworska, Maciej Piłat, Mateusz Mika, Karolina Tarkowska i Kinga Paciorek. Byli gotowi zaangażować się w poszukiwania. Naszym pierwszym bohaterem został Tadeusz Sieprawski z Krakowa, więzień pierwszego transportu do KL Auschwitz. Odnaleźliśmy wnuczkę jego brata. Podczas spotkania w MDSM wręczyliśmy jej pamiątki. Ten sukces zmotywował nas do dalszej pracy. Od 2019 r. udało nam się razem odkryć cztery historie i udokumentować je w postaci zdjęć, artykułów, filmów.

Jak reagują rodziny, którym zwracacie pamiątki?

AMO: Na początku są zaskoczeni. Reagują bardzo emocjonalnie, potrzebują czasu.

EP: Sprawdzają wiarygodność AA i MDSM oraz wolontariuszy, a gdy wreszcie uwierzą, że te małe przedmioty należały do członka ich rodziny i mogą być odzyskane, budzi się w nich ciekawość. Rozmowy z nimi są bardzo ciepłe, oparte na zaufaniu. W finalnym momencie staramy się zachować ciszę, gdy

osoba po raz pierwszy widzi zegarek czy medalik, dotyka go, bierze w ręce dokumenty. To wyjątkowe. Jakby otwierał się most między tą osobą, która zmarła/zginęła, a następnym pokoleniem, drugim czy trzecim. Zwracany przedmiot to wartość duchowa i wielki skarb dla tych ludzi. Spotkanie wypełnia luki w historii rodziny. My dzielimy się naszą wiedzą, zdobytą na podstawie dokumentów i procesu poszukiwań, a w zamian dowiadujemy się rzeczy intymnych, wręcz tajemnic rodzinnych. Czujemy się wtedy jak członkowie jednej rodziny.

AMO: Spotykamy się z ich strony z wielkim szacunkiem dla wolontariuszy. Rodziny nie mogą uwierzyć, że młodzież spędziła tyle czasu na poszukiwaniach w archiwach nie swoich bliskich!

EP: Dla młodzieży w wieku licealnym nie jest oczywistą sprawą zajmowanie się tak odległą i tak ciemną historią, związaną z cierpieniem...

AMO: Pamiętam, pewien mężczyzna przyjechał do Bad Arolsen z Holandii i otrzymał od nas jedyne zdjęcie ze swoim ojcem, zrobione, gdy sam miał parę miesięcy. Potem jego tata zginął. Każda ilość czasu jest warta, by pracować nad tym projektem.

Jaki jest walor edukacyjny tego projektu?

EP: W aspekcie ludzkim młodzież integruje się wokół losów bohatera, gdyż poszukiwania wymagają czasu i wysiłku. Fascynuje ich „detektywistyczne” odkrywanie czyjejs biografii. Przekazując rodzinie pamiątki, odczuwają radość i dumę. W aspekcie poznawczym – uczą się analizować dokumenty, również w języku niemieckim, dowiadują się, w jakich instytucjach należy prowadzić kwerendę, jak się komunikować z ekspertami, urzędnikami. A gdy fakty, jak puzzle, zaczynają się układać w całość, wymyślają pomysł na dokumentację, prezentację, zainteresowanie swoimi działaniami opinii publicznej. Praca nad jedną historią trwa zazwyczaj kilka miesięcy. W aspekcie



ARCHIWUM MDSM W OŚWIECIMIU

Katarzyna Konieczna odbiera pamiątki po prababci Leokadii Roźniewskiej; w głębi z lewej ojciec Katarzyny, Wiesław Konieczny, płacze ze wzruszenia. Po prawej: przekazanie pamiątek siostrzenicy Stefana Bastera (członka ruchu oporu i więźnia Auschwitz), Nielepipe koło Krakowa, 2020 r.

wychowawczym młodzieży widzi, czym jest rodzina, bliskość, wiedza o swoich przodkach, a szerzej – tożsamość. Od ich nauczycieli słyszę, że te młode osoby stały się bardzo dojrzałe w myśleniu i zachowaniu.

Którą historię najbardziej zapamiętałyście?

EP: Dla mnie to ostatnia historia, którą badaliśmy – Leokadii Roźniewskiej. Dlatego, że Łódź była odważną kobietą, miała trudne życie, doświadczyła samotności, a jednak potrafiła sobie poradzić z trudną przeszłością i do ostatnich swoich dni stawiała na dobre relacje rodzinne. Dokument po dokumencie – a było ich dużo – mogliśmy odtworzyć jej życie od aresztowania aż do powrotu ze Szwecji do Polski. Tę drugą część historii powojennej opowiadała nam już niezwykle otwarta rodzina, malując portret cieplej babci i prababci.

AMO: Spędziliśmy z nimi weekend w Częstochowie, gdzie mogliśmy zobaczyć miejsca związane z życiem Leokadii. Dla rodziny też to było ważne, bo oni nigdy tego nie zrobili tak naprawdę. Mówili, że to dla nich wyjątkowy moment, żeby się zająć historią babci, bo żyli razem, znali ją na co dzień, ale nigdy nie zrobili wspólnie wycieczki do przeszłości.

EP: Otrzymane z AA dokumenty pozwoliły nam też odtworzyć szeroką historię regionu: jak funkcjonował dystrykt Radom, gdzie znajdowało się Getsto, jak funkcjonowało getto. Poprosiliśmy o pomoc regionalnych historyków, którzy szli z nami ścieżkami dokumentów i miejsc.

Jak się zaangażować w kampanię?

AMO: Proponuję zacząć od naszej strony (arolsen-archives.org), gdzie na wirtualnej mapie można się zorientować, czy w regionie, gdzie mieszkamy, są poszukiwane osoby, których rzeczy są w naszym posiadaniu. Tam też można znaleźć wskazówki, jak szukać. Można też po prostu wpisać imię i nazwisko poszukiwanej osoby, by sprawdzić, czy mamy w AA przedmioty należące do niej. Jeśli zdecydujemy się na jakąś osobę, można wysłać do nas wniosek online. Można też do nas pisać listy, telefonować. Bardzo potrzebni są nam wolontariusze w różnych regionach, bo oni najlepiej znają swoje okolice i orientują się, gdzie i co można znaleźć, kogo zapytać. Świetnie funkcjonuje też grupa na Facebooku, gdzie zapraszamy zainteresowanych. Umieszczamy tam co tydzień posty, jakiej rodziny i z jakiego regionu szukamy.

Dzięki temu projektowi historia II wojny światowej jest nadal żywa?

AMO: Co roku otrzymujemy 20 tys. wniosków z całego świata od rodzin szukających informacji o bliskich. Chcielibyśmy, by jak najwięcej ludzi dowiedziało się o AA jako źródle wartościowej dokumentacji.

EP: Za 10 lat świadków tej historii już z nami nie będzie – tych, którzy przeżyli getta, obozy pracy przymusowej czy koncentracyjne. Odnaleziona rodzina otrzymuje od nas świetnie udokumentowaną historię. Pani Anna Mazur przyjechała do nas po odbiór rzeczy osobistych Tadeusza Sieprawskiego wraz z bratankiem, uczniem szkoły podstawowej, który obiecał, że na lekcjach dotyczących II wojny

światowej opowie swoim kolegom tę historię i pokaże przedmioty. Tym, co sprawia, że ta historia jest żywa po tylu latach od zakończenia wojny, są osobiste i wzruszające kontakty, które towarzyszą projektowi.

Czy ten projekt rzutuje na stosunki polsko-niemieckie?

AMO: AA nie jest niemieckim archiwum, tylko międzynarodową organizacją, założoną jeszcze przez aliantów, której siedziba jest – jak wspomniałam – w Niemczech, w Bad Arolsen. Nasze zbiory dotyczą losów ludzi z całej Europy i świata. Myślę, że tamte czasy nadal rzutują na obraz państwa, w którym mieszkamy, na stosunki międzyludzkie i międzynarodowe, w tym polsko-niemieckie.

EP: Od ponad 20 lat pracuję w MDSM z grupami polskimi i niemieckimi. Obecnie relacje polsko-niemieckie są mocno napięte. Gdy patrzę wstecz – były lepsze, tak na poziomie politycznym, jak i kontaktów międzyludzkich, zaufania. Szkoda, że tak się dzieje, bo to się odbija na młodzieży. Myślę, że w pracy nad projektem #StolenMemory udało nam się ominąć te wszystkie podziały, napięcia polityczne, próby nowych interpretacji, ideologizacji – dzięki temu, że skupiliśmy się na konkretnym człowieku i jego historii.

© Rozmawiała MAŁGORZATA GWÓŹDZ

ANNA MEIER-OSIŃSKI jest outreachmanagerką ds. Europy Wschodniej w Arolsen Archives.

ELŻBIETA PASTERNAK jest edukatorką w Międzynarodowym Domu Spotkań Młodzieży w Oświęcimiu; angażuje się w kampanię #StolenMemory.

CZYNNIK LUDZKI

KEN FOLLETT, PISARZ:

Wierzę w sprawczą moc jednostki. Uważam, że olbrzymie znaczenie ma to, na jakich ludzi oddajemy głos w wyborach. I chodzi mi o całokształt ich osobowości.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Jest taka klątwa: „Obyś żył w ciekawych czasach”. Ale dla pisarza takiego jak Pan brzmi to raczej jak obietnica.

KEN FOLLETT: Cóż, żyjemy w czasach zdecydowanie zbyt ciekawych.

Kiedyś były nieciekawe?

Zależy, kogo spytać...

To inaczej – jaka epoka wydaje się Panu najmniej interesująca?

Może pana zdziwi, ale lata 50. XX wieku.

Rzeczywiście mnie Pan zdziwił. Dlaczego?

Napięcie lat 40. opadło, a zimna wojna dopiero nabierała rozpędu. Ludzie zajęci byli odbudową, przywracaniem normalności. To trudny materiał dla powieści historycznej.

A tryumfalnie obwieszczany „koniec historii” na początku lat 90.?

Dziś często powraca krytyka tego hasła, co mnie trochę dziwi, bo nie wiem, czy faktycznie aż tak wiele osób wtedy w nie uwierzyło. Z mojej perspektywy lata 90. na Zachodzie to przede wszystkim gwałtowny przyrost prawicowego populizmu – tego samego, który doprowadził do brexitu i wyniósł Donalda Trumpa do władzy. Nie, historia się nie skończyła ani wtedy, ani później. Myślę, że pandemia przekonała do tego ostatnich naiwnych.

W 1989 r. wydał Pan swoją najśtywniejszą powieść, „Filary Ziemi”, która dzieje się w XII wieku. Wcześniej nie zapuszczał się Pan tak daleko w przeszłość.

Wtedy zrodziła się we mnie, zresztą trwająca do dziś, fascynacja katedrami. Te średniowieczne arcydzieła architektury są nie tylko niezwykle i poruszająco piękne – przede wszystkim stanowią szczytowe osiągnięcie technologiczne, ale też społeczne oraz teologiczne swojej epoki. Bardzo chciałem poznać historię ich powstawania. Niestety, wiele informacji się nie zachowało. Dlatego postanowiłem napisać tę powieść, żeby sobie pomóc wyobrazić, jak mogło to wszystko wyglądać.

Rodzaj ucieczki przed rozedrganą od polityki teraźniejszością?

Historia najwspanialszych budowli Europy ma olbrzymi potencjał polityczny. Poza tym końcówka lat 80. jawi się jako czas przełomu epok dopiero z dzisiejszej perspektywy. „Filary Ziemi” zacząłem pisać w 1986 r., a wtedy naprawdę niewielu potrafiło przewidzieć, że już za chwilę upadnie Związek Radziecki i nastanie nowy porządek świata. Nie, nigdy nie uciekałem przed bieżącą polityką, ale też nigdy jej specjalnie nie szukałem. Kryterium wyboru tematu czy epoki dla kolejnych powieści mam jedno – zawsze chodzi o najlepszy materiał dla interesującej historii.

„Nigdy”, swoją najnowszą powieść o świecie, który staje na krawędzi III wojny światowej, po raz pierwszy umieścił Pan nie w przeszłości, tylko w przyszłości.

Od jakiegoś czasu nie opuszcza mnie przecucie, że żyjemy w niebezpiecznych czasach. Tak źle nie było przynajmniej od 60 lat, czyli kryzysu kubańskiego, gdy faktycznie od masowej zagłady dzieliła nas jedna, najwyżej dwie złe decyzje polityków. Od tego momentu ryzyko wojny atomowej spadało. Obie strony konfliktu rozumiały wreszcie reguły gry i zaczęły powoli, ale konsekwentnie wypracowywać strategię pokojowej koegzystencji. Dziś jednak mamy na arenie nowego, a przez to nieprzewidywalnego gracza, czyli Chiny.

Chiny są groźnym mocarstwem już od dekad.

Jednak dopiero niedawno doszło do ostatecznego i w pewnym sensie bardzo

KEN FOLLETT (ur. 1949) jest brytyjskim pisarzem, autorem kilkudziesięciu bestsellerów – powieści historycznych i thrillerów szpiegowskich, m.in. „Igły” (1978), „Filary Ziemi” (1989, kontynuowanych później w ramach serii „Kingsbridge”), trylogii „Stulecie”: „Upadek gigantów” (2010), „Zima świata” (2012) i „Krawędź wieczności” (2014). W 2021 r. ukazała się jego najnowszą powieść „Nigdy”.



→ udanego połączenia autorytarnego komunizmu z nastawionym imperialistycznie kapitalizmem. Problem polega na tym, że zachodni politycy nie do końca pojmują tę nową doktrynę polityczną, a przecież zrozumienie przeciwnika to jedyny sposób na uniknięcie otwartego konfliktu. Dodatkowo sytuację komplikuje obecność wielu pomniejszych graczy, również nieprzewidywalnych, a dysponujących arsenałem jądrowym. W najgorętszych okresach zimnej wojny graczy było dwóch i ledwo udawało się sytuację opanować.

Rzadko dziś w filmach czy literaturze pojawia się wizja zagłady atomowej – w modzie są inne metody uśmiercania ludzkości.

To zrozumiałe, bo pojawiają się coraz to nowe zagrożenia, choćby zmiany klimatyczne czy wirusy. Problem jednak polega na tym, że te kolejne możliwości zagłady naszego gatunku wcale nie unieważniają wcześniejszych. Niebezpieczeństwa narastają, kumulują się w naszym świecie, dlatego odczuwam coraz większy strach.

Trudniej pisać o przeszłości czy przyszłości?

Zdecydowanie trudniej o przeszłość, bo niezbędna jest olbrzymia wiedza. I nie chodzi mi o erudycję ściśle historyczną, ale o drobiazgi, które mogą stać się zmorą każdego powieściopisarza.

Przykład?

Powiedzmy, że któryś z bohaterów „Filarów Ziemi” zasiada do posiłku. Co może znaleźć się na jego talerzu? Dajmy na to – barania kielbaska. Ale czy w XII wieku w Anglii jedzono baranie kielbaski? Jeśli tak, to jak mogły wyglądać? Czy nie będąc zamożnym arystokratą, można było sobie na nie pozwolić? Takich pytań pojawiają się tysiące. Co gorsza, na wiele z nich nie da się jednoznacznie odpowiedzieć.

Im bliżej współczesności, tym łatwiej?

Wie pan, kiedy w Europie zaczęto palić papierosy?

Hm...

No właśnie. A wielu moich XIX i XX-wiecznych bohaterów lubi tytoń – dlatego za każdym razem musiałem dokładnie ustalić, w jakiej formie mogli go za-

Przekonanie, że polityka to wyłącznie cyniczna gra

o władzę i pieniądze,
jest nie tylko fałszywe,
ale też bardzo
niebezpieczne.

palić. Te badania są bardzo ciekawe, ale zabierają mnóstwo czasu.

We wstępie do „Nigdy” pisze Pan, że podczas zbierania materiałów do „Upadku gigantów” uderzyło Pana, że tak naprawdę I wojny światowej nikt nie chciał – że ta potworna masakra wydarzyła się jakby mimowolnie.

W 1914 r. najwięksi europejscy przywódcy podejmowali kolejne decyzje w reakcji na decyzje innych. Każdy krok, jeżeli rozpatrywać go osobno, był logiczny, w pewnym sensie nawet wyważony i słuszny. Tej tragedii zapewne dałoby się zapobiec na wiele sposobów. Problem w tym, że nikt nie przewidywał kilku ruchów do przodu. Z wielu dokumentów i relacji wynika wręcz wprost, że w lipcu 1914 r. nikt nie chciał dalszej eskalacji napięcia. Nawet jeżeli część ówczesnych polityków myślała o wojnie, to wyłącznie lokalnej – w koloniach, ewentualnie na Bałkanach. Otrzeźwienie pojawiło się, gdy sprawy zaszły już za daleko.

Myśli Pan, że dziś jesteśmy w podobnym geopolitycznym punkcie?

Analogii z sytuacją sprzed wieku jest aż nadto, by sprawę traktować bardzo poważnie.

Grozi nam powtórka, bo polityką wciąż rządzi siła inercji?

Tak daleko bym się nie posunął, ale z pewnością podobne mechanizmy w zbliżonych okolicznościach mogą dać analogiczny efekt. Sprawę pogarsza zalewająca nas fala nacjonalizmu. Gdy w ekosystemie politycznym pojawia się coraz więcej szowinizmu, zmieniają się reguły gry, i to dla wszystkich. Nawet jeżeli danemu politykowi bardzo daleko do nacjonalizmu, wciąż musi konkurować z po-

litykami, którzy lubują się w pokazach siły. A wyborcy, mniej lub bardziej świadomie, powoli się do tego teatru agresji przyzwyczajają, z czasem wręcz zaczynają się go domagać. W tak ustawionej debacie publicznej trudno zdobywać głosy, proponując pokojowe rozwiązania konfliktów. Wyżej punktuje ten, kto wysyła czołgi i samoloty, taka jest natura człowieka, szczególnie mężczyzny.

Moja poprzednia powieść rozgrywała się w czasach wikingów – wtedy taka polityka mogła doprowadzić do lokalnej wojny, kilku krwawych bitew, paru tysięcy zabitych. Od jakiegoś czasu jednak stawką jest istnienie naszej cywilizacji, a być może nawet gatunku. Dlatego też hasła typu „*America First*”, nawet jeżeli brzmiały żałośnie, mają swój ciężar.

W „Nigdy” powraca „prawdziwa polityka”. To przywódcy mocarstw, ewentualnie ich bezpośredni podwładni, decydują o losach świata, a nie – jak to się dziś często zakłada – wielkie pieniądze czy międzynarodowe korporacje.

Kapitalizm – podobnie jak inne systemy gospodarcze – w oczywisty i dogłębny sposób kształtuje naszą rzeczywistość. Jednak w przypadku światowej geopolityki nie zgadzam się z tezą, że to względy ekonomiczne decydują o wszystkim. Wróćmy do roku 1914. W marksistowskiej interpretacji tamtych wydarzeń wojna wybuchła, gdyż mocarstwa musiały rywalizować ze sobą o dominację na światowych i lokalnych rynkach. Problem w tym, że teza ta nie ma potwierdzenia w faktach. Na przykład niemiecki przemysł mógł bez problemu sprzedawać swoje towary nie tylko na wyspach brytyjskich, ale i w całym Imperium: Indiach, Australii, Południowej Afryce, Kanadzie itd. Najwięksi ówcześni kapitaliści Europy robili, co mogli, aby utrzymać pokój, bo to im się zwyczajnie opłacało. Z kolei zaraz po wybuchu wojny giełdy na całym świecie zalały się.

Dlatego ekonomiczna wykładnia każdego tragicznego wydarzenia w historii często bywa nadmiernym uproszczeniem, podobnie zresztą jak inne uniwersalne teorie dziejów. Najczęściej mamy do czynienia z długim, chaotycznym łańcuchem przyczynowo-skutkowym, w którym dopiero *ex post* doszukujemy się wyższej logiki.

W „Nigdy” rywal polityczny aktualnie urzędującej prezydent USA przypomina nieco Trumpa. Niektórzy twierdzą, że, pomijając wszystkie jego wady, miał on pewien pomysł gospodarczy – weryfikację zasad globalnego kapitalizmu, którego utrzymanie coraz mniej opłaca się Amerykanom.

Tylko że Donald Trump nie ma pojęcia o ekonomii, wie natomiast, jak się przypodobać swoim wyborcom. Jak każdy nacjonalista, dużo krzyczy i wali pięścią w stół. Niektórzy doszukiwali się sensu w jego działaniach na arenie międzynarodowej – choćby w wojnie handlowej, którą prowadził z Chinami. Tylko znowu: z perspektywy światowej ekonomii jego działania były bezsensowne i szkodliwe. Chcąc rzekomo chronić rodzimy przemysł, wprowadził zaporowe cła na chińską stal, tyle że Chińczycy odpowiedzieli w ten sam sposób, czyli blokadą amerykańskich dostaw soi. Ostatecznie stracili na tym wszyscy, bo amerykański rząd musiał wypłacać rolnikom bardzo wysokie rekompensaty, żeby nie zbankrutowali. Z czysto ekonomicznego punktu widzenia to była katastrofa.

Podoba mi się, że w wielu Pana powieściach pojawiają się ludzie władzy, którzy są nie tylko głęboko etyczni, ale również skuteczni w działaniu.

Bo wierzę w sprawczą moc jednostki. Wbrew coraz powszechniejszemu zniechęceniu światem polityki uważam, że wciąż olbrzymie znaczenie ma to, na jakich ludzi oddajemy głos w wyborach. I nie chodzi mi wyłącznie o poglądy *stricte* polityczne, ale o całokształt osobowości. Wiele obrzydliwych i przerażających rzeczy, które zrobił Trump, nie wynikało przecież z faktu bycia republikaninem czy konserwatystą, tylko z tego, jakim jest człowiekiem. Portretując ludzi władzy, i to z różnych epok, staram się zawsze pokazać skomplikowany splot wielu czynników, które decydują o tym, jak wygląda dana rzeczywistość polityczna czy społeczna. Przekonanie, że po-

lityka to wyłącznie cyniczna gra o władzę i pieniądze, jest nie tylko fałszywe, ale też bardzo niebezpieczne.

Fala nacjonalizmu przetoczyła się także przez Zjednoczone Królestwo. Jest Pan dalej dumny z bycia Brytyjczykiem?

Z niektórych rzeczy tak, z innych nie.

Przykłady?

Nasza kultura – szczególnie za mojego życia – dała światu najlepszych muzyków popowych w dziejach. Jestem też dumny z naszych literatów, no i oczywiście z największego dramatopisarza wszech czasów, czyli Szekspira.

A te mniej chwalebne rzeczy?

Opuszczenie wspólnoty europejskiej to oczywiste szaleństwo. Najsmutniejsze w brexicie było powszechne przekonanie, że nasi sąsiedzi nie są nam już potrzebni. A sięgając dalej w przeszłość – imperialna historia Brytanii ma wiele ciemnych kart. Choćby klęska głodu w Bengalu w 1943 r., za którą odpowiedzialność ponosiła brytyjska administracja. Zginęło wtedy kilka milionów ludzi, a wciąż niewiele osób o tym słyszało.

Nie jest łatwo być patriotą, gdy jest się obywatelem byłego imperium?

To prawda, choć trudno byłoby wskazać chociaż jeden kraj na świecie, który miałby całkowicie czyste sumienie. Ale oczywiście kwestia skali ma tu kolosalne znaczenie. Niemniej jedyny sposób, aby sobie z tym poradzić, to mówić prawdę. Nie chodzi też o to, żeby fiksować się wyłącznie na wstydzie i poczuciu winy – opowieści o przeszłości trzeba opowiadać w całości, pokazywać te momenty, w których byliśmy najlepsi, jak i te, gdy zachowaliśmy się nikczemnie.

Chodzi o etykę?

Oczywiście, ale również pragmatykę. Duma przefiltrowana przez nacjonalizm zamienia się w szowinizm i pogardę, a te z kolei nie pozwalają nam trzeźwo analizować rzeczywistości. Gdy studiowałem źródła historyczne z czasów II wojny

światowej i lat powojennych, ze zdumieniem odkryłem, że wtedy w powszechnym u nas przekonaniu to Wielka Brytania, niemalże w pojedynkę, pokonała III Rzeszę, a o roli Sowietów właściwie się nie wspomina. W dużej mierze ta narracja obowiązuje do dziś. To koszmarna naiwność. A przecież podczas II wojny Brytyjczycy – zarówno żołnierze, jak i ludność cywilna – dokonali wielu niesamowitych i bohaterskich rzeczy. Trudno jednak o prawdziwą dumę, gdy topimy to wszystko w dziecinnej i zbędnej pysze.

Cały świat jest rozkochany w brytyjskiej historii – sukces serialu „The Crown” to tylko jeden z wielu tego dowodów. Skąd się to bierze?

Może dlatego, że historie z życia arystokratów, szczególnie rodziny królewskiej, mają swój niepowtarzalny urok? Nie chodzi tu chyba konkretnie o mieszkańców pałacu Buckingham, ostatnio w prasie pojawia się np. wiele plotek o rodzinie książęcej z Monako...

Ale o nich mamy blade pojęcie, za to potrafimy wymienić sporą część drzewa genealogicznego Windsorów z ostatniego stulecia.

No tak... Być może Brytyjczycy monarchowie faktycznie zachowali sporo imperialnego rozmachu i splendoru, który dobrze rezonuje ze współczesną kulturą.

Sama monarchia to za mało, żeby wytłumaczyć ten fenomen.

Odpowiedź na pana pytanie może być prostsza, niż się wydaje. W szczytowym okresie swojej imperialnej historii – powiedzmy od Waterloo do Sommy – Brytania miała szczęście do wielu wybitnych pisarzy: od Jane Austen, przez Charlesa Dickensa, na Josephie Conradzie kończąc. To dzięki ich niezwykłym talentom powstała wielka, polifoniczna opowieść o potężnym, ale też bardzo różnorodnym i pełnym kontrastów imperium. Być może po stuleciach to właśnie literatura okazuje się naszą najważniejszą spuścizną?

© Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem powszech.net/wspieram

faniMani.pl

O CZYM ŚPIEWAJĄ ZEBERKI

Złożone melodie przydają się ptakom w ustalaniu granic i podrywaniu partnerek. Ale nam mogą wiele powiedzieć o umysłach i ewolucji tych zwierząt.

DANIEL KOZŁOWSKI

NIE KAŻDY PTASI ŚWIERGOT, TREL, krakanie, kłaskanie, gruchanie i klekotanie określa się mianem śpiewu. W naukowym żargonie to pojęcie ma węższą definicję. W podręczniku „Bird Song” („Śpiew ptaków”) Clive’a Catchpole’a i Petera Slatera możemy przeczytać, że śpiew to długie i złożone wokalizacje (dźwięki), które samce produkują, by wzbudzić zainteresowanie samic podczas okresów godowych. Jednak jak to w biologii często bywa, zaraz za tą definicją ciągnie się szereg wyjątków i uzupełnień.

Bo nie zawsze wyłącznie samce śpiewają. I nie zawsze tylko w danym okresie roku. Np. znane nam rudziki zwykle śpiewają cały rok, a zimą możemy usłyszeć zarówno samce, jak i samice. Ptaki różnią się też złożonością i wielkością swojego repertuaru piosenek. Bardzo popularne w badaniach neurobiologicznych zeberki zwyczajne przez całe życie śpiewają tylko jedną piosenkę, słowiki rdzawe zaś mają repertuar złożony z nawet dwustu różnych wokalizacji. Co istotne, ptaki śpiewające muszą się nauczyć swoich utworów. Choć rozmaite badania wskazują na pewne wrodzone skłonności do śpiewania gatunkowo specyficznych dźwięków, niezbędni są tutorzy (najczęściej rodzice) – dzięki podsłuchiowaniu ich młode wy-

kształcą pełny charakterystyczny dla tego gatunku śpiew.

Trzy niezależne grupy

Sam śpiew można podzielić na mniejsze fragmenty – rozłożyć niczym akapit na zdania, a te na słowa. Mówimy, że piosenki składają się z fraz, które zwykle wprawne oko rozróżni na sonogramie – wykresie ukazującym wokalizację jako kolejno wydawane po sobie dźwięki. Frazy z kolei mają swoje mniejsze elementy – sylaby. Sylaby zaś zawierają często jeszcze krótsze i mniej skomplikowane fragmenty – nutki.

Po co nam te wszystkie podziały i definicje? Otóż dają nam one bogaty wgląd w ptasie umysły i zachowania. Badania nad strukturą piosenek, w połączeniu z informacjami z różnych dziedzin biologii, doprowadziły do wyróżnienia trzech ptasich grup, u których śpiew pojawił się, jak się wydaje, niezależnie: są to wróblowe (*Passeriformes*), kolibrowate (*Trochilidae*) oraz papugowe (*Psittaciformes*). Oznacza to, że w historii ewolucyjnej ptaków trzykrotnie pojawiły się również przystosowania do produkcji śpiewu. Jednak, co ciekawe, struktury mózgowe odpowiedzialne za uczenie się śpiewu i wokalizowanie u tych trzech grup ptaków wydają się dość podobne.





Skąd takie podobieństwo między tymi grupami, mimo że zakładamy, iż zdolność do śpiewania wyewoluowała u nich odrębnie (i nie w tym samym czasie)? W zasadzie nadal trudno całkowicie wykluczyć, że wszystkie trzy grupy miały jakiegoś odległego przodka, który potrafił śpiewać i uczyć się wydawania nowych dźwięków. Jednakże dodatkowe dane i analizy raczej podważają tę hipotezę.

Być może wyjaśnienia należy szukać gdzie indziej. Przyjrzyjmy się innej zdolności ptaków – lataniu. Jak wiadomo, oprócz ptaków występuje ona również u owadów i nietoperzy (a także, dawno temu, posiadały ją pterozaurowy). Raczej nikt nie ma wątpliwości, że te grupy zwierząt uzyskały możliwość wzbijania się w powietrze niezależnie od siebie. Mimo to dostrzegamy znaczące podobieństwa w przystosowaniu tych zwierząt do lotu – jak choćby to, że wyewoluowały one parzyste skrzydła ustawione po bokach ciała. Co więcej, skrzydła są zlokalizowane nie na ogonie, głowie czy na nogach, lecz pośrodku ciała, ponieważ to miejsce wydaje się optymalne z punktu widzenia zapotrzebowania na energię (tam znajduje się środek ciężkości ciała). Być może więc podobne fizyczne ograniczenia stały przed trzema grupami ptaków śpiewających i to one kształtowały ich ewolucyjne drogi.

Ale analizy ptasich śpiewów mogą zaprowadzić nas do odkryć nie tylko w dziedzinie neurobiologii.

Setki miniwdechów

Żeby wokalizować w specyficzny sposób, ptaki, rzecz jasna, muszą posiadać odpowiednią podstawę anatomiczną – czyli tkanki i narządy, które pozwalają im śpiewać.

Do takich kluczowych dla śpiewu narządów możemy zaliczyć m.in. krtań dolną, bardziej rozbudowaną niż u gatunków niezdolnych do śpiewu. Składa się ona z kilku membran, które, podobnie jak ludzka krtań, drgają pod wpływem przepływającego powietrza. Jeśli nakłuje się worek powietrzny, z którego powietrze przepływa przez krtań dolną, zwierzę traci zdolność do wokalizacji (ale gdy dziura się zagoi, umiejętność ta wraca).

Mięśnie krtani dolnej, poprzez to, jak kurczą się i rozkurczają, regulują przepływ powietrza przez drogi oddechowe. →

Samce zeberki zwyczajnej, Australia

→ A tym samym to, jakie dźwięki są wydawane. Tutaj sytuacja zaczyna się komplikować. Np. kanarki produkują dwadzieścia siedem różnych dźwięków na sekundę. To zaskakująco dużo, biorąc pod uwagę fakt, że droga, którą powietrze wychodzi na zewnątrz, służy też jako system wymiany gazów oddechowych. A w którymś momencie ptak musi nabrać powietrza do płuc. Przyzwanie się temu problemowi pozwoliło odkryć, że ptaki wykonują tak zwane miniwdechy pomiędzy kolejnymi wokalizacjami, dzięki czemu nie uduszą się podczas śpiewu. Jednak to prowadzi nas do ciekawego wniosku – mięśnie regulujące pracę krtani dolnej muszą pracować bardzo szybko, kurcząc się i rozkurczając od kilkudziesięciu do kilkuset razy na sekundę. Tylko wtedy mogą bowiem umożliwić miniwdechy i tworzyć odpowiednie dźwięki.

Skurcze mięśni podlegają kontroli ze strony mózgu, który przesyła odpowiednie sygnały pobudzające przez nerwy. Pośrednikiem w tym procesie jest m.in. wapń, który uwalnia się w komórkach mięśniowych podczas pobudzenia ich przez nerw i przyłącza się do kurczliwych białek, powodujących skrócenie się mięśnia (czyli właśnie skurcz). Rozkurcz polega natomiast na odłączeniu się wapnia. Wynika z tego, że w komórkach mięśniowych muszą zachodzić szybkie zmiany ilości wapnia – gdyby ten pierwiastek występował stale w dużych ilościach, komórka nie mogłaby zostać pobudzona kolejny raz i mięśnie by się nie kurczyły.

Superszybki wapń

Skądś ten wapń musi więc napływać do komórki, a potem dokądś odpływać. Komórki mięśniowe, jak i wszystkie inne komórki organizmu, odznaczają się podziałem ich wnętrza na oddzielne segmenty (kompartenty), w których mogą zachodzić różne procesy biochemiczne. Składają się one na cytoplazmę wypełniającą wnętrze komórki. Np. jądra komórkowe zawierają DNA – materiał genetyczny – a mitochondria produkują ATP, czyli cząsteczki energetyczne. Choć działają jak oddzielne obszary, to są funkcjonalnie połączone. Informacja genetyczna przepływa z jądra komórkowego w postaci mRNA na zewnątrz jądra, gdzie zostaje „przetłumaczona” na białka, które są odpowiedzialne za większość procesów zachodzących w komórce.

Zawołania ptasich rodziców mogą zmieniać gospodarkę hormonalną zarodka tak, że po wykluciu z jaja młode **będzie lepiej przystosowane do warunków otoczenia.**

Innym przykładem kompartentu w komórkach mięśniowych jest tzw. siateczka sarkoplazmatyczna. Jedną z jej funkcji to uczestniczenie we wspomnianej syntezie białek. Inna funkcja odpowiada na zarysowany wyżej problem: to właśnie ta siateczka jest źródłem i magazynem wapnia, niezbędnego podczas skurczu i rozkurczu mięśni. To ona zdaje się wyjaśniać, jak kanarki mogą produkować tak wiele dźwięków na sekundę.

Wspomniane już mięśnie krtani dolnej zyskały własną nazwę – określamy je jako superszybkie. Analizy mikroskopowe pozwoliły znaleźć różnice między nimi a „zwykłymi” mięśniami, takimi jak mięśnie szkieletowe (odpowiedzialnymi za poruszanie się). Jak się okazuje, superszybkie mięśnie posiadają o wiele więcej siateczki sarkoplazmatycznej niż inne typy mięśni. Dzięki temu mogą o wiele szybciej pobierać i uwalniać wapń, co oznacza, że cykle [sygnał nerwowy → uwolnienie wapnia → skurcz → usunięcie wapnia → rozkurcz] mogą zachodzić z większą częstotliwością. I dzięki temu ptaki śpiewające mogą wydawać niesamowitą liczbę dźwięków w ciągu jednej sekundy.

W tym kontekście możemy też zauważyć niezwykle oszczędność typową dla świata biologicznego – gdy coś jest zbędne, po prostu tego nie ma (ponieważ utrzymanie nadmiarowych organów czy funkcji oznacza dla organizmu niepotrzebny wydatek energetyczny, który ostatecznie obniża jego dostosowanie). U gatunków, których samice nie śpiewają, widzimy znaczące różnice w działaniu mięśni krtani u samców – choć w młodości samce i samice nie różnią się pod tym względem, to w czasie dorastania mięśnie samców stają się superszybkie, podczas gdy mięśnie samic pozostają „wolniejsze”.

Co ciekawe, istnienie superszybkich mięśni nie ogranicza się wyłącznie do za-

śpiewanego świata ptaków. Superszybkie mięśnie działające w podobny sposób posiadają również bardzo odległe ptakom organizmy, takie jak nietoperze, węże (grzechotniki) czy niektóre ryby morskie. Jest to przykład konwergencji w ewolucji, czyli procesu, w którym ewolucja „wpada na te same pomysły” więcej niż raz u różnych organizmów.

Poznać ojca po głosie

Poza rozbudowaną krtanią dolną i superszybkimi mięśniami, na śpiew ptaków mogą wpływać także inne ich cechy anatomiczne, takie jak rozmiary ciała albo wielkość dzioba. Ptaki, które mają mocniejsze dzioby – pozwalające im np. rozłupywać ziarna – nie mogą śpiewać tak szybko jak kanarki.

Środowisko także nakłada ograniczenia na możliwości wokalizacji. Śpiew to przecież komunikacja, a każda komunikacja zachodzi przez pewien „kanał”. Jest nadawca, jest odbiorca. Nadawca wysyła sygnał z nadzieją, że w przestrzeni wiadomość dotrze do odbiorcy. Ale nie byle jakiego odbiorcy. Adresat jest dobrze określony. Może być nim na przykład samica, którą śpiew ma poinformować o samcu gotowym do godów, lub inny osobnik tego samego gatunku, który będzie od teraz wiedział, że dane terytorium jest już zajęte – zajął je śpiewający samiec, a intruz powinien szukać szczęścia gdzie indziej.

W istocie eksperymenty w naturze pokazały, że zaloty i obrona terytorialna to dwie główne funkcje śpiewu. Np. samice wydają się aktywnie wybierać śpiewające samce, nie decydując się na pierwszego lepszego – czasem o atrakcyjności samca w ich oczach decyduje to, jak bogaty jest jego repertuar piosenek. Samice potrafią też rozróżnić śpiew obcych gatunków, jak i śpiew własnego ojca od innych osobników tego samego gatunku – dzięki czemu unikają kazirodztwa. A samce sztucznie pozbawione zdolności do wokalizacji nie są w stanie obronić swojego terytorium przez dłuższy czas. Choć znaczenie ma sama obecność danego zwierzęcia, to brak możliwości śpiewu naraża go na częstsze ataki ze strony konkurencji.

Co więcej, wokalizujące zwierzę musi mieć pewność, że sygnał dotrze do adresata. Tymczasem środowisko zewnętrzne jest pełne przeszkód w postaci drzew i innych obiektów, które mogą znieszczać rozchodzący się dźwięk. Sygnał danego osobnika może się również nało-

żyć na śpiewy kolejnych ptaków – tego samego, jak również innych gatunków. Nietrudno to sobie wyobrazić, gdy pomyślimy o sytuacji, kiedy kilka osób naraz próbuje coś do nas powiedzieć. Ptaki muszą więc odznaczać się ogromną zdolnością do odróżniania dźwięków, by rozpoznać „swoich”. Jednak nawet najdrobniejsze zmiany w otoczeniu (np. w wilgotności powietrza lub pojawienie się dodatkowych dźwięków, wywołane wprowadzeniem na dany teren nowego gatunku) mogą zmusić ptaki do dostosowania się. Obserwacje pokazują, że ptaki śpiewające potrafią korygować swoje piosenki, wprowadzając do nich nowe elementy, jeśli środowisko (kanał komunikacji) również ulegnie modyfikacji.

Agenci w skorupce

Ptaki śpiewające i te nieśpiewające wydają oczywiście także inne, proste dźwięki określane jako zawołania, z których każde niesie jakieś znaczenie. Jak wiadomo, kukułki należą do pasożytów lęgowych – zamiast uczciwie dbać o swoje młode, składają jaja w gniazdach należących do osobników innych gatunków ptaków. Temu zachowaniu często towarzyszy także usuwanie jaj gospodarza. Co więcej, zarówno jaja kukułek, jak i ich młode krótko po wykluciu mogą bardzo upodabniać się do innych gatunków – dlatego innym ptakom niełatwo się bronić przed kukułkami. Część z nich nauczyła się zwalczać taką formę pasożytnictwa dzięki tzw. zawołaniom inkubacyjnym.

Wydając określone dźwięki podczas opieki nad jajami, rodzice uczą swoje niewyklute potomstwo swego rodzaju „hasel”, dzięki którym pisklęta mogą być odróżnione od kukułczych podrzutków. Niektóre chwostki – drobne ptaki występujące w Australii i na okolicznych wyspach – które dopiero co wyszły ze

skorupki, wydają dźwięki przypominające matczyne zawołania inkubacyjne – w ten sposób matka może rozpoznać swoje dziecko, a odrzucić obco brzmiące kukułcze potomstwo. Oznacza to, że już rozwijające się pod skorupką zarodki „obserwują” otoczenie.

Badania pokazują także, że u ptaków odpowiednie zawołania mogą zmieniać gospodarkę hormonalną zarodka tak, że po wykluciu będzie on lepiej przystosowany do danych warunków otoczenia. Powstaje jednak pytanie, czy wspomniane zawołania inkubacyjne są intencjonalne – to znaczy czy rodzice faktycznie chcą poinformować o czymś jeszcze niewyklute potomstwo, czy może robią to mimochodem? Wstępne badania zdawały się potwierdzać, że zeberki wołające w gniazdach, w których znajdowały się jaja, celowo informują zarodki o zmieniającej się temperaturze. Jednakże późniejsze eksperymenty podważyły te wnioski. Choć wydawane przez dorosłych dźwięki miały wpływ na potomstwo, to nie były one przeznaczone wyłącznie dla niego. Okazało się, że ptaki używają tych zawołań także poza gniazdem, gdy temperatura otoczenia przekracza 35 stopni Celsjusza.

Wydaje się więc, że rodzice nie kierują tych zawołań celowo akurat do swoich dzieci, by te lepiej przygotowały się do przyszłego życia. To raczej zarodki zdają się „podłuchiwać”, co się dzieje poza ich zaklętym w skorupce światem. Ale być może przyszłe badania pokażą, że w innych warunkach dorosłe osobniki intencjonalnie przekazują jakieś informacje zarodkom, przy użyciu innych dźwięków – w tej kwestii wiele pozostaje jeszcze do ustalenia.

Wyjście poza mózg

Ktoś mógłby zaprotestować, że przyglądając się ptasim śpiewom, nie zajrzeli-

śmy zbyt głęboko do najważniejszego organu odpowiedzialnego za śpiew – czyli mózgu. Faktycznie, ostatecznym źródłem wydawanych przez ptaki dźwięków jest właśnie układ nerwowy, a zapamiętane czy też nauczone piosenki są zapisane właśnie gdzieś w mózgu. Gdy ptak chce rozpocząć śpiewanie, odpowiednie sygnały z mózgu pobudzają mięśnie i inne organy do wydawania dźwięków. To mózg kontroluje całą sekwencję nutek wydobywających się z dziobów. W istocie mózg odgrywa niebagatelną rolę w uczeniu się młodych i śpiewaniu przez dorosłych – uszkodzenie niektórych struktur uniemożliwia naukę, a odpowiednie pobudzanie innych obszarów może nawet spowodować, że ptak nauczy się wydawać konkretne dźwięki. Zlokalizowano nawet strukturę, bez której papugi nie były w stanie uczyć się wydawania ludzkich słów!

Mózg jest więc bardzo ważny, jednak warto zapamiętać, że na nim cała historia ptasiego śpiewu wcale się nie kończy. David Marr, jeden z pionierów neuro nauki obliczeniowej, zajmującej się ilościowym podejściem do badania układu nerwowego, napisał, że badanie umysłu poprzez badanie samych neuronów jest jak badanie latania u ptaków przez studiowanie samych piór.

Obecnie naukowcy coraz częściej akcentują potrzebę badania całych organizmów oraz środowisk, w których one żyją, by zrozumieć tak skomplikowane zachowania jak uczenie się śpiewu i ptasi śpiew sam w sobie. A ponieważ ptaki śpiewające są jednymi z zaledwie kilku grup zwierząt, które potrafią uczyć się wokalizować, jest szansa, że te badania powiedzą też coś na temat ludzkiej mowy i tego, jak ona wyewoluowała.

© DANIEL KOZŁOWSKI

W Sądzie Rejonowym w Chełmie I Wydziale Cywilnym w sprawie o sygn. akt I Ns 182/21 z wniosku Marii Rosy toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Janie Kapysiu, nazwisko rodowe Kapyś, s. Jana i Genowefy z d. Podkańskiej, zm. 27 lutego 2019 r. w Dubience, ostatnio stale zamieszkałym w Dubience.

Wzywa się spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się do Sądu i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie zostaną pominięci w postępowaniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Sąd Rejonowy w Międzyrzeczu zawiadamia o toczącym się postępowaniu w sprawie o sygn. akt I Ns 335/21 z wniosku Jerzego Sobczyńskiego i Jadwigi Sobczyńskiej o stwierdzenie nabycia spadku po Józefie Sobieskim, s. Antoniego i Bronisławy, zm. 1 października 2021 r. w Skwierzynie, ostatnio stale zamieszkałym w Przytocznej.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców wyżej wymienionego spadkodawcy, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosili się do Sądu i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.



KONRAD I DUCHY OPIESZAŁE

Teatr pozostał sceną publiczną, krytycznie interweniującą
w życie narodu. Jest wierny najważniejszej rodzimej tradycji,
dla której matecznikiem są „Dziady”
– polityczny i metafizyczny zamach na wszystko.

DARIUSZ KOSIŃSKI

Jan Peszek jako Nowosilcow w scenie
Balu u Senatora w spektaklu „Dziady”.
Reż. Maja Kleczewska. Kraków, 2021 r.



BARTEK BARCZYK / MATERIAŁY PRASOWE TEATRU IM. SŁOWACKIEGO

INSCENIZACJA „DZIADÓW” W TEATRZE im. Juliusza Słowackiego wydobywa tkwiące w rdzeniu arcydramatu, zagłuszone przez czas i deklamację, rozpaczliwe poczucie bezsilności. Odsłoniła źródło tekstu Mickiewicza i kazała się publiczności w nim przejrzeć. Niektórzy patrzą z fascynacją, inni odwracają wzrok. Jeśli to nie jest prawdziwy teatr dramatyczny, to nie wiem, co nim jest.

Planowałem zobaczyć ten spektakl na pierwszym popremierowym secie, ale grudzień mi się wywalił na covidowej grudzie, a że „Dziady” w reżyserii Mai Kleczewskiej stały się przedmiotem masowego zainteresowania, to trochę trwało, zanim dzięki pomocy ludzi życzliwych udało mi się wciśnąć na to wyprzedane przedstawienie.

Inna rzecz, że o krakowskich „Dziadach” można by całkiem sporo napisać, nawet ich nie oglądając. Wszak większość tego, co się w związku z nimi wydarzyło i wciąż wydarza, wcale nie wymaga ich zobaczenia. Począwszy od stanowiska oślawionej kurator Barbary Nowak, która z uporem godnym lepszej sprawy wywalczyła sobie historyczną rolę uosobienia kulturowej zaćmy, przez standardowo nabzdyczone złośliwości ministra wicepremiera profesora, po pełne troski i obłudy głosy opozycji krajowej i miejskiej, nagle bardzo przejętej losem teatru, o którego istnieniu przez lata ci sami ludzie byli łaskawi zapominać – wszystko to i wiele jeszcze można spokojnie omawiać, komentować i interpretować, nie zadając

sobie trudu spędzenia niespełna trzech godzin na widowni przy placu św. Ducha.

Miałem nawet taki przewrotny (jak mi się zdawało) plan – skoro w sprawie tego przedstawienia tak gardlują ci, którzy znają je tylko z donosów, to może i ja odniosę się do niego na „niewidzianego”, dowodząc w ten sposób, że performans medialny stał się ważniejszy od scenicznego. Redakcja „Tygodnika” pilnowała jednak standardów rzetelności i powstrzymała te niewczesne i niemądre zapędy. Słusznie: teatralne przywiązanie do tego, by najpierw samemu zobaczyć i usłyszeć, a dopiero potem zabierać głos, okazuje się w zniewolonym przez media świecie niespodziewanie wywrotowe i progresywne.

Dzień Teatru Publicznego

Premiera „Dziadów” odbyła się w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie 19 listopada 2021 r. W materiałach prasowych datę tę łączono ze 120. rocznicą prapremierowej inscenizacji arcydramatu Mickiewicza, którą na tej samej scenie przygotował Stanisław Wyspiański. Ta została jednak pokazana po raz pierwszy w istotnie Dziadowym terminie 31 października 1901 r. Premiera z roku 2021 została więc przesunięta o prawie trzy tygodnie w stosunku do właściwej rocznicy, co być może wynikało z jakichś wewnętrzteatralnych powodów, a może było (jak bardzo chciałbym myśleć) świadomie wysłanym, choć ostrożnie ukrytym komunikatem.

Dzień 19 listopada to bowiem zupełnie inna rocznica – rocznica pierwszego przedstawienia polskiej zawodowej sceny publicznej, które odbyło się w Warszawie w roku 1765. W zmiennym roku 2015 obchodziliśmy ją po raz 250. i to z tej okazji Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszeńskiego, w którym pod dyrekcją Doroty Buchwald miałem zaszczyt pracować, ogłosił Rok Teatru Publicznego. Strasznie nam się wtedy oberwało, że wymyślamy jakiś teatr publiczny, zamiast jak Bóg i Patron przykazali obchodzić jubileusz teatru narodowego. Na nasze argumenty, że narodowe ma mnóstwo okazji do tego, by być czczone, a scena publiczna jako szczególnie dobro wspólne wymaga uwagi i ochrony, oponenci byli głusi, najwyraźniej wyczuwając nadchodzące zmiany.





Scena w Teatrze im. Juliusza Słowackiego w Krakowie.

Te oderwane sensacje słabo układały mi się w całość i brzmiały jak aktualizacyjne uproszczenia, o których istnieniu przebiegliwali nawet ludzie życzliwi temu przedstawieniu.

Teraz już wiem, że żadnych aktualizacyjnych uproszczeń w nim nie ma. Jest coś, co teatr dramatyczny robi od początku swego istnienia i co wyznacza jego sens: przemyślana, logiczna, zgodna z podstawowymi wyznacznikami tekstu interpretacja sprawiająca, że słowna kompozycja (w tym przypadku pochodząca sprzed wielu lat) staje się ważna dla widzów oglądających ją tu i teraz.

Cała dyskusja o prawie realizatorki do obsadzenia w roli Konrada i młodych więźniów aktorek jest bezprzedmiotowa, ponieważ ta decyzja jest celowa, funkcjonalna i skuteczna jako część spójnej i przekonującej interpretacji i inscenizacji tekstu. Innych kryteriów teatr dramatyczny nie wymaga i nie akceptuje, bo gdyby naprawdę chciał zająć się wystawianiem, „jak autor napisał”, to musielibyście, drodzy tradycjonałści, zawsze siedzieć na „Dziadach” godzin dwanaście, a „Antygonę” oglądać tylko pod gołym niebem w święto pogańskie.

Wiem, wiem – tego typu doprowadzanie waszego postulatów do skrajności usiłujecie oddalić, mówiąc coś o „nienaruszalnych wyznacznikach tekstu”. Mickiewicz nie napisał roli Konrada dla kobiety – zapewne. Ale zgodzicie się, że napisał ją dla człowieka, który jest w stanie odczuć i z całym przekonującym autentyzmem wypowiedzieć rozpaczliwe poczucie bezsilności, rodzące się w kimś, komu odmawia się wartości, głosu, a nawet prawa do istnienia w tym, co rozpoznaje jako najbardziej własne. Dziś taką osobą jest polska kobieta, która właśnie przechodzi dokładnie to, co stanowiło doświadczenie bohaterów „Dziadów części III”.

I nie, nie chodzi o sugerowanie, że polski rząd dzisiejszy to banda Nowosilców. Chodzi o stan egzystencjalnej, etycznej i intelektualnej rozpacz, która budzi się, gdy jest się pozbawioną wpływu na to, co decyduje o życiu własnym, jego wartości i sensie. To jest stan, w jakim dziś żyje wiele obywateli i obywateli Polski, którym większość przy pomocy demokracji (czyli zgodnie z klasyczną definicją Ary-

→ O ile na początku roku jubileuszowego miałem trochę wątpliwości, czy nie przesadzamy z tym prymatem publicznego, o tyle teraz wiem, że było to nie tylko słuszne, ale wręcz prorocze. Z perspektywy wszystkiego, co wydarzyło się w „polityce” kulturalnej po jesieni 2015 r., tamten Rok Teatru Publicznego wydaje się łabędzim śpiewem wizji kultury opartej na różnorodności i wielości, dopuszczającej, a nawet szczególnie zaciekawionej tym, co z dorobku przeszłości wydobywa tony i sensory nowe, niesłyszane, zaskakujące, bo tylko takie nie pozwalają dziedzictwu zastępnąć w martwocie skansenu. Na tej scenie publicznej polskość nie miała być monokulturą wytwarzaną ustawami, szantażem ekonomicznym i lobotomią, ale stanowiła wielość wciąż będącą w procesie samopoznania i samostanowienia.

Po ponad sześciu latach widać wyraźnie, że o ile inne media poddały się procesowi nacjonalizacji (wzorem jest tu oczywiście narodowa telewizja Jacka Kurckiego), o tyle teatr mimo wszystko pozostał wierny swojej tradycji, sięgającej czasów Stanisława Augusta, Franciszka Bohomolca i Wojciecha Bogusławskiego. Jest nadal sceną publiczną, krytycznie in-

terweniującą w życie narodu, a nie ślepo ten naród czczącą. Wbrew temu, co głosi fałszywa pedagogika obecnej władzy, w ten sposób pozostał wierny swym największym dokonaniom i najważniejszej rodzimej tradycji, dla której matecznikiem są „Dziady” Adama Mickiewicza – polityczny i metafizyczny zamach na wszystko, pełen wahań i sprzeczności, niedokończony, otwarty, w ruchu.

Jeśli twórcy nowej krakowskiej inscenizacji nie zrobili tego świadomie, to ustalenie daty jej premiery na 19 listopada, Dzień Teatru Publicznego, miało głęboki sens i polityczną wagę, potwierdzone przez wszystko, co wydarzyło się później.

Nazywam się Milijon

Potwierdzone też przez samo przedstawienie. Nie ukrywam – wchodziłem do sali Teatru Słowackiego z niejakim niepokojem. Wiele wiedziałem – zbyt wiele. Starałem się nie czytać innych recenzji, ale mimo to wiedziałem, jakie są zasadnicze punkty tej inscenizacji: że Konrad i współwięźniowie to kobiety, że wspólnota odprawiająca dziady to współczesna Polska, że Ksiądz Piotr poszedł w biskupy krakowskie i seksualnie molestuje Ewę.

stoteles – tyrańskiej władzy nad mniejszością) odmawia prawa do realizacji własnych wartości, narzucając swoje jako jedyne publicznie akceptowalne.

„Dziadów część III” powstała w roku 1832 jako wyraz takiego właśnie stanu i zarazem próba jego przewalczenia – próba nieukończona, niespełniona, bo jej finał zależy od publiczności, której w twarz zostaje rzucony ten krzyk rozpacz. „Dziady” Mickiewicza w Teatrze Słowackiego (cóż za wspaniałe zestawienie!) robią to samo 190 lat później, spełniając w ten sposób podstawowe kryterium teatru dramatycznego i jednocześnie wpisując się w najlepsze tradycje polskich inscenizacji arcydramatu. Między Kleczewską a Wyspiańskim, Schillerem, Dejmkiem i Swinarskim – a zatem panteonem największych twórców polskiego teatru dramatycznego – nie ma zasadniczych różnic: wszyscy na sposób właściwy im i ich czasom realizowali podstawową misję, którą Adam Mickiewicz włożył w usta swojego bohatera – przywróć nam „Dziady”.

Jeśli chce się o czymś wypowiadać, dobrze jest na ten temat coś wiedzieć. Osoby zajmujące się edukacją i kulturą taką prostą regułą powinny chyba respektować. Jeśli więc chce się mówić i pisać publicznie o tak podstawowym tekście polskiej kultury, jak „Dziady”, i o takim ważnym tej kultury medium jak teatr – dobrze byłoby wcześniej przejrzeć podstawowe książki (polecam szczególnie wydaną właśnie „Kryptę Gustawa” Zbigniewa Majchrowskiego), albo choćby wygłaść historię sceniczną „Dziadów”. Przypuszczam za ten belferski ton. Nie lubię go u innych i staram się nie używać. Ale rozumiem teraz dobrze lekarzy, którzy słuchają bzdur wypowiedzianych z przejęciem przez antyszczepionkowców.

Zajmuję się teatrem zawodowo od ponad trzydziestu lat, mam czelność sądzić, że trochę o jego historii wiem, więc bardzo uprzejmie proszę panów ministrów i panie kuratorki, byście nie wypowiadali się z taką pewnością na tematy, o których nie macie bladego pojęcia. Jeśli musicie, a większość daje wam wciąż do tego prawo, to realizujcie swoją demokratyczną politykę, która sprawia, że duża część mieszkańców tego kraju niemal nie jest już w stanie tu wytrzymać. Proponujcie młodzieży unikanie teatru (szkudnie – teatr nie powinien być oglądany w ramach wycieczek przymusowych),

Mickiewicz nie napisał
roli Konrada dla kobiety
– zapewne. Ale napisał ją
dla osoby, która jest w stanie
wypowiedzieć rozpaczliwe
poczucie bezsilności.

**Dziś taką osobą jest polska
kobieta właśnie.**

nie otaczajcie „opieką” jednej z najbardziej zasłużonych polskich scen (słusznie – powstała i była wielka jako miejska, niech miasto Kraków wreszcie zajmie się swoim dziedzictwem, a nie igrzyskami). Ale przestańcie mówić o czymś, o czym nic nie wiecie. Życie w waszej Polsce jest i tak dość ciężkie.

Każdy w swojej drodze

Ludzie zajmujący się współcześnie działalnością rzemieślniczą i twórczą, jaką jest inscenizacja tekstu dramatycznego, mają do dyspozycji wiele strategii. Kleczewska wybrała tę, która polega na dramaturgicznej rekompozycji materiału wyjściowego w taki sposób, by stworzyć przy pomocy dawnego dzieła diagnozę współczesności i skonfrontować ją z widzami, odwołując się jednocześnie do ich pamięci i wyobrażeń dotyczących owego dzieła oraz do ich odczuć i rozpoznać dotyczących współczesności.

Zasadą takiej strategii jest właśnie konfrontacja – nie narzuca się diagnozy jako jedynej obowiązującej (jesteśmy tu więc na antypodach propagandy), ale prowokacyjnie stawia ją przed oczyma, by wywołać reakcję. Podobnie nie respektuje się przyjętych za „oczywiste” i nienaruszalne elementów i cech dzieła, ale zastępuje je wyrazistymi przesunięciami, sprawdzając najpierw reakcje samego tekstu i wcielających go aktorek i aktorów, a następnie reakcje publiczności. Uznawani mistrzami takiej strategii byli (każdy na swój sposób) Konrad Swinarski i Jerzy Grzegorzewski, więc Kleczewska i dramaturg Łukasz Chotkowski żadnych pod tym względem rewolucji nie proponują. Nie dokonują też w ten sposób żadnego na tekście gwałtu. Wprost przeciwnie!

Gdy Dominika Bednarczyk (wspaniała Konrad!) mówi w Wielkiej Improwizacji

słowa o czuciu płodu i o przyciskaniu do łona, jest bardziej wiarygodna niż jakikolwiek męski wykonawca! Konrad wszak (co mu wrogowie romantyzmu zarzucali) jest „kobięcy”, a może nawet „zniewieściany”. Więc gdy jego „histeryczną” rozpacz wypowiada aktorka, brzmi ona zaskakująco autentycznie i w pełnej zgodzie z kulturowymi wzorami kobiecości. Gdy erotyczną mistykę widzenia Ewy przejmuje Książd Piotr, wypowiadając w scenie gwałtu słowa ożywionej Róży, to nie ma w tym fałszu, ale jest wydobywanie przemocy, którą zawsze podsiągają mistyczne-erotyczne fantazje. I wreszcie (bo to interpretacja najbardziej ryzykowna) – gdy Książd Piotr okazuje się dręczycielem Konrada, a jego „Widzenie” zyskuje status przemocowego głosu „władzy duchowej” narzucającej własną interpretację rzeczywistości, tekst nie protestuje, ale poddaje się temu zabiegowi i odślania swoje wcale nieoczywiste znaczenia (kiedyś o tej ciemnej stronie „Widzenia” rewelacyjnie pisał właśnie Majchrowski).

Czy publiczność te przesunięcia rozpoznaje jako trafne w odniesieniu do swojego doświadczenia rzeczywistości? To już od publiczności i jej doświadczenia zależy. Ale w polskim teatrze dramatycznym, teatrze inteligencji według rozumienia Wyspiańskiego i Swinarskiego, chodzi o to, żeby myśleć („najcenniejszy to podarunek, jaki można otrzymać”). „Dziady” nie zostały stworzone, by uczyć się ich na pamięć i wykonywać z namaszczeniem na akademiach szkolnych. „Dziady” – arcydramat polskiego teatru, jego szczyt i matecznik jego swoistości – zostały stworzone dla tych, którzy mają przyzwyczajenie myśleć i którym nie wystarcza Kościół. Zostały stworzone (słowa Mickiewicza!), by „pobudzać, a raczej zniewalać do działania duchy opieśsze”.

Więc choć mój tekst można by uznać za spóźniony, to jest też przecież przedwczesny. Nie sposób dziś powiedzieć, czy „Dziady” wystawione w Teatrze Słowackiego w Dzień Teatru Publicznego trafią w swój czas i na swoją publiczność. Klaudiusz już wprawdzie wstał, ale ostatnie, wspaniałe zaskakujące słowa tej inscenizacji zdają się wypowiadać niepewność. Między przeszłością wspomnienia i niejasną zapowiedzią snu lśni wspaniała miedzią scenografii Katarzyny Borkowskiej nasze teraz. Scena wielka otwarta.

© DARIUSZ KOŚIŃSKI

Trzecia młodość

DOROTA KOZIŃSKA

Sir Thomas Beecham szydził bezlitośnie, że brzmienie tego instrumentu kojarzy mu się z odgłosem kopulacji dwóch szkieletów na blaszanym dachu. Przy innej okazji porównał je z tłuczeniem widelcem o pręty klatki dla ptaków.

KIEDY NA PRZYCIASNYM JUŻ FIRMAMencie gwiazd wykonawstwa historycznego rozbłysła supernowa w osobie Jeana Rondeau, krytycy wpadli w konfuzję. Jedni okrzyknęli rozczochranego Francuza muzycznym symbolem seksu i pierwszym hipsterem przy klawesynie. Drudzy prychnęli lekceważąco, że Rondeau, mimo niewątpliwej biegłości technicznej, jest osobnikiem niedojrzałym, niepotrzebnie udziwnia swoje interpretacje i z braku lepszych pomysłów kreuje się na klawesynowego obrazoburcę.

Dopiero po jakimś czasie podniosły się pierwsze głosy życzliwego sprzeciwu. Poważni recenzenci – zamiast patrzeć na Rondeau – zaczęli wnikliwie go słuchać. I wkrótce do nich dotarło, że być może zetknęli się z forpocztą kolejnego przełomu w dziejach tego tajemniczego instrumentu. Zrozumieli, że w grze młodego Francuza nie ma nic z narcyzmu i ostentacji. Jej dziwaczność jest tylko pozorna – w gruncie rzeczy odsłania kolejne warstwy prawdy o autentycznym brzmieniu dawnej twórczości klawesynowej, pisanej na instrumenty strojone według dawnych temperacji, na które ucho i mózg współczesnego odbiorcy wciąż reagują opornie.

Przez radio

W tekście dołączonym do swej najnowszej płyty „Melancholy Grace”, zawierającej utwory XVI- i XVII-wiecznych klawesynistów włoskich, flamandzkich i angielskich, Rondeau porównał tę muzykę do dawno umarłych gwiazd, których światło dopiero teraz dotarło do Ziemi. To, co widzą muzyczni astronomowie, nie zawsze jest tym, co chcieliby ujrzeć. Żeby zbliżyć się do sedna, trzeba zmienić perspektywę obserwacji, odrzucić dotychczasowe teorie, sięgnąć po inne narzędzia.

Trudno o cenniejsze metafory u trzydziestoletniego zaledwie wirtuoza, który po raz pierwszy usłyszał klawesyn przez radio, kiedy miał lat sześć, i z miejsca oświadczył rodzicom, że tym chce się żyć. Grą na instrumencie, który wydaje takie właśnie dźwięki. Miał szczęście urodzić się w odpowiedniej rodzinie, która nie potraktowała tej deklaracji jako zwykłego dziecięcego kaprysu. Mały Jean został uczniem Blandine Verlet i przez kolejną dekadę zgłębiał tajniki klawesynu pod okiem jednej z najwybitniejszych, a zarazem najwrażliwszych interpretatorek twórczości François Couperina. Nabyte u niej umiejętności szlifował wpięty w Konserwatorium Paryskim, później zaś w londyńskiej Guildhall School of Music. Równolegle uczył się gry na organach, improwizacji jazzowej i techniki *basso continuo*, opanował też podstawy sztuki dyrygenckiej.

Błyskotliwa kariera Rondeau rozpoczęła się na dobre w roku 2012: od wygranej w konkursie klawesynowym przy Festiwalu Muzyki Dawnej w Brugii. Dwa lata później Jean został laureatem Prix des Radios Francophones Publiques dla najlepszego młodego solisty. Wkrótce później założył własny zespół jazzowy Note Forget, z którym występuje jako pianista. W 2016 r. skomponował ścieżkę dźwiękową do kinowego przeboju „Paula” w reżyserii Christiana Schwochowa – filmowej biografii malarzki Pauli Modersohn-Becker, jednej z prekursorów niemieckiego ekspresjonizmu. Wydany kilka miesięcy temu album „Melancholy Grace” jest już siódmym w dorobku klawesynowego *enfant terrible* – od czasu debiutanckiej płyty „Vertigo” (2015) z muzyką dwóch mistrzów francuskiego baroku, Jeana-Philippe’a Rameau i Josepha-Nicolas’a Pan-crace’a Royera. Płyty, która w rzeczy sa-

mej przyprawiła krytykę i melomanów o zawrót głowy – z zachwyty bądź oburzenia.

Zachwyt ostatecznie przeważał, można się więc spodziewać kolejnego nawrotu zainteresowania instrumentem, który przyszedł na świat w tajemniczych okolicznościach, dorobił się licznej rodziny, u szczytu chwały popadł w niełaskę, po czym niespodziewanie się odrodził – z początku w formie niepodobnej do żadnego z poprzednich wcieleń. Zapewne też nigdy nie uda się prześledzić jego historii w szczegółach: m.in. za sprawą pewnego handlarza antykami i wyjątkowo zdolnego fałszerza, który napsuł krwi niejednemu instrumentoznawcy.

Kuzyn cytry

Klawesyn jaki jest, każdy widzi: trochę podobny do fortepianu, działa jednak na całkiem innej zasadzie. Naciśnięcie klawisza w fortepianie powoduje uderzenie struny specjalnym młoteczkim. W klawesynie dźwięk generuje mechanizm klawiszowy wyposażony w tzw. skoczki z piórkami, które szarpią struny nad płytą rezonansową (jeśli kto ciekaw, jak trafnie opisać ów mechanizm językiem poezji, niech zajrzy do „Sonetu 128” Szekspira). Pod względem systematycznym z klawesynem jest trochę jak z wielorybem – trochę podobnym do ryby, w rzeczywistości jednak najbliższym spokrewnionym z hipopotamem. Klawesyn, choć fortepianowi podobny, w istocie jest bliskim kuzynem cytry i nieco dalszym powinowatym gitary. Instrumenty z pionowym ustawieniem strun, popularne na przełomie XVI i XVII wieku, nosiły zresztą nazwę klawicyterium, co można z grubsza przetłumaczyć jako „klawiszowa cytra”. Do tego właśnie rodzaju zalicza się najstarszy zabytek, który dotrwał do naszych czasów (niestety bez mechanizmu klawiszowego), zbudowany około 1470 r., zapewne w niemieckim Ulm.

Pierwsza wzmianka o klawesynie pochodzi jednak z Włoch, z 1392 r., i dotyczy wynalazku niejakiego Hermanna Polla, nazwanego przezeń *clavicembalum*. Sądząc z opisu, klawicymbał Polla mógł przypominać instrument, na którym gra jeden z aniołów przedstawionych na płaskorzeźbie ołtarzowej katedry w Minden w Nadrenii Północnej-Westfalii (1425). Wiele przesłanek wskazuje, że historia klawesynu sięga jeszcze głębiej w przeszłość, a pewne rozwiązania techniczne

Jean Rondeau, wrzesień 2018 r.



MATERIAŁY PRASOWE ORCHESTRA OF ST. LUKE'S

wywodzą się z konstrukcji średniowiecznych organów. Najstarszy kompletnie zachowany „prawdziwy” klawesyn powstał w roku 1521 w warsztacie któregoś z włoskich budowniczych, którzy z czasem zasłynęli z konstrukcji instrumentów jednomanuałowych, o miękkim, lecz niezbyt donośnym tonie, idealnych do akompaniowania śpiewakom.

Przełomowe innowacje techniczne – m.in. drugą klawiaturę – wdrożyli budowniczy flamandzcy z rodziny Ruckerów, którzy prowadzili swój warsztat w Antwerpii. Solidnie skonstruowane i donośnie brzmiące instrumenty z Flandrii były też wykwintnie zdobione i opatrzone łacińskimi sentencjami. Rozwiązania wprowadzone przez Flamandów zostały później rozwinięte przez bu-

downiczych francuskich, którzy zaczęli zaopatrywać swoje instrumenty w tzw. rejestry, czyli mechanizmy regulujące dynamikę i barwę dźwięku. Dalsze udoskonalenia konstrukcyjne szły w stronę zróżnicowania brzmienia (instrumenty niemieckie, wychodzące często spod ręki budowniczych organów) bądź też zwiększenia potęgi i soczystości dźwięku (klawesyny angielskie, za których specyfikę odpowiadają przede wszystkim dwaj XVIII-wieczni budownicy z Europy kontynentalnej, Alzatzczyk Jacob Kirkman i Szwajcar Burkat Shudi).

Z instrumentu solowego i kameralnego klawesyn stopniowo urosł do rangi podstawy orkiestry barokowej i najważniejszego narzędzia *basso continuo*. Wciąż jednak pozostawał wszechstronny: pod

cichutką postacią szpinetu krył się po domach muzycznych miasteczek; jako lekki, poręczny wirginał służył w pierw rozrywce dobrze wychowanych panien, by z czasem stać się popisowym instrumentem wirtuozowskiej szkoły wirginalistów angielskich; składany w łatwą do transportu skrzynię towarzyszył w podróży wielu sławnym muzykom, m.in. kastratowi Farinellemu, dumnemu posiadaczowi aż dwóch francuskich *clavecins brisés*.

Odrodzenie

A kiedy już się zdawało, że nic nie jest w stanie zagrozić jego potęgze, nadszedł czas upadku. W dobie gwałtownych przemian kulturowych, zapoczątkowanych przez rewolucję francuską, klawesyn uległ przewadze zyskujących coraz większą popularność i nieustannie doskonalonych fortepianów. Porzucone instrumenty niszczały, w paryskim Konserwatorium zaczęto palić klawesynami w piecach.

Niewykluczone, że klawesyn poszedłby całkiem w zapomnienie, gdyby nie utrzymana w niektórych teatrach operowych praktyka wykorzystywania go jako instrumentu towarzyszącego recytatywom. Oraz karygodna działalność pewnego włoskiego antykwariusza nazwiskiem Ludovico Franciolini, który z nieopanowanej żądzy zysku zaczął się trudnić fałszowaniem starych instrumentów, by później sprzedawać je amatorom efektownych sprzętów wyposażenia wnętrz. Specjalizował się w produkcji trzymanuałowych klawesynów przerabianych z rodzimych konstrukcji, ale zdarzało mu się też wymontować mechanizm z nieużywanego *pianoforte* i zastąpić go klawesynowym mechanizmem skoczków zaopatrzonych w piórka, tworząc nieprawdopodobne hybrydy, na które przez długie lata nabierali się późniejsi instrumentoznawcy, gmatwając i tak powikłaną historię klawesynu.

Pierwsze odrodzenie przyszło u schyłku XIX stulecia, niewiele jednak miało wspólnego z dzisiejszą rekonstrukcją dawnych praktyk wykonawczych. Przywrócenie klawesynu do łask próbowano łączyć z wykorzystaniem nowoczesnych technologii i rozwiązań konstrukcyjnych, tworząc instrumenty w ówczesnym mniemaniu →

→ „lepsze”, w rzeczywistości nieprzystosowane do wymogów artykulacyjnych i brzmieniowych twórczości mistrzów minionych epok.

Jednym z pionierów tego ruchu, który więcej miał wspólnego ze stylizacją niż autentyzmem, był angielski muzykolog i antykwariusz Alfred James Hipkins, wielbiony przez George’a Bernarda Shawa za interpretacje utworów Bacha na własnoręcznie odrestaurowanych klawesynach i klawikordach. Krok dalej poszedł urodzony we Francji Arnold Dolmetsch, który stworzył w Anglii jeden z pierwszych na świecie warsztatów produkujących „wierne” kopie dawnych instrumentów. Z klawesynów Dolmetscha korzystała m.in. Violet Gordon-Woodhouse, wybitna wirtuozka instrumentów klawiszowych, która przyczyniła się do sporego wzrostu zainteresowania muzyką dawną. Jej dokonania w tym względzie błędą jednak w porównaniu z imponującą działalnością Wandy Landowskiej, która od początku kariery ściśle współpracowała z paryską wytwórnią Pleyela i po latach starań przekonała jej właściciela, by na specjalne zamówienie skonstruował potężny, dwumanualowy klawesyn z siedmioma pedałami. I tak w 1912 r. powstał słynny „Grand modèle de concert”, na którym Landowska 21 lat później dokonała pierwszego w dziejach fonografii klawesynowego nagrania „Wariacji Goldbergowskich” Bacha.

Do sedna

Nie wszyscy gustowali w walorach „nowoczesnego” klawesynu. Słynny z niewyparzonego języka brytyjski dyrygent sir Thomas Beecham szydził bezlitośnie, że brzmienie tego wynalazku kojarzy mu się

Klawesyn jaki jest, każdy widzi:

trochę podobny do fortepianu,
działa jednak na całkiem
innej zasadzie.
W istocie jest bliskim
kuzynem cytry i nieco
dalszym powinowatym
gitary.

z odgłosem kopulacji dwóch szkieletów na blaszanym dachu. Przy innej okazji porównał je z tłuczeniem widelcem do pieczenia o pręty klatki dla ptaków. Historyzujące ciągoty Landowskiej nie znalazły też uznania u części polskich melomanów. Jarosław Iwaszkiewicz twardo sprzeciwiał się profanacji Bachowskich arcydzieł na „brzęczącym pudle” i wzywał na odsiecz pianistów. Niechć do klawesynu przebijają nawet z prozy poetyckiej Zbigniewa Herberta w zbiorze „Hermes, pies i gwiazda”: trudno uznać przychylność stwierdzenia, że w tej „szafce z orzechowego drzewa” jest „tylko kukułka zaplątana w gąszczu srebrnych liści”.

Stada uwięzionych w klawesynie ptaków wypuścili na wolność dopiero wierni dawnym praktykom muzycy i konstruktorzy związani z drugim odrodzeniem wykonawstwa historycznego, które do Polski dotarło z końcem ubiegłego wieku. Na świecie zaczęło się wcześniej: od przełomowych działań dwóch amerykańskich budowniczych klawesynów, Franka Hubbarda i Williama

Dowda, przede wszystkim zaś Niemca Martina Skowronecka, skromnego nauczyciela gry na flecie z Bremy, którego w 1952 r. ktoś poprosił o renowację zniszczonego podczas wojny klawikordu. Nastąpił czas skrupulatnych badań, rozkładania zapomnianych instrumentów na części pierwsze i porównywania materiału oględzin z traktatami oraz podręcznikami z epoki.

Muzycy i budowniczowie instrumentów doszli do zgodnego wniosku, że lepiej dążyć do sedna, niż udoskonalać. Porzucili praktykę zastępowania drewnianych elementów konstrukcji „nowoczesnymi” częściami z metalu i pleksiglasu. Fortepianowe klawiatury znów ustąpiły miejsca dawnym, lżejszym klawiaturom z epoki, struny stalowe zastąpiono na powrót strunami z żelaza i mosiądzu. Nastąpił czas archeologów zapomnianych brzmień i stylów wykonawczych: wśród nich niekwestionowanego pioniera historycznych praktyk Gustava Leonhardta oraz jego kanadyjskiego ucznia Kennetha Gilberta, znanego z nagrań muzyki Bacha, Scarlattiego, Couperina oraz Rameau. To za ich sprawą klawesyn i jego powinowaci przestali rywalizować z fortepianem, przekonawszy odbiorców do specyficznej barwy, zasad frazowania, dynamiki i artykulacji tych niezwykle instrumentów. Weszliśmy w epokę wirtuozów świadomych, wiernych wnioskowi z lektury traktatów, ufnych bez reszty literze tekstów i partytur.

Ziarno padło na podatny grunt, wykiełkowało i dało początek dorodnym roślinom. Może już czas zebrać plony i przygotować się na odrodzenie trzecie. Jeśli zapowiada je sztuka Jeana Rondeau, kwiaty będą przepiękne.

© DOROTA KOZIŃSKA

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

- **OGÓLNOKLUBOWE**, środa, 26 stycznia, spotkanie z Markiem Kęskrawcem, cykl: Pisz w Tygodniku / online /

- **POZNAŃ**, poniedziałek, 31 stycznia, spotkanie z Leszkiem Wanatem pt. „Las – przestrzeń wolności... Doświadczenie spotkania z przyrodą i jego aktualność w »Zapisach Więziennych« Kardynała Stefana Wyszyńskiego” / online /

REZERWUJ
CZAS!



KLUBTYGODNIKA.PL



STOWARZYSZENIE
IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej na KlubTygodnika.pl/wydarzenia



MATERIAŁY PRASOWE / DISNEY

Willem Dafoe i Bradley Cooper w filmie „Zaulek koszmarów”, reż. Guillermo del Toro. USA 2021 r.

Pomroczność jasna

SEBASTIAN SMOLIŃSKI

Ilekoć słyszę, że jakiś nowy film wreszcie obnaża mit amerykańskiego snu, otwiera mi się nóż w kieszeni.

GUILLERMO DEL TORO ZAADAPTOWAŁ jedną z najśłynniejszych amerykańskich powieści kryminalnych lat 40. Cynizm i rozpacz „Zaułka koszmarów”, historii o ambitnym oszuście i karierowiczu, zaskakująco dobrze oddają ducha naszej epoki.

Del Toro po sukcesie kasowym „Pacific Rim” i czterech Oscarach dla „Kształtu wody” z 2017 r. dostał od studia Searchlight Pictures wolną rękę – rzadkie. Dla każdego reżysera grającego w hollywoodzkiej pierwszej lidze, zależnego od decyzji producentów i komercyjnego potencjału swoich filmów, to wyjątkowa szansa, która może się już nie powtórzyć. Del Toro postanowił zekranizować po-

wieść, którą przeczytał po raz pierwszy w 1993 r.

„Zaulek koszmarów” to kultowe, hipnotyczne dzieło Williama Lindsaya Greshama z 1946 r. Należy do najbardziej mrocznego nurtu amerykańskiej prozy. Zagląda w głąb obłąkanej duszy bohatera i nie oferuje żadnego pocieszenia. Del Toro, wytrawny kinoman, dostrzegł w tym materiale szansę na wskrzeszenie najlepszych wzorców klasycznego kina Hollywoodu: zrealizowanie gęstego psychologicznie dreszczowca, koszmaru dla dorosłych, który będzie wymagał od niego wejścia na nieznane wcześniej terytorium. Jak sam mówił: „Od dziecka miałem obsesję na punkcie prawdziwych

zbrodni i noir, ale jako reżyser zawsze poruszałem się w świecie fantazji i horroru, gdzie czułem się wygodnie. Przystępując do pracy nad »Zaułkiem koszmarów« byłem trochę wystraszony”.

Biorąc pod uwagę ciężar tradycji, do jakiej się odwołuje, podobne obawy wydają się całkowicie zrozumiałe.

Blask kina noir

W amerykańskiej kulturze „noir” to jedno ze słów kluczowych. Czasem określa gatunek, kiedy indziej – rozdział historii kina, wpływającą estetykę lub atmosferę ukazywanych na ekranie nieprzyjaznych miast. Gdy po II wojnie światowej i latach posuchy na francuskie ekrany trafiło mnóstwo hollywoodzkich filmów z lat 40., kinomani zaczęli łączyć kropki i uznali, że wiele z tych czarno-białych kryminałów charakteryzuje pesymistyczna, nierzadko wręcz cyniczna wizja świata. Filmy noir, jak je nazwali, potrafiły twórczo spożytkować zdobycze niemieckiego ekspresjonizmu i odwoływały się do amerykańskiej literatury popularnej, tzw. opowieści *hard-boiled*, kojarzonych zwykle z szorstkimi, ➔

→ małomównymi bohaterami. Rozkwitły zwłaszcza w drugiej połowie dekady, kiedy tysiące wracających po wojnie żołnierzy nie potrafiło odnaleźć się w nowych, pokojowych realiach. Kryzys męskości oraz towarzyszące mu lęki i fobie staną się głównym paliwem napędowym kina *noir*, a podstępna, uwodzicielska *femme fatale* obowiązkowym elementem inwentarza.

Klasyki takie jak „Podwójne ubezpieczenie” Billy’ego Wildera, „Wielki sen” Howarda Hawksa i „Asfaltowa dżungla” Johna Hustona stworzyły świat daleki od zwyczajowego optymizmu musicali i westernów. Zamiast celebracji wspólnoty lub dzielnych pionierów kino *noir* proponuje gorzki indywidualizm i samotność. Nadzieja na lepsze jutro i szczęśliwe zakończenia zostają zastąpione rozczarowaniem, niemożnością ucieczki od przeszłości i przeczuciem, że świat jest zepsuty, a zamieszkujący go ludzie – pozbawieni moralnego kręgosłupa. Kino *noir* w latach 40. i 50. było ciemnym podbrzuszem amerykańskich fantazji o konsumpcji i samorealizacji. Miasto było w nich przestrzenią występku, ale też alienacji; groźną, labiryntową strukturą, w której jednostka może zabłądzić lub się zatracić.

Rządzący losem fatalizm, stylowa melancholia, jaką uosabiał wtedy Humphrey Bogart w prochowcu, i krytyczny potencjał kina *noir* stanowią do dzisiaj źródło inspiracji dla filmowców. Choć pod koniec lat 50. moda na kino czarne zaczęła słabnąć, wraz z rewizją gatunków i wysypem autorskiego kina w latach 70. *noir* powrócił z nową mocą. „Długie pożegnanie” Roberta Altmana i „Chinatown” Romana Polańskiego wykorzystywały stare wzorce, żeby opowiedzieć o nowym kryzysie – o Ameryce, która po aferze Watergate i klęsce w wojnie w Wietnamie straciła resztki dawnej krzepy i optymizmu. Na drugim planie tych zawikłanych fabuł pojawiała się też niebezpieczna myśl, że może cały mit tego kraju został zbudowany na starannie tuszowanym kłamstwie.

„Noir” to jedno ze słów kluczowych.

Czasem określa gatunek, kiedy indziej – rozdział historii kina, wpływową estetykę lub atmosferę ukazywanych na ekranie nieprzyjaznych miast.

Choć atrakcyjność czarnych kryminałów związana jest w dużej mierze z estetyką – z elegancją bohaterów i wnętrza, w których stylowo palą papierosy, z połyskiem retro samochodów i skąpanych w deszczu nocnych ulic – kreowany przez nie mikroświat pozwala na dużo więcej: na pokazanie tych historii, postaci i problemów, które kino popularne zwykle trzyma na odległość lub w najlepszym razie owija w sreberka.

To nie przypadek, że ostatnio widzowie zachwycają się chińskimi filmami *noir*, by wymienić tylko zwycięzcę Berlinale „Czarny węgiel, kruchy lód” Diao Yinana z 2014 r. i „Najczystszy jest popiół” Jia Zhangkego z 2018 r. Niemal od początku był to gatunek mocno wyczułony na nadużycia i deprawację, jakie nieśie ze sobą kapitalistyczny *boom* i pogoń za pieniędzmi.

Duchowa autobiografia

Del Toro to reżyser, obok Alfonsa Cuaróna i Alejandra Gonzáleza Iñárritu jeden z tzw. Trzech Amigos, czyli meksykańskich filmowców, którzy w XXI wieku podbili Hollywood, zgarnęli worki Oscarów i wprowadzili nowatorskie akcenty do kina rozrywkowego. Spojrzenie reżysera „Zaułka koszmarów” na amerykańskie społeczeństwo jest więc po trosze perspektywą przyjeźdźcy, co wydaje się predestynować go do roli twórcy współczesnego filmu *noir*: od Fritza Langa i Wildera aż po Polańskiego, reżyserzy-imigranci często stawiali przed amerykańską publicznością ciemne zwierciadło. Po co jednak przypominać dziś powieść Greshama, szczególnie że rok po wydaniu książki powstała cenniona adaptacja Edmunda Gouldinga z Tyrone’em Powerem w roli głównej?

Nad „Zaułkiem koszmarów” unosi się legenda jego autora, która w latach 40. jesz-

cze nie nabrała obecnego kształtu. Bohaterem powieści jest Stanton Carlisle, młodziuś pracojuący w objazdowym wesołym miasteczku, który staje się zakłamanym guru fałszywych seansów spirytystycznych. Towarzyszymy jego upadkowi moralnemu, psychicznemu i zawodowemu. Dwuznaczna przyjemność, jaką możemy czerpać z lektury, polega na odkrywaniu zła i okrucieństwa tkwiącego w bohaterach. Gresham używa sarkastycznych, bezpośrednich, ale też nierzadko poetyckich fraz. Odzywka Stana do terapeutki, u której siedzi na kozetce, streszcza bezceremonialność i światopogląd poetyki *noir*: „Jestem kanciarzem, do ciężkiej cholery. Skapujesz to wreszcie, zimna, oschła suko? Chcę nabić kabzę. Na tym przeklętym, obłąkanym świecie liczy się tylko szmal”. Wraz z premierą filmu ukazuje się na naszym rynku drugi przekład powieści autorstwa Ryszarda Ośliży, dobrze oddający potoczny, wulgarny styl oryginału.

Ważną rolę w „Zaułku koszmarów” odgrywają tarot (tytuły rozdziałów to karty tworzące Wielkie Arkana), psychoanaliza, cyrkowcy i alkohol – cztery pasje autora, na dobre i na złe. Weteran hiszpańskiej wojny domowej i impulsywny alkoholik, Gresham fascynował się światem wesołych miasteczek i zaprzyjaźnił z jednym z byłych pracowników tych szemranych przybytków. Usłyszał od niego o kluczowej dla powieści figurze „świra”: cyrkowej atrakcji, człowieku tak upodlonym i uzależnionym od alkoholu, że na oczach publiczności odgryza głowy kurczakom i węzom, żeby „zarobić” na gorzałę.

Śledzenie życiorysu pisarza było dla del Toro i współscenarzystki Kim Morgan rodzajem artystycznej strategii. Oboje uznali „Zaułek koszmarów” za „duchową autobiografię Williama Lindsaya Greshama”. W tym sensie jego powieść jawi się jako fikcja zrodzona z bólu i męki, nieudana próba oswojenia demonów, przedzieranie się przez prywatne lęki, uzależnienia i obsesje. W 1962 r., nie odniósłszy już więcej znaczących sukcesów literackich, Gresham popełnił samobójstwo w nowojorskim hotelu, zostawiając wizytówki z napisem: „Bez adresu. Bez telefonu. Bez pracy. Bez pieniędzy. Emerytowany”.

Nowa wersja „Zaułka koszmarów” zrodziła się nie tylko z fascynacji nieco zapomnianym, lecz w pewnych kręgach kultowym pisarzem. Równie ważna okazała się możliwość dopowiedzenia tego, co w adaptacji z 1947 r. zostało wyparte

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego”. Stuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM | Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM
www.radiokrakow.pl

Guillermo del Toro na planie filmu
„Kształt wody”, 2017 r.



ALESSANDRA BENEDETTI / CORBIS / GETTY IMAGES

lub wygładzone, czy to ze względu na cenzurę, czy też w związku z tym, że hollywoodzki gwiazdor nie mógł być na ekranie, mimo wszystko, uosobieniem skrajnego nihilizmu.

Del Toro, to prawda, wywołuje ducha kina klasycznego, stawiając na posuwiste ruchy kamery, stonowaną, lecz jednocześnie wystawną scenografię i pozwoli rozgrzewającą się narrację. Kamera smakuje twarze aktorów, przyglądając im się dłużej i z większym skupieniem, niż współcześnie do tego przywykliśmy. Cate Blanchett w roli kobiety fatalnej ma *glamour* i powab gwiazdy lat 40., porusza się bezszelestnie w szykownych kostiumach i potrafi wywołać niepokój samym spojrzeniem lub zmianą tonu głosu. Nade wszystko jednak „Zaułek koszmarów” w wyrafinowany sposób wskrzesza pesymistyczny język kina *noir*, żeby zanurzyć nas w zły sen właściwy dla naszej epoki; zaserwować nam sesję terapeutyczną, po której wcale nie będziemy czuć się lepiej.

Złota kozetka

Ilekoć słyszę, że jakiś nowy film obnaża mit amerykańskiego snu, otwiera mi się nóż w kieszeni. Marzenie o godnym, dobrym życiu i o tym, że pracowitość musi zostać wynagrodzona, zostało zdyskredytowane w USA dekady temu. W obrębie kina w dużym stopniu właśnie poprzez cykl podważających optymistyczne fra-

zyzy filmów *noir*. Najbardziej radykalnym przypadkiem pozostaje „Bezdroże” Edgara G. Ulmera z 1945 r., nakręcony za grosze, fatalistyczny obraz z życia *everymana*, który w wyniku splotu przypadków kończy jako pozbawiony pieniędzy morderca. „Bezdroże” otoczone jest przez miłośników gatunku kultem; stanowiło też jedną z najważniejszych inspiracji dla del Toro.

O ile jednak bohater filmu Ulmera jest postacią bez mała kafkowską, człowiekiem wepchniętym na siłę w absurdalny świat, o tyle Stanton Carlisle z „Zaułka koszmarów” w znakomitej, powściągliwej interpretacji Bradleya Coopera to ubogi mężczyzna, w którym budzą się demony i który próbuje wziąć los w swoje ręce. Jest on esencjonalną dla amerykańskiej kultury figurą showmana, kuglarza i pozoranta, wypróbowującego na naiwnych odbiorcach swoje sztuczki, udającego kogoś, kim nie jest, fabrykującego swoją tożsamość i wykorzystującego ludzkie słabości dla doraźnego zysku. Del Toro przyznaje, że jego film stanowi odpowiedź na „epistemologiczny koszmar”, w którym aktualnie się znajdujemy, nie potrafiąc rozróżnić prawdy od fikcji i żyjąc w skrajnie podzielonym społeczeństwie, ale zarazem odżegnuje się od bieżących interpretacji politycznych. Trudno jednak nie uznać „Zaułka koszmarów” za kolejny obok „Jokera” Todda Phillipsa film przepracowujący

prezydenturę Donalda Trumpa – manipulatora, który lubi mijać się z prawdą.

Jednym z najważniejszych rekwizytów w filmie jest złota kozetka, na której kładzie się Stan, zachęcony do zwierzeń przez dwulicową psycholożkę graną przez Blanchett. Psychoanaliza jest w powieści Greshama demonizowana, ale kozetka naprawdę okazuje się miejscem, gdzie pacjenci są gotowi wyrazić skrywane sekrety. Stanton Carlisle, do którego koszmarów i bolesnych wspomnień kamera del Toro daje nam dostęp, jest też mrocznym wcieleniem artysty-reżysera, który za cenę biletu roztacza przed widzami widowiskowy spektakl. Del Toro, poświęcając film postaci, z którą niełatwo się identyfikować, zamieszcza też, być może mimowolnie, komentarz do własnej sztuki, w której przewinęła się galeria potworów i groźnych stworów. W „Zaułku koszmarów” potwory mieszkają, rzecz jasna, głęboko w nas.

Nowa adaptacja Greshama wydobywa też ten aspekt, który Hollywood lat 40. potraktowało pobieżnie. Wróżbici z kartami tarota, mentaliści wnikający siłą woli w naszą przeszłość, organizatorzy seansów spirytystycznych, którzy jakoby zapewniają zainteresowanym kontakt ze zmarłymi – wszyscy oni istnieją, bo ich potrzebujemy, bo nasze dusze rozpaczliwie poszukują sensu, okruczeństw transcendencji, wiary w rzeczywistość wymykającą się materialnej kalkulacji.

Fakt, że Stanton Carlisle potrafił zrobić biznes z żerowania na cudzych nadziejach i emocjach, to ironia tej opowieści, ale bynajmniej nie jedyna. W wersji del Toro szczególnie złowieszczo wypada bogacz (Richard Jenkins) pragnący kontaktu z nieżyjącą ukochaną, którą kiedyś skrzywdził. Zapytany przez Stantoną w scenie, której nie znajdziemy w powieści, czy naprawdę uważa, że może kupić za pieniądze spokój sumienia i nadzieję, ten odpowiada po chwili wahania: „Szczere mówiąc, jestem pewien, że tak”.

Tradycji *noir* musi więc stać się zadość. Siła pieniądza jest przecież w stanie przyćmić wszystko i opętać każdą osobę. Ale na krótko. Ani się obejrzymy, a zdamy sobie sprawę, że na końcu koszmarnego zaułka znajduje się ślepa uliczka, z której nie ma wyjścia. © SEBASTIAN SMOLIŃSKI

To już nie ja

ANITA PIOTROWSKA

Dyskretny, zanurzony w powściąganym emocjach i kojących błękitach najnowszy film Ozona mówi o niezgodzie na upokarzającą formę życia.

ZADNYCH PŁACZEK!” – UCINA ANDRÉ, który zamierza poddać się eutanazji. Dla sparaliżowanego po udarze osiemdziesięcioletnia (w tej roli André Dussollier) życie straciło sens i smak. Stało się już tylko przedłużoną, pogłębiającą się udręką. Zanim całkiem przestanie kontrolować swoje ciało i umysł, bohater prosi dorosłą córkę Emmanuèle (Sophie Marceau), a pośrednio też drugą, Pascale (Géraldine Pailhas), o zajęcie się przygotowaniami. Przede wszystkim formalnymi i logistycznymi. Bo najpierw trzeba dopełnić niezbędnych procedur, zwłaszcza że we Francji przeprowadzenie takiej operacji okazuje się niemożliwe. André nie spełnia wymaganych warunków.

W swoim najnowszym filmie „Wszystko poszło dobrze” François Ozon nie rozpatruje eutanazji w świetle pytań o jej moralną dopuszczalność. Na podstawie autobiograficznej powieści Emmanuèle Bernheim, przyjaciółki i współscenarzystki kilku jego wcześniejszych tytułów („Pod piaskiem”, „Basen”, „5x2”), przedwcześnie zmarłej w 2017 r., opowiada konkretną, realnie przeżyty historię.

André Bernheim istniał bowiem naprawdę, był – podobnie jak bohater filmu – paryskim przedsiębiorcą i kolekcjonerem sztuki, który dokonał z pomocą córek podobnego wyboru. „Prawo do godnej śmierci” jest dla nich oczywistością i sformułowanie to pojawia się na ekranie jedynie pod nazwą własną, oznaczającą szwajcarskie stowarzyszenie zajmujące się legalnie „wspomaganiem samobójstwem”. I właśnie pod tym kątem, *stricte* prawnym (jak obejść obowiązujące w danym kraju paragrafy?) i równocześnie emocjonalnym (jak udźwignąć ciężar czyjegoś postanowienia i pomóc bliższemu w jej realizacji?), Ozon problematyzuje eutanazję.

Dla widza patrzącego na tę kwestię z pozycji religijnych może to być co najmniej dyskusyjne, wszak wielkie religie monoteistyczne z zasady odrzucają przerywanie ludzkiego życia „na życzenie”. Jeśli ten wątek pojawi się w filmie na chwilę, to w bardzo zaskakującym kontekście, niezwiązanym bezpośrednio z duchowością głównych bohaterów. Ta prosta historia o niełatwych sprawach powstała poza rozważaniami na temat „cywilizacji śmierci”. Grana przez Hannę Schygullę pracownica instytucji przeprowadzającej eutanazję nie przypomina zerującego na ludzkiej desperacji anioła śmierci. Raczej emanującą babcinym ciepłem przewodniczkę w drodze na drugą stronę. Ciekawy jest też moment, kiedy do akcji wkraczają przybyłe z Nowego Jorku wiekowe kuzynki Andrégo – dla ocalałych z Shoah, wznoszących toast tradycyjnym okrzykiem *lechaim!* (za życie!), każde samobójstwo musi być skandalem.

Dyskutować można z komercyjnym aspektem eutanazji. 10 tysięcy euro za usługę w Bernie plus koszty transportu to luksus, na który stać nielicznych, i już sama myśl o takiej możliwości zapewnia psychiczny komfort. Dlatego społeczno-ekonomiczna sytuacja bohaterów posiada dwuznaczny związek z przebiegiem zdarzeń. Bernheimowie należą do uprzywilejowanej burżuazji, która może sobie pozwolić na wiele, a z pewnością na dobrą opiekę szpitalną czy hospicyjną. Zresztą dzięki temu stan zdrowia ojca nieznacznie się poprawia i André zaczyna być trochę bardziej samodzielny. Tym bardziej więc twarde postanowienie, żeby jak najszybciej ze sobą skończyć, może wydawać się zbyt pochopne. Mało optymistyczna diagnoza lekarska mogłaby przecież okazać się mylna, depresja zaś jest w takim przypadku naturalną reakcją i na nią też znajdują się odpowiednie lekarstwa.



A jednak André konsekwentnie nie zmienia zdania. Co znamienne tym bardziej, że jego córki, zwłaszcza bezdzietna Emmanuèle, mają w sobie ogromne pokłady troskliwości i czułości, chociaż bezwładny, wymagający teraz opieki i beznaście uparty ojciec nie należał nigdy, jak sugerują retrospektywne migawki, do ludzi łatwych. Przed laty rozpadło się też z hukiem jego małżeństwo z matką sióstr, obecnie schorowaną rzeźbiarką (w tej roli Charlotte Rampling). We „Wszystko poszło dobrze” wiele okoliczności zdaje się przeczyć psychologicznemu uzasadnieniu decyzji o eutanazji, jednakże film, podobnie jak książka i ongiś prawdziwe córki Bernheima, po prostu dają bohaterowi takie prawo.

Dość wcześnie też wychodzi na jaw pewien istotny szczegół, który będzie mieć wpływ na to, czy „wszystko pójdzie dobrze” – cokolwiek to oznacza dla różnych postaci dramatu. Kiedy w okolicy szpitala, gdzie leży André, zaczyna kręcić się niejaki Gérard (Grégory Gadebois), szybko wyjaśnia się, że to jego dawny kołhanek. Ojcowski homoseksualizm był, zdaje się, tajemnicą poliszylną, z trudem znoszoną przez małżonkę i jej rodzinę. Ozon, zdeklarowany gej, wielo-



Sophie Marceau i André Dussollier w filmie „Wszystko poszło dobrze”

krotnie poruszający ów temat w swoich filmach (ostatnio w „Lecie '85”), tym razem, pewnie zgodnie z literą pierwotnego wzoru, nie wyostreza nadmiernie gejowskiego wątku. Strzępy informacji na temat burzliwego związku z Gérardem w niewielkim stopniu wyjaśniają obecne zachowanie Andrégo. Jedyną odpowiedzią na pytanie „dlaczego” zdaje się więc udręczona twarz Dussolliera tudzież wypowiedziane zaraz po udarze zdanie: „To już nie ja”. Ale czy kiedykolwiek było mu dane całkowicie być sobą?

Ten dyskretny, zanurzony w powściąganym emocjach i kojących błękitach film jest właśnie o tym – o niezgodzie na upokarzającą formę życia. Stąd ogromne napięcie, jakie towarzyszy całemu przedsięwzięciu. Uda się czy nie? Czy kiedy André twierdzi, że nie boi się śmierci, to tym razem mówi prawdę czy w ostatniej chwili zmieni zdanie? Może recital klarinetowy w wykonaniu wnuka albo kolacja obsługiwana przez ulubionego kelnera sprawią, że na powrót rozsmakuje się w życiu? Przez jakiś czas Emmanuèle próbuje przechować nadgryzioną przez ojca kanapkę, wkłada ją nawet do zamrażarki, lecz w końcu wyrzuca do kosza. Wobec bezlitosnej fizjologii i ludz-

kiej skończoności film Ozona ma do zaproponowania bezwarunkową miłość – tylko i aż. Razem z wątpliwościami, czy ukochaną osobę należy wbrew jej woli utrzymywać przy życiu, i ponad licytacjami, kto tu kocha bardziej.

„Wszystko poszło dobrze” nie ma tej siły, co „Miłość” Michaela Hanekego, ale tamten film pracował na nieco odmiennych emocjonalnie rejestrach, jako że ktoś inny podejmował ostateczną decyzję za śmiertelnie chorą osobę. Ten przyjmuje perspektywę córki miotającej się między gestem pomocy a lękiem przed utratą ojca, aczkolwiek od początku do końca to on stanowi o sobie. Reżyser nie eksperymentuje także z formą filmowej opowieści, jak choćby czekający na polską premierę „Vortex” Gaspara Noégo. Po oskarżycielskim „Dzięki Bogu”, gdzie Ozon zajął się pedofilią we francuskim Kościele, jego nowy film wydaje się kolejnym manifestem świeckiego humanizmu, wyrażonym bez fajerwerków, za to z psychologicznym wyczuciem. ©

WSZYSTKO POSZŁO DOBRZE

(*Tout s'est bien passé*) – François Ozon.
Prod. Francja 2021. Dystryb. Aurora Films.
W kinach od 28 stycznia.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Bacurau



Thriller,
reż. Kleber Mendonça
Filho, Juliano Dornelles,
Brazylia/Francja 2019,
VoD

Co by było, gdyby małe miasteczko gdzieś na uboczu zniknęło nagle z wszelkich radarów i utraciło kontakt ze światem? Twórca „Aquarius” z westernowym, ale też brawurowo surrealistycznym zacięciem portretuje wyizolowaną, samoorganizującą się społeczność. Zabawa gatunkami staje się równocześnie odwróconą metaforą dzisiejszej Brazylii. Nagroda Jury w Cannes.

2. Życie przestępcze 1984-2020



Dokumentalny,
reż. Ion Alpert,
USA 2021, HBO GO
Przez ponad 36 lat
amerykański dziennikarz dokumentował

kamerą narkotykowy półświatk miasta Newark w stanie New Jersey, podążając śladami trójki przyjaciół. Efektem jest porażający obraz uzależnienia, będący zarówno surową obserwacją indywidualnych losów, jak i krytyką niewydolnego systemu leczenia narkomanii w USA.

3. Makbet



Dramat, reż. Joel Coen,
USA 2021, Apple TV+
Pierwszy film wyreżyserowany samodzielnie
przez tylko jednego
z braci Coen wytrzyma-

je porównania z wcześniejszymi adaptacjami szekspirowskiego dramatu. Co więcej, mimo dekoracji i kostiumów z epoki oferuje nowoczesną interpretację, a do tego wizualną finezję i świetne role Denzela Washingtona czy Frances McDormand.

4. The Sparks Brothers



Dokumentalny,
reż. Edgar Wright,
Wielka Brytania/USA
2021, VoD
To oni współtworzyli
musical „Annette”

Leosa Caraksa, nie tylko od strony muzycznej. Ron i Russel Maelowie są duetem, który przez pięć dekad nie wypadł z gry, mieszając w swoich utworach najróżniejsze style i nie bojąc się zaczynać wszystkiego po raz kolejny. A energii starszym panom mógłby pozazdrościć niejeden młokos.

Lektor:

Powrót do Wenecji



■ Ewa Bieñkowska
CO MÓWIĄ KAMIEŃ WENECJI
Wydawnictwo Próby,
Warszawa 2021,
ss. 268

IM BARDZIEJ NASZ ŚWIAT się zamyka, tym chętniej uciekam w inną rzeczywistość. Wspaniale, że po dwudziestu kilku latach ta piękna książka doczekała się wznowienia. Tytułem nawiązując do dzieła Johna Ruskina, Ewa Bieñkowska oszczędnie jednak sięga do ogromnej biblioteki, jaka na temat Wenecji powstała. Chce przede wszystkim opisać własną przygodę duchową związaną z tym miastem. I szukać klucza do fenomenu, którego początki były czysto pragmatyczne

– ucieczka na niedostępną lagunę w czasach wojen i zamętu. Tysiącletnie niepodległe istnienie Serenissimy to z jednej strony kupiecka trzeźwość i rozważa połączone z wyobraźnią oraz system polityczny zmuszający niejako obywateli do uczestniczenia we władzy, ale też narzucający tej władzy ograniczenia – z drugiej zaś nieprawdopodobna eksplozja sił twórczych, zwłaszcza w dziedzinie malarstwa, i jakby instynktowne wyczucie

piękna. Paradoks: „Cywilizacja wenecka – zauważa autorka – o której historycy mówią, że była merkantylna, konserwatywna, cenzorska, jest cywilizacją wyobraźni”. Potem stolica kupieckiego imperium przemieniła się w sen Europy, zachwycającą fantasmagorię, by dziś stać się zadeptywaną przez turystów, martwiącą, choć wciąż niezwykłą formą. Urzeczenie – to zwykle pierwsze, co nas tam spotyka. Potem czas na zmianę rejestru emocji, na namysł nad istotą weneckiego doświadczenia. Dla Bieñkowskiej najważniejsze jest malarstwo. Wraca do twórców quattrocenta i cinquecenta, do Giovanniego Belliniego, Giorgione’a, Tycjana i Tintoretta. Fascynuje ją zarówno Lorenzo Lotto, jak i żyjący w wieku XVIII Giambattista Tiepolo,

w którym – inaczej niż Ruskin – widzi nie dekadenta, ale prawowitego dziedzica „złotego wieku”. Píše również o tych, którzy lepiej niż najslawniejsi mistrzowie umieli pokazać z miłością własne miasto, jak Vittore Carpaccio i Francesco Guardi, ostatni z wielkich. Rzecz jednak nie tylko w obrazach. „Wenecja – pisze Bieñkowska – jest najbardziej malarskim miejscem świata dzięki połączeniu żywiołów, barw i form nie mających sobie równych w cywilizacji Zachodu (...) Cóż zarazem bardziej spełnionego i szalonego jak wyobrażenie miasta unoszącego się na wodach, gdzie kanały zastępują ulice, a stopnie schodów pograżają się w wodzie, obrzeżone frędzlą wodorostów...”. Jest ono „lekcją komplikowania życia, odrzuceniem łatwości”. A więc jedziemy? ©P

Zostań Patronem Podkastu Powszechnego



Miesiąc
w nauce

Na przegląd najciekawszych wydarzeń naukowych miesiąca w Podkście Powszechnym zaprasza kosmolog i filozof **Łukasz Lamża**, laureat Nagrody im. Tischnera.

Wejdź na
Patronite.pl/TygodnikPowszechny
i wesprzyj niezależne dziennikarstwo

*Po co człowiekowi sen?
Co pozostawiła po sobie woda
na Marsie? Czy da się naukowo
badać miłość od pierwszego
wejrzenia?*

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. GRAŻYNA MAKARA

TYGODNIK
POWSZECHNY



FUNDACJA
TYGODNIKA
POWSZECHNEGO



PATRONITE

PAWEŁ

Bravo:

Zima świstaka



„TYSIĄC CZTERYSTA TRZYDZIEŚCI DWA kroki! Tyle dokładnie wynosi odległość stąd do placu!” – dziennikarz pogodowy Phil chciał zaimponować producentce Ricie znajomością topografii miasteczka Punxsutawney. Z początkiem lutego

ekipa telewizyjna zjawiła się w tej dziurze pośrodku Pensylwanii, aby sprawdzić, jak się zachowa sławny świstak, rzekomo zdolny przepowiedzieć, czy zima będzie jeszcze długa. Nie szukajcie proszę, w którym fragmencie filmu „Dzień świstaka” postać grana przez Billa Murraya wygłasza tę kwestię, bo takiej sceny tam nie ma. Po prostu mi się przyśniła.

Nigdy dotąd moja kulawa fantazja nie próbowała uzupełniać filmów. Jeśli mi się to teraz zdarzyło, to, jak sędzę, nie jest to czkawka po niespełnionej miłości sprzed 30 lat do Andie MacDowell, która grała Ritę (a także Carrie w równie wówczas kultowych „Czterech weselach i pogrzebie”). Fakt, że kochałem się w MacDowell, odzianej zgodnie z dyktatem okropnej stylistyki lat 90., dokładnie określa pokoleniowe współrzędne moje i wielu dawnych kolegów, dziś dyktujących reguły dobrego smaku.

Figle sennej wyobraźni są raczej sygnałem, jak bardzo moja głowa odnajduje się w środku tego czegoś, co w filmie służyło za komediową ramę do opowiedzenia czuło-śmiesznej historii o przemianie cynika w dobrego człowieka. Wywołanej, jak pamiętamy, tym, że Phil wraz z całym miasteczkiem wpadł w pętlę czasową i budził się kilkaset razy tego samego dnia, skazany na oglądanie tych samych scen i sytuacji. Jako jedyny świadom tej anomalii próbował różnych strategii: zaczął od ekstremalnych doświadczeń, bezkarnych z racji tego, że co dobę licznik czasu wracał do zera. Aż w końcu odkrył empatyczną bliskość z ludźmi, którym miał dość czasu się bliżej przyjrzeć i ich zrozumieć.

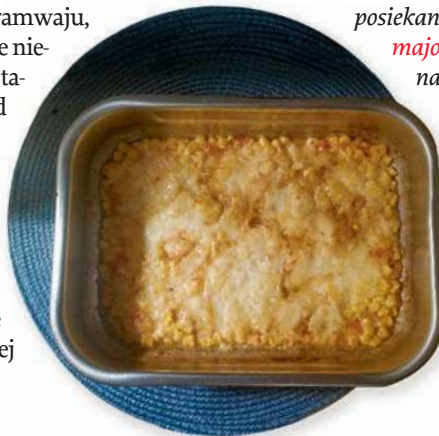
Za dużo dookoła mnie realnych, nieodwracalnych śmierci, żeby wybrać tę pierwszą ścieżkę. Nie mam wyboru i chyba zostanę lepszym człowiekiem, zmuszony uciec od powtarzalności tej drugiej covidowej zimy. Znowu świat się rozmazuje przez zaporowane okulary, w tramwaju, w sklepie, w księgarni. I znowu tchnie nieświeżym oddechem, który nie jest w stanie ogrzać wiecznie wilgotnego pod maseczką nosa. Paskudny kompres na twarzy czyni wstrętne doświadczenie zimy jeszcze bardziej upokarzającym. Kwarantanny, kody, męczące poczucie, że coraz więcej prostych czynności i potrzeb zaczyna należeć do biurokracji, wprawdzie nie pieczętkowej, lecz smartfonowej, której trudno będzie się potem pozbyć.

Cieszę się, że ogromna większość gości baru, w którym pracuję, ma covidowe paszporty i z satysfakcją je okazuje. To dobrze, że jest tak solidna grupa ludzi odpowiedzialnych. Ale reglamentacja łożenia po mieście jest jednak czymś głęboko smutnym. I czyni wyłom, który w przyszłości mogą wykorzystać aż nadto troskliwi urzędnicy, wymagający np. w cukierni negatywnego testu na cukrzycę, a w barze kodu wystawianego przez ośrodek monitorowania uzależnień... Antynaukowi foliarze i tym podobne indywidua nadużywają klasyków libertarianizmu, często zresztą przy tym pomijając niewygodny fakt, że budowali oni koncepcje darwinizmu społecznego w najtwardszej postaci. Ale z tego nie wynika, że nie staje na porządku dziennym zagadnienie wolności i odpowiedzialności, daleka od hysterii obawa o nadużycia władzy, równie nieprzejrzyste, co układy kwadracików w kodach QR dających wstęp do normalnego życia.

Całe szczęście, że nasz dzień świstaka – tak to na razie wygląda – jest nieodmknęty i pętla wiecznego powrotu rozluźni się wraz z nadejściem wiosny. Będzie można wtedy oddać kontemplację sprzeczności w czułe ręce filozofów. W oczekiwaniu, aż lody ruszą, pozostają nam inne metody ucieczki. Niech ponury luty minie pod znakiem domowego pocieszycielskiego jedzenia, zwanego z angielska *comfort food*. Domowego, bo spora część z nas i tak wylądowała na kwarantannie. Pamiętajcie, by zrobić zapas cukru i masła. Dużo masła, mąki i jajek. Niezbędny będzie słoik nutelli i masła orzechowego, mascarpone nie zaszkodzi, ma długą datę ważności. Tłusta śmietana przyda się do *comfort food* na słodko, ale i na słono. Warto zachomikować dobre ziemniaki, dużo cebuli, kłosek parmezanu, parę kul mozzarelli, groszek, najlepiej mrożony, i dużo kukurydzy. To drugorzędne zazwyczaj warzywo okazuje się mieć fascynującą moc otulania. Mdlą słodycz, jakiej teraz mocno potrzebujemy.

Ktoś powie, że to pocieszenie tyleż łaskocze ośrodek nagrody w mózgu, co masakruje wątrobę i prowadzi do otyłości. Tak, jest w tym niewątpliwie sprzeczność, że coś tak dobrego może być złe. Może wrócimy do tego na wiosnę. ©P

*Podawałem kiedyś kilka przepisów na comfort food z kukurydzy mrożonej – m.in. na supę z dodatkiem mleka – namawiam, by odszukać ją w archiwum. Tymczasem całkiem niedawno trafiłem w „New York Timesie” na przepis z wykorzystaniem kukurydzy puszkowej, podany tam jako składnik wyszukanej kolacji koreańskiej, dla mnie jednak tej zimy działający wieczorami jako szybki solowy pocieszyciel. W misce mieszamy **puszkę odsączonej kukurydzy**, drobno posiekaną **połowę czerwonej papryki**, **3 obfite łyżki majonezu**, **łyżkę cukru** i **szczyptę soli**. Ogrzewamy na ogniu metalową, najlepiej żeliwną brytfankę, topimy w niej **2 łyżki masła**. Kukurydzę układamy w niej tak, żeby stworzyła cienką warstwę, i podgrzewamy minutę. Pokrywamy pokrojoną na kawałki **mozzarellą** zmieszaną z jakimś **ostrzejszym serem** (np. cheddar albo ostra wersja provolone). Wkładamy do piekarnika na jak najwyższy poziom i zapiekamy od góry w 200 stopniach kilka minut, aż ser ładnie się zrumieni. Najlepiej smakuje po odgrzaniu.*



POSZLI NA CAŁOŚĆ

Dzięki dotykowi poznajemy świat i wyrażamy najgłębsze uczucia.

Dlaczego używamy do tego wyłącznie dłoni?

Stopy też mogą być źródłem niezwykłych doznań.

Trzeba tylko mieć odwagę je uwolnić.

TEKST **MAREK KĘSKRAWIEC** | ZDJĘCIA **JACEK TARAN**

ZDEJMUJĘ BUTY, ŚCIAĞAM SKARPETY, ROZGLĄDAM SIĘ NERWOWO i minę mam chyba taką, jakbym właśnie robił coś złego. Pierwsze metry są najtrudniejsze, mam wrażenie, że wszyscy się na mnie gapią, i pewnie tak jest, ale tylko dlatego, że sam na każdego wybałuszam oczy. Kiedy po kilkudziesięciu krokach oswajam się trochę z sytuacją, dostrzegam, że nikogo zbyt nie obchodzi. Jakaś dziewczyna się uśmiecha, następna przygląda się z ciekawością, dwóch młodych mężczyzn patrzy nieco ironicznie, ale zdecydowana większość ma ważniejsze sprawy na głowie.

Robi mi się bardzo zimno w stopy, więc po dwustu metrach zawracam do auta, ale w kolejnych dniach powtarzam eksperyment. Za czwartym razem wstyd mija, stres znika. Jestem gotowy na przyjemność, gotowy poczuć ziemię.

Maraton na emeryturze

– Po co chodzić na bosaka? Dla zdrowia i przyjemności. Można to robić nawet teraz, mój rekord to spacer przy minus 18 stopniach. W takich warunkach trzeba tylko pamiętać, by nie przystawać, bo to grozi odmrożeniem. No i warto się tak ciepło ubrać, by w butach człowiekowi było już za gorąco – śmieje się 73-letni Andrzej Piłski, emerytowany astronom z Fromborka, jeden z najstarszych Polaków, którzy oddają się pasji chodzenia na bosaka, a zarazem jeden z najaktywniejszych w środowisku. To on osiem lat temu założył na Facebooku grupę „Chadzam boso”, liczącą dziś ponad pół tysiąca członków.

Pan Andrzej wychowywał się w latach powojennych, kiedy nikogo nie dziwiły dzieci biegające boso po okolicy. Ludzie byli biedni, więc buty szanowano i nie używano ich bez potrzeby. Potem świat zaczął się zmieniać, dzieci dorosły i już nie miały ochoty taplać się w kałużach. Jemu jednak buty wciąż kojarzyły się ze spętaniem, więc gdy poszedł do liceum, to kiedy tylko mógł, zrzucał je. Rówieśnicy nie mieli z tym problemu, choć zdarzały się zaczepki, a niektórzy wprost mówili, że jest „nienormalny”.

Potem przyszły studia astronomiczne na UW, małżeństwo, dzieci. Andrzej „spowaźniał”, ale nadal miał wraże-

nie, że jego stopy czują się ściśnięte i zniewolone, więc kiedy mógł, to je uwalniał.

Przełom nastąpił w 2005 r., kiedy astronom postanowił ostatecznie zerwać z obuwiem. Pracował wtedy w planetarium we Fromborku, ale szefowie znali go już od lat, więc przymknęli oko. A i goście, których oprowadzał po planetarium, niespecjalnie się bulwersowali. W końcu takie miejsca odwiedzają ludzie bujający w obłokach. Gdzież tam mogłoby ich dziwić, że jakiś okruszek wszechświata nie ubrał butów?

W 2014 r. pan Andrzej poszedł na całość. A właściwie pobiegł. Dwa lata później miał już na koncie pierwszy maraton, na bosaka. – Do dziś ukończyłem ich pięć. Tylko raz, w 2018 r., zniesiono mnie z trasy, bo doznałem nagłego zatrzymania krążenia. Trafiałem jednak pod opiekę dwóch biegających kardiologów, którzy pozwolili mi kontynuować starty – zapewnia Piłski. – Po latach mogę powiedzieć, że czuję się po prostu młodszy, także wtedy, gdy po biegu ledwo stoję na nogach. Na dowód mam swój rekord. W 2021 r. osiągnąłem życiowy wynik: 4 godziny 32 minuty.

Sam jednak nie namawia do bosego przemierzania wielkich dystansów. To nie dla każdego. – Warto pamiętać, że chodzenie ma nam dawać relaks, przynosić radość – zaznacza. – Z czasem dostrzeżemy, jak wartościowy jest bliski kontakt z ziemią i jak dobrze odpoczywamy, gdy pozbędziemy się butów. Mnie poprawiło się krążenie, nie przeziębiam się. Ale najważniejsze jest to, że mocniej odczuwam świat zmysłami, jestem bardziej uważny, wyraźniej widzę. A może tylko bardziej wyteżam wzrok, by nie wejść w coś przykrego?

Wbrew pozorom nie zdarza się to często. Nie trzeba mieć też w domu zapasu plastrów i bandażi. Andrzej Piłski twierdzi, że po latach chodzenia boso poprawia się widzenie intuicyjne i spostrzegawczość, dlatego spektakularne wejścia w psie kupy należą do rzadkości. Raz, dwa razy do roku zdarzy się drobne skałeczenie, ale bez konieczności szukania pomocy u chirurga.



Pan Andrzej właściwie wszędzie, gdzie tylko może, chodzi boso. Czasem słyszy nieprzyjemne uwagi, ale częściej jest śmiesznie. Przechodnie chcą dawać mu buty albo pieniądze na ich zakup. – Lubię takie sytuacje, przywracają mi wiarę w ludzi – zapewnia. Zdarzyło się jednak, że ktoś zadzwonił na policję z informacją, iż „wariat” chodzi po dworcu w Elblągu. Podeszli policjanci, pogadali chwilę, zobaczyli, że pan Andrzej mówi z sensem, i poszli.

Człowiek nie urodził się w butach

No dobrze. Miło poczuć ziemię, zrelaksować się, ale czy tylko o to chodzi? Otóż nie. W ludzkiej stopie są liczne mięśnie, których zadaniem jest amortyzowanie chodu i tym samym ochrona kręgosłupa. W butach stopy przestają pracować, gorsze jest ich ukrwienie, pojawiają się żylaki, haluksy, ostrogi piętowe, podbicie robi się płaskie. Kształtuje się niepoprawny styl chodzenia, wstrząsy przenoszone są na kolana, uda i biodra, podczas gdy

prawidłowo pracująca stopa powinna angażować łydki i pośladki. Zmienia się też sam kształt stopy. Staje się ściśnięta i w pewnym stopniu niepełnosprawna.

– Niech pan spojrzy na swoje palce i spróbuj nimi poruszyć. Ciężko, co? – śmieje się Justyna Czudek z Krakowa. Stoimy obok siebie, na zewnątrz minus dwa, a ona wykonuje sprawne ruchy każdym palcem u stopy z osobna. Próbuje za nią nadążyć, ale wygląda to żałośnie, na dodatek mróz sprawia, że „parzą” mnie podbicia stóp. Moje palce są ściśnięte jeden przy drugim, mają lekko młotkowaty kształt od niewłaściwego obuwia, nie chcą się ruszać albo robią to „grupowo”. Powód? Brak mięśni.

– Człowiek nie ma kopyt, ma za to palce w jakimś celu. Niestety, współczesny świat robi wszystko, byśmy o nich zapomnieli – opowiada Justyna. – „Włóż buty”, „nie wchodź do kałuży”. Wszyscy to słyszeliśmy w dzieciństwie. A przecież dzieci chcą żyć tak, jak żyliśmy przez tysiąclecia, więc buty traktują jak coś, co je więzi. Dopiero potem świat zaraża je wstydem przed realizowaniem swych pragnień. Swojemu synowi pozwalam hasać bez butów i większość dzieci mu zazdrości. Szkoda, że ich rodzice zapomnieli o tej pierwotnej radości, lepiej byłoby, gdyby sami spróbowali odnaleźć w sobie to wewnętrzne dziecko.

W przypadku Justyny chodzenie na bosaka przyszło naturalnie, bo wszystkie aktywności, którym poświęca czas, wymagają zdjęcia obuwia. Z wykształcenia jest fizjoterapeutką, a od 15 lat instruktorką pilatesu, jogi i treningu siłowego. Prowadzi też autorski program dla firm „Ulga dla kręgosłupa”.

– Stopa to fundament kręgosłupa – mówi. – Ma trzy punkty podparcia: piętę, podbicie dużego i małego palca, a także trzy łuki, poprzeczny, przyśrodkowy i poboczny. One wszystkie powinny się napinać. Tymczasem obudowana butem stopa uniemożliwia pracę mięśniom. Powoli zaczynają zanikać, jak każdy nieużywany organ.

Justyna zaczęła chodzić boso siedem lat temu, gdy pojechała z dwuletnim synem na wakacje do Chorwacji. Brała Eryka w nosidełko i chodziła godzinami po kamienistej plaży. Szybko zauważyła, że przestają ją boleć plecy, a sylwetka, z mięśniami miednicy osłabionymi po ciąży, zaczyna się prostować. – A że jestem osobą nieszczególnie przejmującą się, co ludzie mówią na mój temat, to po powrocie do Polski zaczęłam wychodzić bez butów do pobliskiego parku. Moje haluksy

wyrażnie się zmniejszyły i przestały być tak bolesne. Wielu z nas ma podobne kłopoty, wykupuje drogie masaże, używa profilowanych wkładek, tymczasem na początek warto po prostu ściągnąć buty.

→

Justyna Czudek, instruktorka fitness, miłośniczka chodzenia boso.
Kraków, styczeń 2022 r.

→ Justyna nie zachęca, by przygodę z chodzeniem na bosaka rozpoczynać zimą. Mróz może odbierać radość, a nie chodzi o to, by się do dbania o zdrowie zmuszać. – Traktujmy się z miłością i czułością. Polecam zacząć latem, poczuć ciepłą plażę i ścieżki w lesie, a dopiero po przyzwyczajeniu nóg do „surowego” podłoża praktykować zimą. To wspaniała szkoła przełamywania lęków. Uczymy się wolności, nie przeglądamy się w każdym człowieku i nie potrzebujemy jego akceptacji, by czuć się dobrze. Wystarczy wejść kilka razy do sklepu, by przekonać się, że nic złego się nie dzieje. Najważniejsze to zrobić pierwszy krok. Nawet jeśli pocujemy na sobie czyjs wzrok, to z czasem się oswoimy, a potem zauważymy, że im mniej się na sobie skupiamy, tym łatwiej się nam żyje.

Justyna twierdzi, że rodzina szybko zaakceptowała to jej dziwactwo, zawsze była przecież niezależna i trochę ekstrawagancka. Co zresztą mieliby powiedzieć dorosłej osobie: załóż buty, bo się przeziębisz? Wstydzimy się za ciebie przed sąsiadami?

Chodzić, ale po nierównym

Prof. dr hab. Krzysztof Tomaszewski, znany ortopeda i traumatolog uważa, że porzucenie butów może być korzystne zwłaszcza dla ludzi cierpiących na haluksy i płaskostopie, które dodatkowo osłabiają kręgosłup lędźwiowy.

– Chodzenie boso wzmacnia i stabilizuje mięśnie stopy, zwłaszcza krótkie. Przy niedużej wadzie stopa będzie to odbierała jak ćwiczenie, które powstrzymuje rozwój schorzenia. W zaawansowanym stadium mięśnie są już zbyt niewydolne, by poradzić sobie bez dobrych wkładek. Wada będzie się więc raczej pogłębiać, naturalne łuki stopy są już bowiem zapadnięte i brakuje mocnego podparcia.

Prof. Tomaszewski podkreśla, że chodzenie boso ma sens tylko wtedy, gdy noga jest odpowiednio stymulowana, a to oznacza, że odpadają płaskie i twarde powierzchnie: asfalt i beton. Już lepiej deptać trawniki.

Potwierdza to inny ortopeda, Stanisław Kita. Jego zdaniem na twardym podłożu lepiej sprawdzą się dobrze wyprofilowane buty lub profesjonalne wkładki i dlatego przestrzega, by na bosaka nie chodzić po parkiecie. Jest też ważne, by przed podjęciem biegania boso, szczególnie długodystansowego, zbadać układ narządów ruchu, technikę poruszania się, a także skorzystać z porady trenera lekkiej atletyki. Unikniemy wtedy zmian przeciążeniowych nóg i kręgosłupa. – Z moich obserwacji wynika, że tylko jedna trzecia zawodników amatorów biega prawidłowo – mówi Kita.

Istnieje jeszcze jedna kontrowersja. Wszyscy, którzy zdecydowali się zrzucić buty, słyszą pytania, czy nie brzydzą się chodzić po brudnej ziemi. – Pomyślmy spokojnie. Gdy idziemy do kina lub do galerii handlowej, non stop dotykamy dłońmi różnych brudnych miejsc, drzwi, klamek, także w toalecie. Potem wielokrotnie, bezwiednie dotykamy palcami



Piotr Olszówka, niemal wszędzie chodzi boso. Kraków, grudzień 2021 r.

ust i oczu. Brudną stopą raczej nie dotykamy twarzy – mówi Justyna Czudek, która po każdym spacerze dokładnie szoruje nogi. Przypomina też amatorom butów, że gromadzi się w nich ogromna ilość zarazków, w tym pałeczek coli.

Inny miłośnik bosych wędrówek, 52-letni Piotr Olszówka z Krakowa, poleca plastikową matę, którą wkłada na dno prysznica i szoruje mocno nogi. Awaryjnie, podczas spaceru przez miasto, sprawdza się też trawa.

Olszówka jest autorem książek i komiksów, fotografem, malarzem i ilustratorem. To zarazem weteran w środowisku. Buty zrzucił 27 lat temu. Dziś zakłada je tylko do garnituru.

Na spotkanie z nim umawiam się w kawiarni na krakowskim Kazimierzu. Jest paskudne przedpołudnie, smog, wilgoć. Trudno sobie wyobrazić gorsze warunki do chodzenia na bosaka, ale dla Piotra to pestka. Wystarczy spojrzeć na jego stopy. Są mocno umięśnione, szerokie, z rozsuniętymi palcami. Wyglądają tak, jakby były w stanie wgryzać się w powierzchnię.

Zaczął chodzić boso po studiach, najpierw tylko na szlakach turystycznych. Wcześniej chodził po nich w ciężkich butach, ale z czasem zaczęły robić mu się odciski, a potem płaskostopie. – Zmienił mi się kształt nogi, dopasowane buty zaczęły obcierać, czułem, że chodząc w nich, nie stymuluję pracy mięśni – wspomina.

Chciał znaleźć buty idealne. Szukał długo, najbliżej perfekcji były sandały trekkingowe, ale i one się nie sprawdziły, więc na kolejną trasę już ich nie zabrał. Nie chciał, by miały się obok plecaka. Efekt? Poczucie uwolnienia, a nawet euforii.

Ale stało się też coś bardziej wymiernego: żylaki powoli się zmniejszały, stopa wróciła do zdrowego kształtu. – Cóż mi więc trzeba było na dowód przeciwko butom? – pyta Olszówka.

Z czasem zrzucił obuwanie coraz częściej, aż w końcu stało się to dla niego codziennością, nawet zimą. Tylko kiedy na chodniki i ulice wysypywana jest sól, łamie się i ubiera sandały. – Mają ocieplane paski – żartuje. W innych sytuacjach nie idzie na kompromisy.

W ten sposób wędrował zimą po Dolinie Chochołowskiej i Kościeliskiej. Spodnie bojówki, pełne kieszenie, wielka torba z aparatem, gruba kurtka, no i bosa stopy.

– Pamiętam, jak kiedyś ze szlaku zeszło dwóch mężczyzn zchlapanych błotem. Patrzą na mnie długo i nagle jeden mówi: „A ty co, fakir jakiś, czy co?”, więc ja na to: „A prze-

Najważniejsze to
zrobić pierwszy krok.
Nawet jeśli pocujemy
czyjś wzrok, to z czasem się
oswoimy, a potem
**zauważymy,
że im mniej się
na sobie skupiamy,
tym łatwiej się nam żyje.**



mokły ci buty? Bo mnie nie!”. Czasem w ogóle udaję zdziwionego i pytam: „A po co są buty?”.

– Agresji nigdy nie doświadczyłem, ale może dlatego, że ważę sto kilogramów – uśmiecha się. – Brodząc więc sobie spokojnie w błocie i kałużach, choć ludzie uważają, że tylko biedota chodzi bez butów. I powiem panu szczerze, błoto jest bardzo przyjemne. To poczucie uziemienia, zakorzenienia...

Uwolnij swe receptory

Przez zdecydowaną większość historii ludzkość chodziła na bosaka, chroniąc nogi głównie w zimie. Ale nawet gdy już wymyślono buty, początkowo używali ich tylko ludzie bogaci. Potem, gdy spowszedniały, były zarezerwowane raczej dla dorosłych. Obuwia nie kupowało się dzieciom, dopóki rośły. A gdy już trzeba było je nabyć, traktowano z szacunkiem i ubierano na uroczystości, do kościoła. Trudno było sobie wyobrazić, by skórzane, wymagające pielęgnacji nakrycia stóp używać do ciężkiej, brudnej pracy, np. na roli.

– Czasy były o wiele bardziej niebezpieczne niż dzisiaj, żyliśmy w ciągłym lęku o życie, nikt nie zwracał uwagi na takie drobne niedogodności jak chłód na stopach czy drobne skaleczenia. Mniej się tym ludzie przejmowali niż dziś chwilowym brakiem internetu – mówi Piotr Olszówka. – Idąc z telefonem w dłoni i słuchawkami na uszach odcinamy się od świata; to nie jest moja droga życia. Ja potrzebuję bezpośredniego kontaktu z powierzchnią, rodzi się wtedy we mnie poczucie szacunku dla przyrody. Bosy człowiek nie będzie rzucał śmieci pod nogi, bo sam nie chce po nich chodzić. Czuje większy związek z otoczeniem, poprzez ciągły, bezpośredni dotyk ziemi staje się jej częścią.

Ponad ćwierć wieku bez butów (w większości) sprawia, że dziś właściwie niestraszna Olszówce żadna pogoda. Potrafił nawet spacerować cztery godziny przy temperaturze minus 28 stopni. I tu ciekawostka. Mylne są obawy, że goła stopa na śniegu czy lodzie może powodować liczne upadki. Okazuje się, że w naturalny sposób nie jest śliska, przeciwnie: świetnie trzyma się podłoża.

Jacek Kiełpiński, toruński dziennikarz i pisarz, który buty porzucił pięć lat temu, zwraca uwagę na jeszcze jedną sprawę: od początku życia poznajemy świat dzięki receptorom umieszczonym na dłoniach. Są one źródłem ważnych infor-

macji i emocji. – Dlaczego postanowiliśmy odciąć się od rzeczywistości, odbierając sobie możliwość poznawania jej dzięki stopom? Przecież tam również mamy liczne receptory. Trzeba się tylko uwolnić od presji społecznej i je poczuć – twierdzi.

Atrakcyjną formą aktywacji receptorów są masaże stóp lub akupresura. Umiejętnie stosowane techniki pozwalają poczuć głęboki relaks, a wiele osób wierzy, że dotykanie odpowiednich miejsc wpływa korzystnie na przyporządkowane im ponoć narządy wewnętrzne. I nawet jeśli ta licząca ponad sześć tysięcy lat i stosowana najpierw w Chinach metoda nie zawsze jest przez europejską naukę poważnie traktowana, to już sam masaż stóp może mieć zbawienne skutki nie tylko dla ciała, ale i dla skołowanego codziennością umysłu.

Chodząc bosko, mamy codzienną namiastkę masażu i akupresury. Za darmo. I nie ma co się obawiać, że od chodzenia na bosaka skóra na stopie stwardnieje, bo to nie znaczy, że utworzy się na niej zrogowaciała, nieprzepuszczalna powierzchnia. Receptory nadal bez trudu „przebijają” się na powierzchnię i odbierają bodźce. Ma to czasem wymiar praktyczny.

– Kiedy robiłem kurs na prawo jazdy, poprosiłem instruktora, by pozwolił mi prowadzić bez butów – wspomina Andrzej Piłski. – Zgodził się, a mnie nawet dobrze poszło, choć na egzaminie wołałem nikogo nie prowokować i włożyłem buty.

Potem jednak samochód prowadził już najczęściej na bosaka. Jak twierdzi, jest się wtedy bardziej precyzyjnym kierowcą. Gaz wystarczy nacisnąć lekko, dużym palcem (potwierdza to Olszówka). Do hamulca przydaje się już cała stopa, ale nie jest tak „ciężka” jak w bucie. Ogólnie kieruje się autem bardziej uważnie, z wyczuciem, bez nadużywania siły, za co samochód odwdzięcza się na stacji benzynowej. Po prostu pali mniej, a jazda nie jest tak stresująca. Warto przy tym zaznaczyć, że kodeks drogowy nie zabrania prowadzić pojazdu na bosaka. Policja nie ukarze nas za to mandatem, tak jak mogłoby się stać w przypadku prowadzenia w chodakach, kłapkach lub japonkach.

Spróbowałem. Z początku nie jest łatwo, bo choć rzeczywiście prowadzi się z większym wyczuciem, to nogi boją, obcierają się, no i ten wszechobecny pył i kamyki. Ale to już kwestia estetyczna. Nie mam przecież zamiaru drapać się stopą po twarzy.

©© MAREK KĘSKRAWIEC

STANISŁAW

Mancewicz: Wielka dynia



ROZEJRZYJCIE SIĘ WOKÓŁ, NAJMILSZE, NAJMILSI, oraz osoby niemiłe, szczepy i antyszczepy, kuloziemcy i płaskoziemcy, ludzie interesujący, a więc podsłuchiwani przez nudziarzy, i także tak nudni, że przenigdy niepodsluchiwani przez ni-

kogo. Rozglądnijcie się wszyscy uważnie i uśmiechnijcie się wreszcie.

Doprawdy, spróbujcie tej zapomnianej i coraz częściej dziś wyklętej czynności. Uśmiech – popatrzenie – jest teraz najpoważniej podejrzanym wyrazem buzi. Takie mamy czasy, ale skupcie się i spróbujcie. Ktoś powie zaraz, że wesołość jest nastrojem niegodnym Polaka. Nie dajcie się zatrzaskać w tych krzywdzących nasz naród stereotypach. Nie wolno dopuszczać, by zagraniczne ośrodki na wiadomym żoździe rozsiewały o nas kłamliwe opinie. Przyuważyć tu należy koniecznie, że przecież żyjemy w Kraju Uśmiechu, o czym nie raz w tym miejscu było pisane dużymi literami, choć chyba wciąż za małymi.

Oto żyjemy w Krainie Uśmiechu nie po to, by wciąż narzekać, żółknąć sarkać, kwękać, wyklinać i się kłócić o bzdury. Życie w Krainie Uśmiechu zobowiązuje. Gdzie – pytamy poważnie – znikła jej tradycja i jej specyfika? Ktoś teraz rzeknie, że nie jest mu już do śmiechu. Za Jaruzela było, bo wistula w Peweksie była po 95 centów, ale teraz bynajmniej. Że jest trudno. I ciężko. Musimy zaprzeczyć, a poproszeni o argumenty nie mamy żadnych problemów, by się nimi podzielić. Oto – doprawdy – rządy Zjednoczonej Prawicy są wystarczającym powodem, by zdać sobie sprawę z przywileju, jaki łaskawy los nam spuścił. Uśmiechnijcie się teraz, ale i ruszcie głowami, zauważcie wreszcie, że rządy Zjednoczonej Prawicy to spektakl absolutnie niepowtarzalny.

Czegoś w tym stylu nie zagrają już za waszego życia. Jest to dziwowisko na skalę globalną, jest to Circus Maximus. To wielki dar i przywilej móc na to wszystko patrzeć i tego słuchać. Zgorzkniali i zmęczeni bądź przestraszeni – tych jest niemało – powiadają tu i ówdzie, by tak nie mówić, żeby nie kusić losu, że lepiej nie będzie. To możliwe, ale na pewno nigdy nie będzie śmieszniej niż tu i teraz, za rządów Jarosława Kaczyńskiego, Andrzeja Dudy i Mateusza Morawieckiego Wsłuchajmy się dla przykładu w słowa ministra edukacji kraju tego. „Ludzie! – powiada on – Zamiast uprawiać seks, zajmijcie się nauką na poziomie podstawy programowej”. Dopowiadamy miłusińskim, dla ułatwienia, że podstawa programowa czegokolwiek na tym poziomie do niczego wam się w życiu nie przyda. Naprawdę. No więc, czy można być śmieszniejszym ministrem edukacji? Nie można. Docieńcie, zanim go wymienię, a wymienię. Nie ma takiego kraju ani na półkuli północnej, ani na południowej, ani także na półkuli wschodniej, ani na zachodniej, nie ma ani kraju małego, ani dużego, w którym człowiek zawiadujący edukacją wygłaszałby do młodzieży podobne zalecenia, choćby bardzo nie lubił seksu i uwielbiał podstawy programowe. Naciskamy zatem – ciesząc się życiem w Krainie Uśmiechu, bo zaiste możecie pożałować zmarnowania tej jedynej, niepowtarzalnej okazji do weselenia się, do żartów, do luzu i przeżywania doniosłej śmieszności waszych władców i ich znakomitej dyniowatości. Tak. Tu nie ma pomyłki, bo dynia wydaje nam się dobrym symbolem wszystkiego tutejszego.

No dobrze. Ale widzimy tu i teraz, że rzesz czytelniczych to wszystko aż tak nie śmieszy, że łyż szklą się w wielu oczach. Spróbujmy to zmienić. Chcemy, by łyż smutku były jednak łyżami radości. Powiada połowa z was, że woli podstawy programowe od seksu, druga połowa na odwrót, że woli seks od podstaw programowych, nikt nie daje się przekonać, by zdanie zmienić, ani nikt nie chce dyskutować. Jak powiadają starożytni górale nad kuflem żętycy: *de gustibus non est disputandum*, i trudno się nie zgodzić. Niech więc wszystkich nas połączy jedno – to: Ryszard Terlecki powiedział, że chciałby być podsłuchiwany przez służby specjalne. No więc zważmy, że gdy ci ludzie znikną z życia publicznego, będzie smutno i nudno. *To se ne vrati.* ©

BARTOSZ MINKIEWICZ



Cennik i zasady zakupu „Tygodnika Powszechnego” z dostawą do domu

PRENUMERATA	EKONOMICZNA PRIORYTET	
Roczna (52 numery)	480 zł	590 zł
Półroczna (26 numerów)	270 zł	330 zł
Kwartalna (13 numerów)	155 zł	190 zł
Pokolenia*	415 zł	
Karta Dużej Rodziny**	415 zł	
Roczna + 4 wydania specjalne	565 zł	680 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	500 zł	
Karta Dużej Rodziny**		
+ 4 wydania specjalne	500 zł	
4 wydania specjalne na 2022 r.	85 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Prenumeratę (krajową i zagraniczną)
można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela
Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00
pod nr. tel. **668 479 075** lub adresem e-mail:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej
informacji oraz wsparcia technicznego udziela
Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00
pod nr. tel. **668 475 263** lub adresem e-mail:
kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić
przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

TYGODNIK
POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALES_{MAN}manago
marketing automation



Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin



Do **KAŻDEGO** zamówienia
autorski, wyjątkowy
notes kulinarny
W PREZENCIE!



Notes kulinarny
„Smaki”
wyślemy do Ciebie
na nasz koszt!



“
**ZOBACZ
MNIE**

PRZEKAŻ

1%

**POMÓŻ NAM
CHRONIĆ
DZIECI**

KRS 0000 056 901



**SOS WIOSKI
DZIECIĘCE**

www.dziecisos.org